www.tygodnikprzegląd.pl

Przegląd

Nr 21 (1063)
18-24.05.2020
Cena 7,50 zł
(w tym 8% VAT)

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
CHINY KONTRA AMERYKA

ODBUDOWA WARSZAWY PONAD PODZIAŁAMI

MARCIN KĄCKI
OŚWIĘCIM – MIASTO PARADOKSÓW

DR BEATA WRÓBEL
JAK EPIDEMIA WPŁYWA NA SEKS

BISKUPI UMYWAJĄ RĘCE

ZABAWA W CHOWANEGO

FILM BRACI SEKIELSKICH

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299
ISSN 1509 3115
21 >
9 771509 311003

eprasa.pl/174a6f7d

CYTATY

DANIEL PASSENT,
komentator
Wiele wskazuje na to, że określenie polskie wybory stanie się negatywną kliszą jak „polnische Wirtschaft”, polski kołtun, pijany jak Polak.
„Polityka”

JAROSŁAW GOWIN,
lider Porozumienia
W porównaniu z polską polityką „House of Cards” to nudziarstwo.
„Dziennik Gazeta Prawna”

PROF. JAROSŁAW FLIS,
socjolog, UJ
Działanie PiS opiera się na dogmacie, że prezes ma zawsze rację.
„Polska The Times”

KATARZYNA PIKULSKA,
przewodnicząca Porozumienia Chirurgów SKALPEL
Osobiście odebrałabym obu panom (Szumowskiemu i Krasce) możliwość wykonywania zawodu.
„Duży Format”

MÓJ PRZEGLĄD

Jerzy Domański

Kłamstwo ciągle skuteczne

Zadowolić Polaka nie sposób. Poza sobą nasz rodak większość ludzi i wydarzeń ocenia krytycznie. A jeszcze trudniej liczyć na wdzięczność Polaka. Nawet wtedy, gdy naprawdę zrobi się coś dla niego. Wdzięczność to w Polsce uczucie prawie nieznane, a przynajmniej tak krótkie jak życie motyla.

Na szczycie tych najbardziej bezlitośnie krytykowanych są politycy. I partie polityczne. Kto się nie krzywi, że politycy są marni, a partie jeszcze gorsze. Tak większość rodaków mówi i myśli o ludziach, których wcześniej sami wybrali. Jęczą i narzekają na tę bryndzę. Ale bez wyciągania konsekwencji. Wobec siebie. A pewno byłoby warto. Bo jak się trafiła polityczka, której życiorys został prześwietlony przez rentgen władzy dysponującej całą machiną służb, policji i prokuratur i nie znaleziono tam niczego nagannego, to co zrobili wyborcy? Jej własny, wcześniej licznie ją popierający elektorat? W kilka tygodni poparcie dla niej stopniało do paru procent.

Małgorzata Kidawa-Błońska nie była królikiem wyciągniętym z kapelusza, mimo to miliony ludzi w krótkim czasie odwróciły się od niej. Znano ją. Szanowano za klasę, z jaką uprawiała politykę. Jako jedyna z kandydatów twardo i konsekwentnie sprzeciwiła się wyborom 10 maja. W tym sprzeciwie miała za sobą większość Polaków. My też już na początku pandemii pisaliśmy, że wybory w tym czasie to szaleństwo. Bo przecież jedynym powodem niewprowadzenia przez PiS stanu klęski żywiołowej i nieodłożenia wyborów na przyszły rok była ocena szans prezydenta Dudy na reelekcję. Prezes Kaczyński wie, że każdy kolejny miesiąc zmniejsza szanse jego przybocznego. Chce więc jeszcze raz oszukać wyborców buńczucznymi zapowiedziami, jak to pod wodzą Dudy utrzymane zostaną wprowadzone wcześniej programy pomocowe. Pisowskie media non stop straszą naród, że gdyby wygrał jego rywal, opozycja by je zabrała. To bezczelna propaganda i oczywiste kłamstwo. Ale ciągle skuteczne. Wolimy, widać, takie bajki niż nagą prawdę. Bo los wszystkich programów socjalnych zależy wyłącznie od stanu kasy państwowej. Kasy, do której w czasie epidemii sięgają wszyscy. Od najbiedniejszych do najbogatszych. I, co dla PiS szczególnie trudne do wytłumaczenia, na razie nie widać, by rządząca prawica jakoś zadbała o los tych, którym jest teraz najtrudniej.

Gdy tej kasy zabraknie, trzeba będzie zapłacić polityczny rachunek. A wtedy najważniejszym słowem będą rozliczenia. By do nich nie dopuścić, władza zrobi dosłownie wszystko. Byle Duda przeczołgał się do prezydentury.

BĄKOWSKI

eprasa.pl b7174acf7d

W NUMERZE

KRAJ

8 Biskupi umywają ręce
– rozmowa z Tomaszem i Markiem Sekielskimi

16 Rozgrywka o losy świata
– rozmowa z prof. Bogdanem Góralczykiem

20 Działania naiwne i sensowne
Jak sprawdzają się studia online

24 Dorzynanie dyplomatów
Polska słabnie na arenie międzynarodowej

28 Miasto Kopernika w cieniu epidemii
Frombork czeka na turystów

31 Olimpia ożyła
Warszawski bazar znowu otwarty

34 Plagi polskie
Rolnicy nie mają co liczyć na pomoc

42 Seks w maskach i w szaliku
– rozmowa z dr n. med. Beatą Wróbel

PUBLICYSTYKA

13 Żyjemy w czasach klątwy długopisu
Co z tymi wyborami?

ZAGRANICA

38 Nowa normalność po włosku
Korespondencja z Rzymu

HISTORIA

44 Odbudowa ponad podziałami
Warszawa musi pozostać stolicą

KULTURA

48 Oświęcim – miasto paradoksów
– rozmowa z Marcinem Kąckim

60 Qulturalia

66 11. Międzynarodowy Festiwal Grafiki Projektowej Plaster

OBSERWACJE

52 Grand Press Photo

58 Pustelnik – himalajski ratownik
W górach liczy się psychika

EKOLOGIA

54 Gorączka drewna
Niebezpieczne lasy

NAUKA

56 Wodór – ekologiczny, ale czy bezpieczny?
– rozmowa z prof. Pawłem Kuleszą

FELIETONY I KOMENTARZE

3 Jerzy Domański
Kłamstwo ciągle skuteczne

23 Andrzej Romanowski
Wielka, większa i największa

27 Jan Widacki
Państwo bez żadnego trybu

37 Roman Kurkiewicz
Znaszli ten kraj?

41 Tomasz Jastrun
Świetna pamięć prezesa

47 Wojciech Kuczok
Pandemiczne próchno

NOWA NORMALNOŚĆ PO WŁOSKU
Korespondencja z Rzymu

38
ZAGRANICA

42
KRAJ

SEKS W MASKACH I W SZALIKU
– rozmowa z dr n. med. Beatą Wróbel

52
OBSERWACJE

GRAND PRESS PHOTO

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. MATERIAŁY PRASOWE, ADOBESTOCK

eprasa.pl b7174acf7d

Wkrótce w PRZEGLĄDZIE

HISTORIA: Rząd w Londynie marginalizowany przez aliantów

Ewa Woydyłło-Osiatyńska Koronawirus wyjdzie nam także na dobre

Kangurzyca, foka, pajęczyca – zaradne samice

Wielki Walicki

W ogóle mnie nie dziwi, że prof. Walicki jest doceniany przede wszystkim za granicą. Najtrudniej być prorokiem we własnym kraju.

Grzegorz Panufnik

Wielki Walicki

•

Bronisław Łagowski i Andrzej Walicki to dwaj autorzy, których warto czytać niezależnie od własnych poglądów, bo prawie zawsze napiszą coś, nad czym warto się zastanowić. No i samo to, że idą pod prąd, czasem nawet poglądów redakcji PRZEGLĄDU, budzi szacunek.

Włodzimierz Nowacki

Uwaga ironiczna

W PRL bunty społeczne zmieniały ekipy rządzące co 10-15 lat. Przegrani znikali z życia publicznego. W III RP od 30 lat dominują w nim ci sami politycy, jeśli tylko żyją. Ponieważ scena polityczna jest obrotowa, raz występują jako rządzący, a drugi raz w opozycji. Jeśli dołączają młodzi, to charakteryzują się tylko arogancją i chamstwem w głoszeniu poglądów swoich starych mistrzów. Zaostrzają dyskurs, bez nowych idei. Podobne zjawisko dotyczy publicystów politycznych, ciągle tych samych, którzy w zdecydowanej większości są aktywistami politycznymi funkcjonującymi z legitymacją dziennikarską. Są nawet bardziej zajadli od polityków. Nic dziwnego, że większość społeczeństwa traktuje wszystkich razem jako pieniaczy i darmozjadów.

Wiesław Żółtkowski

Protest przeciw likwidacji pomnika Bohaterom Czerwonych Sztandarów

Stowarzyszenie Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej wyraża zdecydowany protest przeciw likwidacji pomnika Bohaterom Czerwonych Sztandarów w Dąbrowie Górniczej. Państwowa instytucja, jaką jest Instytut Pamięci Narodowej, upierając się przy rozebraniu pomnika, neguje opinię mieszkańców Dąbrowy Górniczej i Zagłębia Dąbrowskiego, odrzuca decyzję władz miasta i lekceważy decyzję wojewódzkiego sądu administracyjnego. Jednocześnie Stowarzyszenie Spadkobierców Polskich Kombatantów II Wojny Światowej zdecydowanie popiera stanowisko władz Dąbrowy Górniczej z prezydentem Marcinem Bazylakiem, sprzeciwiających się likwidacji pomnika.

Prezes Zarządu Głównego – Roland Dubowski,
prezes honorowy ZG – Małgorzata Kitlińska-Kowalczyk,
członek Prezydium ZG – Wojciech Samborski

ZDJĘCIE TYGODNIA

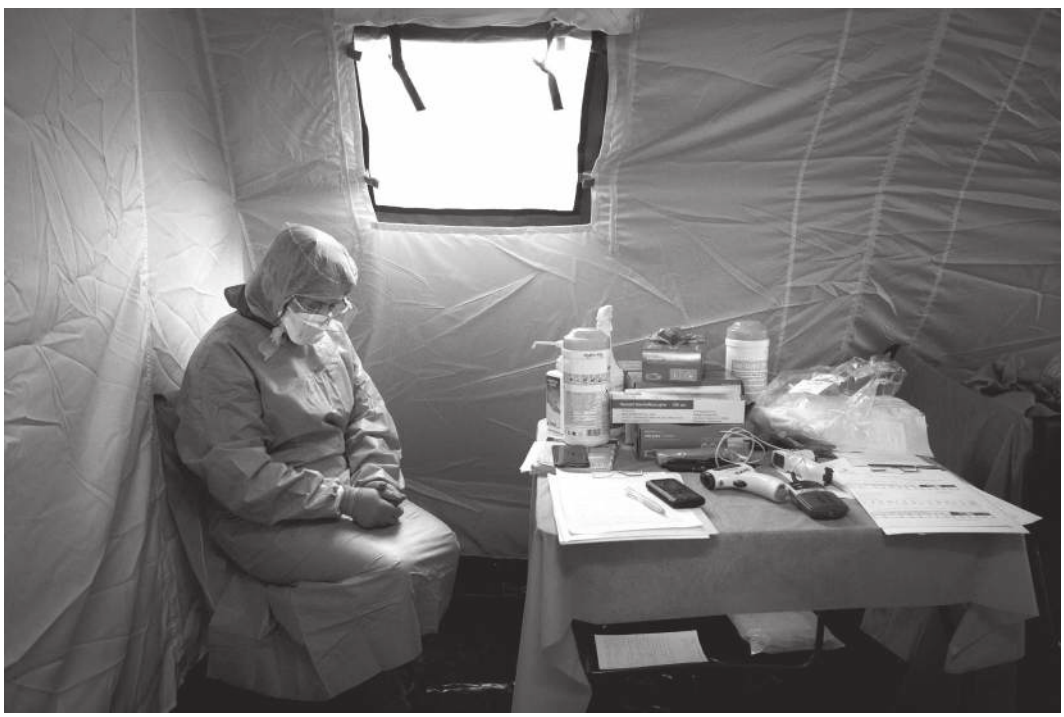

Lekarka z Samodzielnego Publicznego Szpitala Klinicznego nr 4 w Lublinie podczas dyżuru w namiocie do segregacji pacjentów. Jacek Szydłowski, „Dziennik Wschodni", zdjęcie roku Grand Press Photo.

FOT. JACEK SZYDŁOWSKI/DZIENNIK WSCHODNI

eprasa.pl b7174acf7d

Małgorzata Kidawa-Błońska zrezygnowała z kandydowania na urząd prezydenta. Jako jedyna wśród kandydatów twardo protestowała przeciwko organizowaniu wyborów w środku epidemii i wbrew konstytucji. **Doceniamy jej odwagę** i przywiązanie do standardów demokratycznych.

Magdalena Abakanowicz, Alina Szapocznikow, Andrzej Wróblewski, Wojciech Fangor, Tadeusz Kantor, Henryk Stażewski, Roman Opałka, Jerzy Nowosielski, Władysław Strzemiński i Mirosław Bałka to pierwsza dziesiątka artystów, których prace osiągają na aukcjach najwyższe ceny (ranking Kompas Sztuki).

Z 64% do 88% wzrosła w czasie epidemii liczba Polaków zwracających przy kupnie uwagę na to, czy produkt jest z Polski (za „Rzeczpospolitą").

Dominikanin Ludwik Wiśniewski został, mimo protestów radnych PiS, honorowym obywatelem Lublina. Politycy partii, która demonstruje ścisłe związki z Kościołem, **zajadle atakowali o. Wiśniewskiego.**

Nareszcie zniknęły z półek sklepowych papierosy mentolowe. Aż 42% z 9 mln palaczy w Polsce kupowało ten gatunek. To niechlubny rekord Europy. Może zakaz sprzedaży uratuje komuś życie?

Łukasz Szumowski, pisowski minister zdrowia, bryluje na konferencjach prasowych. A poza tym **firmuje wybory w czasie epidemii i ma brata, który za pieniądze ministerstwa kupuje drogie i bezużyteczne maseczki od znajomego** instruktora narciarskiego.

Stanisław Karczewski, wicemarszałek Senatu, zrezygnował z tej funkcji. Niestety, nie odpowiedział na stawiane mu zarzuty dotyczące dorabiania w szpitalu w Nowym Mieście nad Pilicą (łącznie 400 tys. zł) **i jednoczesnego pobierania uposażenia senatorskiego.**

Kamil Zaradkiewicz, powołany przez prezydenta Dudę na pełniącego obowiązki I prezesa Sądu Najwyższego, **jest najbardziej kuriozalną postacią w sądownictwie. Jego nominacja na sędziego Sądu Najwyższego, a później na p.o. I prezesa, naruszyła standardy konstytucyjne i europejskie.** A sposób prowadzenia obrad Zgromadzenia Ogólnego Sędziów SN tak kompromitował prezydenta, że w końcu Zaradkiewicz zrezygnował.

Między Armenią a Argentyną, **na 62. miejscu, została ulokowana Polska w Światowym Indeksie Wolności Prasy w 2020 r.** Od roku 2015 spadliśmy o 44 miejsca. Przodują Norwegia, Finlandia, Dania i Szwecja.

9 mln ton jedzenia marnuje się co roku w Polsce.

PRZEBŁYSKI

Chudy milion Emilewicz

Bywało różnie. Ale wicepremiera, który kieruje czymś, stosując metodę „na oko", jeszcze nie mieliśmy. Do czasu, czyli do Jadwigi Emilewicz. Nieszczęsna wicepremier. Dlaczego nieszczęsna? Bo z jakichś powodów nie rozróżnia liczb. Potrafi pomylić 150 tys. z milionem. Ogłosiła, z typowym dla niej tupecikiem, że przez pandemię opuścił Polskę milion pracowników z Ukrainy. Sprawdził to „Dziennik Gazeta Prawna" i wyszło, że wyjechało jakieś 150 tys., a Emilewicz produkuje fake newsy. Bo w realu, gdy wicepremier robi zakupy, to pani Jadzia potrafi odróżnić 15 zł od stówki.

Waluś i jego obrońcy

Czy zamordowanie człowieka w Wielką Sobotę może być argumentem za ułaskawieniem mordercy? Absurdalne z pozoru pytanie przestanie dziwić, gdy okaże się, że tym mordercą jest Janusz Waluś. Za jego ułaskawieniem łażą politycy polskiej prawicy. No bo jak może siedzieć w więzieniu Waluś, który z premedytacją zamordował Chrisa Haniego, przywódcę komunistów w RPA? Zamordować komunistę, jeszcze czarnego, i siedzieć? To się nie mieści w prawicowych czerepach. Waluś chce wrócić do Polski, komitet powitalny już jest. A sprawę drąży Wiktor Ferfecki („Rzeczpospolita"). Znany z tropienia pochówków generałów na Powązkach. Może komuś chodzi o rezerwację miejsca dla Walusia?

Bilobil dla prof. Dudka

Pokochany przez TVN, choć jeszcze nie przesadnie, prof. Antoni Dudek w wolnej chwili porównał dla publiki z tabloidu rządy SLD z rządami PiS. Nie spodziewaliśmy się po prawicowym historyku zbyt wiele. I Dudek nas nie zaskoczył. Mówiąc, że „degrengolada obozu władzy (SLD) była znacznie dalej posunięta (niż ekipy: PiS, Ziobro i Gowin)", potwierdził, że niechęć do „czerwonego" potrafi zamulić głowę nawet tak zwykle racjonalnego Dudka.
Bo przecież pamięć jeszcze mu nie szwankuje do tego stopnia, by nie wiedział, że afery za czasów SLD to był mały pikuś przy złodziejstwie dojnej zmiany. A o świństwach z czasu rządów SLD-PSL też pamiętamy.

Lewoc na wojewodę

Biedne te Suwałki. I to dosłownie, bo do wielu rodzin bieda puka i puka. A czym zajmuje się miejski ośrodek pomocy rodzinie? Zapomogi, paczki, bezpłatne posiłki, opieka nad niepełnosprawnymi, pomoc emerytom? Trochę pewnie też. Jednak flagowym dziełem tej placówki są prace nad... pomnikiem Dziecka Nienarodzonego. Dyrektor Leszek Lewoc przez rok zbierał kasę na kamienny obelisk ze szklanym elementem przedstawiającym Matkę Bożą Brzemienną. Ambitny Lewoc nie kończy na tym. Planuje postawić taki pomnik, żeby go było z daleka widać. Marnuje się chłop w tym ośrodku. Ludzie z takim talentem to teraz i wojewodami bywają.

FOT. YOUTUBE (4)

epraca.pl b7174acf7d

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI

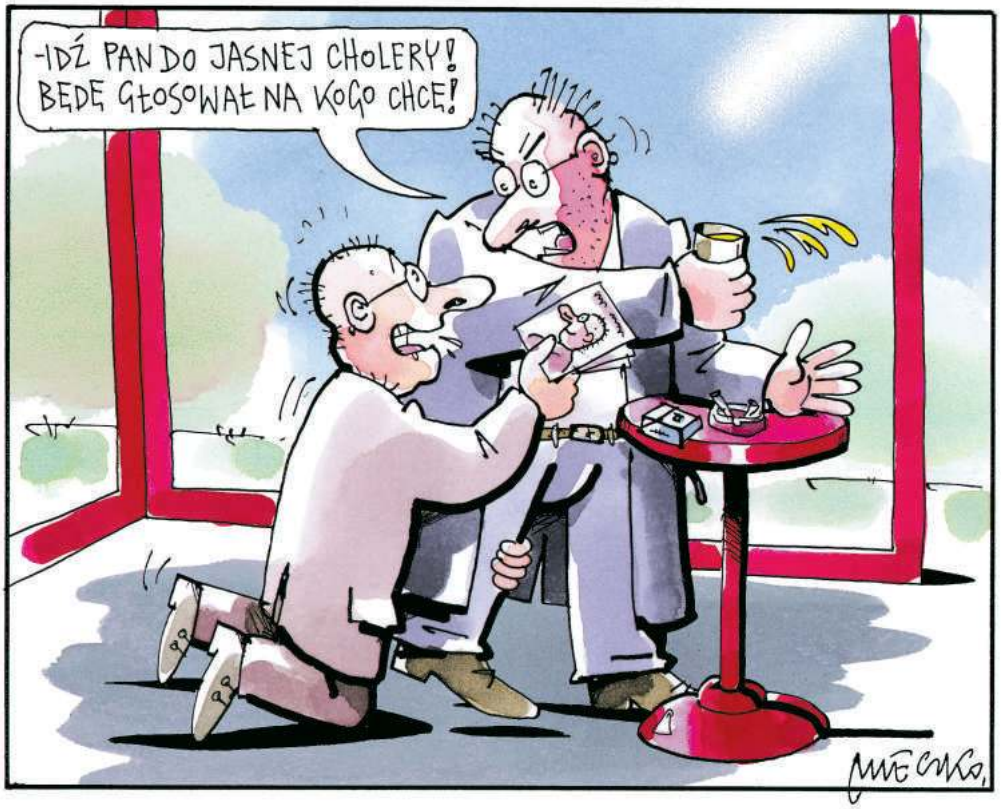

www.mleczko.pl

www.sklep.mleczko.pl

PYTANIE TYGODNIA | Czy w kryzysie warto wrócić do handlu w niedzielę?

DR PIOTR OSTROWSKI,
OPZZ

Naszą propozycją, która ma w pewien sposób zrównoważyć głosy za i przeciw, jest wprowadzenie do polskiego prawodawstwa gwarancji dwóch wolnych niedziel w miesiącu dla każdego pracownika, nie tylko handlu. Byłoby to rozwiązanie korzystniejsze dla zatrudnionych niż obecnie obowiązujące przepisy, które mówią o jednej wolnej niedzieli. Nie popieramy ani całkowitego zakazu, ani pełnej swobody pracy w niedzielę, gdyż związki zrzeszone w OPZZ nie mają w tej sprawie wspólnego stanowiska. Organizacje członkowskie działające w handlu wskazują, że ograniczanie handlu w niedzielę jest właściwe, gdyż pracownicy mają prawo do odpoczynku. I ten głos jest dla nas ważny.

RAFAŁ GÓRSKI,
Instytut Spraw Obywatelskich

Nie. Ten czas warto poświęcić na odpoczynek, spacer na świeżym powietrzu, gotowanie obiadu w domu, przeczytanie książki, rozmowę z najbliższymi. Szkoda życia na wycieczki po galeriach handlowych i szukanie szczęścia w zakupach. W języku chińskim słowo kryzys składa się z dwóch znaków. Pierwszy oznacza zagrożenie, a drugi szansę. Koronakryzys zagraża naszym nawykom, schematom i rutynie. Jednocześnie jest szansą na nowe patrzenie, myślenie i działanie. Takiego poszerzenia oglądu spraw, które są dla nas naprawdę ważne, życzę wszystkim w czasach kryzysu. Swoją drogą publiczne media powinny dziś nadawać spoty edukacyjne „Konsumuj mniej – bramy raju są wąskie".

MATEUSZ SABAT,
ekonomista

Zdecydowanie warto. Rozporządzenia związane z epidemią znacznie ograniczyły liczbę dni pracy wielu sklepów, zwłaszcza funkcjonujących w galeriach handlowych i centrach miast, a przywrócenie handlu w niedzielę mogłoby im pomóc nadrobić straty. Poza tym zakaz handlu raczej nie dał efektów, na które liczył ustawodawca, np. nie wsparł małych sklepów. Jego uchyleniu mogłoby towarzyszyć utrzymanie przynajmniej w części sklepów pracy całodobowej lub w wydłużonych godzinach. Byłoby to wygodne dla obywateli, rekompensowałoby handlowi straty, a rozładowanie ruchu byłoby korzystne z punktu widzenia bezpieczeństwa zdrowotnego.

Czytelnicy PRZEGLĄDU

KRZYSZTOF RATAJEK

Tak, z małym zastrzeżeniem: 35-godzinny tydzień pracy, dwie niedziele w miesiącu wolne, 35 dni urlopu, a za pracę w niedzielę 200% normalnej stawki.

BOGUMIŁ WOŹNIAKOWSKI

Przywrócenie handlu w niedzielę jest jak najbardziej wskazane. Po pierwsze, wyciągnie handel z zapaści, po drugie – wspomoże tych, którzy właśnie w ten dzień mogli sobie dorobić (studenci, starsi uczniowie itp.). Musi przy tym być spełniony warunek, że za pracę w niedziele i święta płacona jest podwójna stawka, a jedna niedziela w miesiącu jest dniem ustawowo wolnym od pracy. Przecież w niedziele i święta pracuje bardzo wiele osób, choćby w służbie zdrowia, komunikacji, energetyce, mediach czy kulturze.

Not. Michał Sobczyk

eprasa.pl b7174acf7d

BISKUPI UMYWAJĄ RĘCE

ZABAWA W CHOWANEGO

MAREK I TOMASZ SEKIELSCY – twórcy kolejnego filmu dokumentalnego o przestępstwach seksualnych polskich księży, „Zabawa w chowanego". Pierwszy film, „Tylko nie mów nikomu", obejrzało na YouTubie ponad 23 mln osób.

Rozmawia Roman Kurkiewicz

Zanim porozmawiamy o „Zabawie w chowanego" czy jeszcze o waszym pierwszym filmie, zapytam: co dalej?

Marek Sekielski: – W planach mamy film, w którym chcemy opowiedzieć o roli Jana Pawła II w tuszowaniu przypadków pedofilii. Nie tylko w Polsce, ale i na całym świecie. Ponad 25 lat pontyfikatu to długo i działy się w tym czasie w Kościołach w różnych państwach rzeczy straszne. To pewnie będzie największe wyzwanie, bo pomnikowość papieża Polaka jest tutaj tak potężna, że opór będzie, podejrzewam, ogromny. Dużo, dużo większy niż teraz czy przy pierwszym filmie. Trochę jesteśmy zmęczeni tematem, bo to wchodzenie w bardzo nieprzyjemne historie. To jest bardzo ważne, ale trudne. Cały czas liczę, że tym drugim filmem damy powód innym mediom, żeby trochę odważniej się zajmowały tą kwestią i zrobiły też swoją robotę. „Zabawa w chowanego" pokazuje, że temat cały czas żyje w Kościele. I jest cały czas aktualny.

Tomasz Sekielski: – Kiedy pracowałem przy pierwszym filmie, czymś, co zrobiło na mnie olbrzymie wrażenie, było osamotnienie ofiar, dramat osób, które nie znajdują żadnego zrozumienia i których nikt nie wspiera w walce. Oraz brak empatii ze strony Kościoła, kościelnych hierarchów. W pierwszym filmie w ogóle odmówili występu, nie odpowiedzieli nawet na nasze prośby o zajęcie jakiegoś stanowiska w tej sprawie.

MS: – Dla mnie wszystko było wtedy nowe, bo ten temat od strony telewizyjnej, filmowej został poruszony w Polsce w zasadzie po raz pierwszy tak na poważnie. Wcześniej nieliczne próby w telewizjach były bardzo skromne. Sadzano osobę pokrzywdzoną przez jakiegoś księdza, jej twarz była zawsze zamaskowana; ona opowiadała swoją historię, a reszta była narracją, którą autor sobie ustawił. Nikt w zasadzie nie szedł do księdza sprawcy czy jego biskupa. W naszym pierwszym filmie zarejestrowaliśmy bez wiedzy księdza jego wyznanie, w którym potwierdza zarzuty wobec siebie. Dzięki temu film miał taką siłę. Po raz pierwszy pokazaliśmy nie tylko ofiary, ale i sprawców.

W Polsce od prawie 30 lat i księża, i Kościół jako instytucja, a przede wszystkim hierarchowie, są traktowani jako ci, którym wolno więcej. Większość rozmów, wywiadów jest robiona na kolanach. Dziennikarze boją się rozmawiać z przedstawicielami kleru w odważny sposób. Teraz już mniej, natomiast jeszcze parę lat temu próba zadania jakiegokolwiek trudnego pytania księdzu była w Polsce niemożliwa, poza jakimiś wyjątkami. My to przełamaliśmy, bo zrobiliśmy to uczciwie, nie bojąc się, że poniesiemy konsekwencje. Pewnie dlatego, że byliśmy w 100% niezależni, nikt nas nie mógł ocenzurować i niczego zabronić. To było trudne z jednej strony, bo nowe, ale zrobiliśmy uczciwą robotę, którą należało zrobić dawno temu.

eprasa.pl b7174acf7d

W 2002 r. „Przekrój" opublikował wstrząsający tekst Andrzeja Saramonowicza, który ujawnił fakt molestowania go w dzieciństwie przez proboszcza. Ten ksiądz wówczas już nie żył. I cisza. Rada Etyki Mediów zrugała oficjalnie okładkę, na której było zdjęcie dużej grupy kardynałów zajętych sobą. A ta ilustracja mówiła dokładnie to, o czym są wasze filmy, czyli o milczeniu Kościoła. Milczeniu hierarchii. Wyparciu, odwróceniu oczu od problemu.

TS: – To była bardzo dobra okładka. Natomiast…

MS: – Czasy były trochę inne.

TS: – Wówczas w Polsce debata dotycząca przestępstw seksualnych popełnianych przez duchownych dopiero raczkowała. Musiało powstać ileś artykułów, książek, wywiadów, musiał powstać „Kler" Smarzowskiego, aby przygotować opinię publiczną na nasz film. Gdybyśmy ten film zrobili w 2002 r., zostałby po prostu przemilczany. A teraz – trafił w swój czas. W „Zabawie w chowanego" te mechanizmy skrywania, tuszowania, przemilczania są jeszcze bardziej uwypuklone i poszerzone o wątek wymiaru sprawiedliwości. Widzimy, kiedy i jak prokuratura wkracza do akcji. To może być dla wielu widzów szokujące, kiedy okazuje się, że – zgodnie z prawem – w trakcie śledztwa prokuratorskiego zebrane w tej sprawie dokumenty zostają przekazane kurii, aby ta mogła prowadzić postępowanie kanoniczne wobec księdza.

Pokazujecie to...

TS: – Tak się zdarzyło w tej sprawie. I mamy to potwierdzone też w samej kurii, na nagraniu, które jest w filmie.

MS: – I ta sama prokuratura, która dokumenty przekazuje, wie doskonale, że biskup, który akta za chwilę ma otrzymać, wiedział od lat, że ksiądz jest pedofilem. Byli u niego rodzice molestowanego chłopaka. Biskup nawet nie chciał z nimi rozmawiać. „Pani jest osobą trzecią, pani to nie dotyczy", mówi do matki chłopca, dzisiaj młodego mężczyzny. A samego księdza przenosi na inną parafię. I ksiądz za chwilę wypływa w innym miejscu. Czyli biskup, który te dokumenty otrzymuje, może mieć w tej samej sprawie postawione zarzuty mataczenia, ukrywania.

TS: – Hierarchą, o którym mówimy, jest bp Edward Janiak, dzisiaj biskup kaliski, wcześniej wrocławski biskup pomocniczy. Prokurator chce go przesłuchać jako świadka. Czyli biskup może się przygotować do zeznań, które będzie składał. A przecież jego nazwisko pojawia się w głośnej sprawie ks. Kani, który zostaje przeniesiony z Wrocławia do Bydgoszczy, gdzie dopuszcza się przestępstw seksualnych na młodocianych. A osobą biorącą udział w przenosinach księdza, co do którego już w 2005 i 2006 r. były informacje, że znaleziono u niego w komputerze pornografię dziecięcą, że próbuje kupować seks za pieniądze u chłopców na ulicy i zostaje zatrzymany przez policję – jest właśnie Janiak.

W Bydgoszczy ksiądz dalej dopuszcza się przestępstw, później trafia zresztą za kratki. A Janiak z biskupa pomocniczego awansuje na biskupa kaliskiego i w 2016 r. – mamy na to dowód, nagranie w filmie – przyjeżdżają do niego na spotkanie rodzice ofiary i opowiadają o kolejnym księdzu, Arkadiuszu Hajdaszu, bo to on jest głównym negatywnym bohaterem naszego filmu. Rodzice informują biskupa, że ich syn został wykorzystany seksualnie przez tego księdza. Biskup właściwie ich przegania, nie ma cienia empatii, mówi im, że są osobami trzecimi i jego nie interesuje takie zawiadomienie. Syn ma przyjść sam. Dosłownie parę dni po wizycie rodziców dymisjonuje księdza z funkcji proboszcza i ukrywa na jakiś czas, a później ten ksiądz pojawia się jako kapelan w szpitalu w Kaliszu, gdzie odprawia msze, ma też kontakt z dziećmi.

MS: – Szpital ma oddział dziecięcy.

TS: – Tak. I ta sytuacja trwa przez trzy lata, dopóki sprawa nie trafia do prokuratury. Zawiadomienie składa jeden z bohaterów naszego filmu, Bartek, ponieważ jego sprawa się nie przedawniła. Towarzyszymy mu od tego momentu, od 2018 r., gdy rozpoczyna swoją walkę. Dopiero po tym jak prokuratura zaczyna się tym zajmować, gdy pojawiają się kolejni świadkowie, sprawa zaczyna być bardzo poważna, biskup kaliski zawiadamia Watykan i rusza postępowanie kościelne. Czyli mijają trzy lata, w czasie których biskup, mimo że ma informacje, nie robi nic. Co więcej, w innej sprawie sąd przyznał odszkodowanie jednej z ofiar, zgadzając się z pozwem, w którym jako odpowiedzialne za to, że doszło do tych zdarzeń, wskazane zostały diecezje wrocławska i bydgoska. Wskazani też zostali konkretni biskupi, w tym Janiak. I z powodu kolejnych błędów i zaniedbań podległy mu ksiądz skrzywdził następne osoby.

W „Zabawie w chowanego" mechanizmy tuszowania pedofilii księży są jeszcze bardziej uwypuklone i poszerzone o wątek wymiaru sprawiedliwości.

Ofiary są gotowe opowiedzieć o strasznych rzeczach, których doświadczyły. Takiej odwagi nie ma po stronie Kościoła. Kadr z filmu.

eprasa.pl b7174acf7d

Po latach dostaje podobną sprawę i znowu nic z nią nie robi. Nazywamy to chyba recydywą? Ostatnie zdjęcia do „Zabawy w chowanego" kręciliśmy w lutym tego roku. Po „Tylko nie mów nikomu" sami hierarchowie, a przynajmniej ich część, mówili, że nie mogą tego tolerować. Ale ten biskup funkcjonuje po staremu, nic, żadnej nauki, zmiany. Odmawia wywiadu, co więcej, odmawia spotkania z ofiarami ks. Hajdasza. Niewzruszony.

Mamy scenariusze znane z Irlandii, ze Stanów Zjednoczonych – tam były trzęsienia ziemi. W USA diecezje zaczęły bankrutować. Jak to możliwe, że polski Kościół niczego się nie uczy? Dlaczego tak się dzieje?

MS: – Niektórzy pytają, czy próbujemy zniszczyć Kościół. Nie, nie próbujemy zniszczyć Kościoła, po prostu ujawniamy jakiś skrawek prawdy. A Kościół nie robi z tym kompletnie nic i – moim zdaniem – sam sobie zaciska pętlę na szyi. Polscy hierarchowie nie uczą się na doświadczeniach kolegów z innych państw, gdzie ewidentnie było widać, że tam, gdzie Kościół do końca udawał głupa, następowała w końcu taka katastrofa, że z tego Kościoła niewiele zostawało. Polski Kościół jest na tej samej drodze. Mamy równo rok od premiery i co? Co się wydarzyło, jeśli chodzi o działania polskich duchownych? Przy Kościele, w ciężkich bólach, powstała jakaś tam fundacja. Nie wiemy nawet, czy ona działa.

Bp Edward Janiak funkcjonuje niewzruszony.

Widzieliśmy przy pracy nad pierwszym filmem, jak ciężka to dla ofiar próba – złożyć zawiadomienie w postępowaniu kościelnym. Osoby pokrzywdzone muszą iść do księdza delegata, który zaprasza je do budynków kościelnych. Znowu wchodzą do miejsca, w którym były krzywdzone. A to, jak się zachował Janiak… Jeszcze wobec nas to mniej ważne, ale jak wobec braci, bohaterów naszego filmu, którzy sami przez ileś miesięcy próbowali z nim się spotkać, żeby porozmawiać? Tomek używa takiego określenia, że biskupi są jak książęta, każdy ma swoje włości i jest nietykalny. I to prawda – każdy biskup, dopóki Watykan go nie odwoła, jest sobie panem. A żeby go Watykan odwołał, to już naprawdę musiałyby być jakieś wielkie sprawy.

TS: – Problem polega na tym, że polscy hierarchowie nie są gotowi na rozliczenie samych siebie. Zdają sobie sprawę z tego, że wśród nich są osoby, które mają na sumieniu zaniechania, zaniedbania, to, że zamykały oczy albo nawet z premedytacją ukrywały sprawców. Na to się nakłada problem związany z tym, że państwo wciąż rozpina nad Kościołem parasol ochronny i hierarchowie mają poczucie bezkarności. Słusznie czy nie, ale mają.

O ile ściganie sprawców bezpośrednich, tych, którzy gwałcili i wykorzystywali seksualnie dzieci, nie jest już niczym szokującym, o tyle wciąż nie ma śledztw, które miałyby pokazać kontekst procederu – kto ukrywał, kto dopuszczał do tego, że dany ksiądz przez tyle lat mógł bezkarnie działać. Brak tych rozliczeń wśród hierarchii wynika również z tego, że rządzący w polskim Kościele są świadomi, że dokładne zbadanie i naświetlenie tej sprawy może spowodować runięcie iluś mitów i legend pomnikowych postaci polskiego Kościoła. Mówię oczywiście w przenośni, bo nikogo nie namawiam do obalania niczyich pomników. To jest olbrzymi problem dotyczący mentalności duchownych, którzy wciąż nie rozumieją, jak wielką tragedię przeżywają osoby wykorzystywane seksualnie w dzieciństwie.

Wreszcie myślę, że Kościół boi się o kasę, bo uczciwe rozliczenie i przyznanie się siłą rzeczy musi też oznaczać odszkodowania. Kościół powinien je wypłacić, i to nie gdzieś pokątnie albo dopiero po procesach sądowych. To powinna być jasna i czytelna procedura. I powinno to być wiadome publicznie. Kościół się tego obawia, bo wie, że w Stanach te odszkodowania były gigantyczne i niektóre parafie bankrutowały.

Całe diecezje...

TS: – A np. w Niemczech po prostu zaznaczono, że nie da się zrekompensować finansowo krzywdy, to jasne, ale żeby w jakikolwiek sposób zadośćuczynić, określono minimalną stawkę – 5 tys. euro. Ofiary, które się zgłaszają, których sprawy są już udokumentowane i potwierdzone, otrzymują odszkodowanie z automatu.

Interesuje mnie ogrom zaniechania ze strony państwa, jego instytucji.

TS: – W naszym filmie widać wyraźnie, że państwo nie działa z odpowiednią determinacją, odpowiednio skutecznie. We wrześniu weszła w życie ustawa o państwowej komisji ds. pedofilii, mającej szerokie uprawnienia i mogącej się zajmować tym, co się działo nie tylko w Kościele, ale w ogóle w szeroko rozumianej przestrzeni publicznej. Ta komisja ma też możliwość prowadzenia własnych śledztw. Tylko że ona do dziś nie powstała. Ani premier, ani prezydent, ani Senat czy Sejm nie delegowali nawet do tej komisji swoich przedstawicieli. Czyli tutaj mamy jakąś fikcję.

Bp Janiak nie chciał rozmawiać z rodzicami molestowanego chłopaka. Przeniósł księdza na inną parafię. I ksiądz za chwilę wypłynął w innym miejscu.

eprasa.pl b7174acf7d

W maju, po premierze pierwszego filmu, było wielkie oburzenie wśród polityków, wzmożenie moralne, w trakcie debaty sejmowej latały dziecięce buciki, politycy wszystkich opcji zapewniali, że teraz to już będą walczyć z pedofilią, bez względu na to, czy to jest ksiądz, nauczyciel, górnik, murarz – wszystkie sprawy będą traktowane poważnie i rozliczane.

W planach mamy film, w którym chcemy opowiedzieć o roli Jana Pawła II w tuszowaniu przypadków pedofilii.

I co mamy? Nic. Tu już na dzień dobry mamy odpowiedzialność, i to nie tylko rządzących, ale także polityków opozycji, którzy – nie wiem – bali się tej sprawy, uznali, że ona nie daje punktów politycznych, a mieliśmy po drodze wybory. Moim zdaniem opozycja przestraszyła się tego tematu, bo wmówiono politykom, że film Sekielskich zmienił wynik wyborów do europarlamentu. A opozycja, która mogła w kwestii komisji dalej działać, nagłaśniać, zwoływać konferencje, przypominać, że nic się nie dzieje, przespała rok. I dzisiaj słyszymy, że komisja nie powstaje, bo jest epidemia i są ważniejsze sprawy. A jeśli chodzi o organy ścigania, to – mówiąc wprost – Kościół jest wciąż traktowany w sposób szczególny.

MS: – Nawet bardziej.

TS: – Rzecznik Episkopatu mówi, że jest porozumienie z Prokuraturą Krajową i że wszystkie trafiające do biskupów sprawy, które dotyczą przestępstw pedofilskich, mają być kierowane nie do prokuratury miejsca zdarzenia czy do prokuratury pierwszego kontaktu, tylko raportowane do Prokuratury Krajowej. Prokuratura Krajowa wydaje długo ukrywany okólnik, który w końcu ujawniła pod koniec zeszłego roku Gazeta.pl. I przeszło to bez echa. Jasno daje się w nim do zrozumienia prokuratorom, że, po pierwsze, mają raportować, jeśli występują do kurii o dokumenty, a po drugie, mają postępować „z poszanowaniem instytucjonalnej autonomii Kościoła". Jaki to sygnał dla prokuratora? Uważaj, co robisz. Masz najpierw zameldować, że chcesz coś zrobić, a my ci jasno mówimy, że masz to robić bardzo ostrożnie. Ten prokurator na dole, który zajmuje się sprawą, od razu jest ustawiony i sterowany.

MS: – Każdy po prostu wie, że to są tematy podwyższonego ryzyka i najbezpieczniej tym się nie zajmować. Presja, którą wywołuje taki okólnik, sprawia, że prokuratorzy robią jeszcze mniej, niż robili. Z jednej strony, była reakcja: podwyższono karę za pedofilię, wydłużono okres przedawnień itd. Z drugiej, każdy prokurator, który za bardzo będzie się angażował w zwalczanie pedofilii wśród duchownych, naraża się na konsekwencje służbowe.

W oscarowym filmie „Spotlight" o tuszowaniu przestępstw seksualnych księży w Bostonie kluczowym momentem jest znalezienie kogoś ze strony kościelnej, kto potwierdzi, że kardynał wiedział o wszystkim, ale ukrywał i sprawę, i sprawcę. Znaleźliście takiego sojusznika ze strony Kościoła?

TS: – My po prostu to pokazujemy, nie potrzebowaliśmy potwierdzenia ze strony Kościoła. Natomiast nie udało nam się znaleźć żadnego sprawiedliwego, który wyjdzie i na konkretnych przypadkach opisze mechanizm, będzie takim „świadkiem koronnym", który przerywa zmowę milczenia i jest gotowy publicznie opowiedzieć o błędach i grzechach Kościoła. Wciąż na to czekamy, może po kolejnym naszym filmie wreszcie znajdą się sprawiedliwi i wbrew zmowie milczenia opowiedzą o tym. Natomiast bohaterowie są odważni – mówię o dwóch braciach, którzy pokazują twarz, ujawniają nazwiska, i o Andrzeju, który też był wykorzystywany przez tego księdza – on również pokazuje swoją twarz i opowiada o tym, co przeżył. Ofiary są gotowe opowiedzieć o strasznych rzeczach, których doświadczyły. Takiej odwagi nie ma po stronie Kościoła.

Oba filmy powstały bez współprodukcji, udziału wielkich mediów. Jak w tej układance władza-Kościół widzicie media?

TS: – Pierwszy film musieliśmy w ten sposób sfinansować, bo po kilku próbach rozmów, gdy odbijałem się od kolejnych drzwi, nie mieliśmy innego wyjścia. Natomiast ten drugi już z pełną premedytacją robimy w sposób całkowicie niezależny, także jeśli chodzi o finansowanie. Daje nam to absolutną niezależność, co jest niezwykle ważne, jeśli porusza się tematy, które wywołują kontrowersje społeczne czy nawet polityczne. Teraz pracujemy nad filmem o SKOK-ach, który, mam nadzieję, ukaże się jesienią. Dzisiaj nie szukamy wsparcia finansowego od jakichś dużych mediów, nie chcemy koprodukcji. Dziś to nam ludzie bardziej ufają, bo po pierwszym filmie widzą, że ich pieniądze nie zostały wyrzucone w błoto. Możemy liczyć na to, że opierając się na takim modelu finansowym, będziemy funkcjonować.

Tam, gdzie Kościół w sprawie pedofiliii udawał głupa, następowała taka katastrofa, że z tego Kościoła niewiele zostawało.

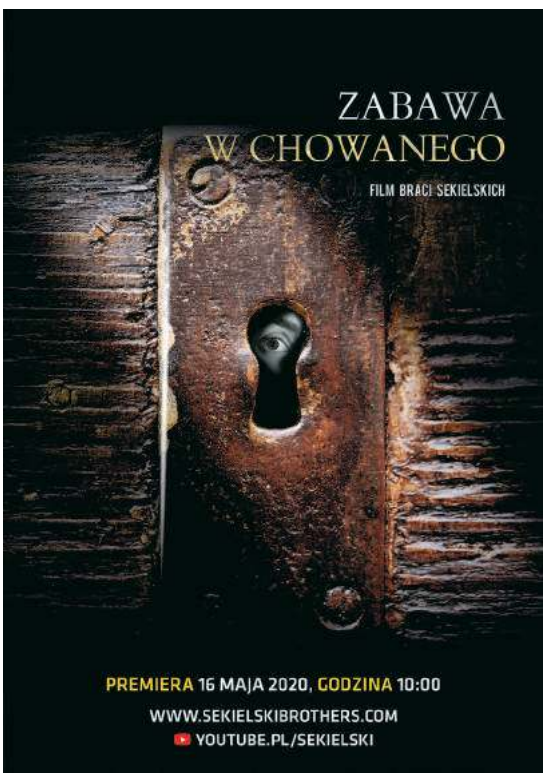

Trzeba dyskutować o kondycji współczesnych mediów

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, JULIA SEKIELSKA, YOUTUBE, MACIEJ KONIECZNY/REPORTER, MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b7174acf7d

i o tym, czym się zajmują, ile miejsca poświęcają na zabawy w piaskownicy polityków, a ile na tematy istotne społecznie, które należałoby poruszać i nagłaśniać, i bić się o nie. Ale też zdajemy sobie sprawę z tego, że media komercyjne muszą zarabiać, że liczy się klikalność, oglądalność, słuchalność, sprzedaż egzemplarzy. Mając coraz mniejsze zespoły redakcyjne i mniej kasy, łatwiej jest relacjonować awantury z Sejmu, niż robić długie śledztwa i grzebać się przez miesiąc z jakimś tematem, nie mając gwarancji, co z tego ostatecznie będzie.

Nie chcę tu uprawiać jakiegoś hejtu na media. Jestem zbudowany reakcją mediów na nasz pierwszy film, tym, że wiele z tych spraw zostało pociągniętych, nagłośnionych, zadano pytania kościelnym hierarchom. Nie chciałbym uchodzić za jedynego sprawiedliwego, bo musimy patrzeć na szerszy kontekst, w jakim funkcjonują media.

MS: – Ale w sumie to dobrze dla sprawy, że ludzie z dużych mediów widzą, że zrobiliśmy te filmy tak, jak zrobiliśmy, i że będziemy robić kolejne zupełnie sami, bez kooperacji z kimkolwiek. Nikt nie może przykleić nam łatki, że z powodu pieniędzy reprezentujemy czyjeś interesy. Dzięki temu o emisji „Zabawy w chowanego" od przynajmniej miesiąca rozmawiam z kilkoma stacjami telewizyjnymi.

Macie nadzieję, że ta zabawa w chowanego się skończy? Czy raczej będzie jeszcze trwała?

TS: – Tak jak nie wierzyłem, że wszystko się zmieni na lepsze po pierwszym filmie, nie jestem naiwny i nie oczekuję, że drugi nasz film załatwi problem. Ale mam nadzieję, że to będzie kolejny duży, ważny krok w kierunku jego naświetlenia i rozwiązania. I być może przyczyni się do tego, że instytucje państwa zaczną trochę odważniej działać. Mam też nadzieję, że to będzie kolejny krok, jeśli chodzi o zmianę świadomości społecznej w kwestii przestępstw seksualnych, których dopuszczają się duchowni. Takie są moje oczekiwania. Ważne jest to, co media zrobią z tematem, który pokazujemy.

Wciąż nie ma śledztw, które miałyby pokazać kontekst procederu – kto ukrywał, kto dopuszczał do tego, że dany ksiądz przez tyle lat mógł bezkarnie działać.

MS: – Dajemy ludziom wiedzę, a co z tą wiedzą zrobią, to ich sprawa. Na to już nie mamy wpływu. Czy Kościół zechce się reformować, nie wiem. Nie mam zbyt wielkiej wiary, jeśli chodzi o tę instytucję, bo ostatni rok pokazał, że niespecjalnie ma jakieś refleksje. Ale presja społeczna pewnie będzie narastać. Im częściej i odważniej ten temat będzie poruszany, tym bardziej ludzie będą się odwracać od Kościoła, zwłaszcza że on nawet nie próbuje się oczyścić w jakiś transparentny sposób. Częściej już pojawiają się sytuacje, że dochodzi między jakąś kurią a ofiarą księdza do cichej ugody, bez procesu, wypłacane są jakieś odszkodowania. Natomiast to, w jaki sposób te pieniądze trafiają do ofiar, pokazuje, że Kościół cały czas robi wszystko, by to zamaskować. Znamy historię chłopaka, który dostał pieniądze i dostał na nie podpisaną przez biskupa umowę. Są w niej wymienieni z imienia i nazwiska księża, za których „czyny" jest to odszkodowanie. I kto te pieniądze wypłaca ofierze? Tamtejszy Caritas. Albo jest dogadana umowa, a przyjeżdża prawnik reprezentujący Kościół...

...z teczką?

MS: – ...z walizką pieniędzy. Tak jak w filmie „Kler", gdzie biskup jest wk… ale sięga do sejfu, bierze reklamówkę i wkłada 50 czy 100 tys. Tak to się dzieje, to nie jest wymyślony świat, niestety. Chrystusowcy, którzy przegrali we wszystkich instancjach z Kasią ze Szczecina – najgłośniejsza do tej pory sprawa o milion złotych – wykorzystali wszelkie możliwe drogi, łącznie z Sądem Najwyższym, żeby jednak nie wypłacić odszkodowania. To pokazuje, gdzie są słowa szefów Kościoła, a gdzie ich czyny.

To jeszcze na koniec – jak tą „Zabawą w chowanego" wpłyniecie na wybory prezydenckie?

MS: – Andrzej Duda chyba niestety wygra, bardzo przepraszamy, przede wszystkim wyborców Koalicji Obywatelskiej i sympatyzujących z nią publicystów, za to, że niszczymy sondażowo świetnie funkcjonującą kandydatkę Małgorzatę Kidawę-Błońską. Ja się biję w piersi, moja wina, przyznaję się (śmiech).

TS: – Ja myślę, że ten film będzie miał wpływ też na suszę w Polsce. Albo na jej brak.

Że będzie większa?

TS: – Będzie jeszcze większa, oczywiście. Już z góry biorę winę na siebie. Jeśli ta susza będzie jeszcze większa, to przez film Sekielskich.

Roman Kurkiewicz

Rozmowa odbyła się przed ogłoszeniem przez Małgorzatę Kidawę-Błońską rezygnacji ze startu w wyborach prezydenckich.

Poczta Polska
Zamów pocztową prenumeratę PRZEGLĄDU
Oszczędność czasu i pieniędzy!
Zamówienia można składać do 25 maja 2020 r.
Realizacja od lipca 2020 r. po dokonaniu przedpłaty:
74 zł – III kwartał 148 zł – II półrocze
• we wszystkich placówkach pocztowych na terenie kraju lub u listonoszy;
• drogą elektroniczną pod adresem: prenumerata.poczta-polska.pl.

eprasa.pl b7174acf7d

Żyjemy w czasach klątwy długopisu

Wybory po polsku: Kidawa odchodzi, Trzaskowski przychodzi, Kaczyński miesza, Duda śpiewa

Robert Walenciak

Polska polityka jest jak zerwany podczas burzy latawiec. Gdzieś fruwa, ale przecież nikt nie wie, co z nim za chwilę się stanie.

Oto krótki zapis ostatnich dni: wybory prezydenckie 10 maja się nie odbyły. Ale i tak mamy pierwszą przegraną. Jest nią Małgorzata Kidawa-Błońska. Platforma Obywatelska wycofała ją z wyścigu. Zastąpi ją prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

Poza tym nie wiadomo, kiedy będą nowe wybory i jaki jest kalendarz polityczny. Czy można zgłaszać nowych kandydatów, do kiedy itd. Do końca nie zostało też ustalone, według jakich zasad wybory będą się odbywać – ogólnie tylko określono, że będą hybrydowe. Ale nowa ustawa o wyborach wciąż jest procedowana, teraz trafiła do Senatu.

Mamy zatem kolejną turę chaosu. I to wcale nie koronawirus jest temu winien.

15 maja Małgorzata Kidawa-Błońska ogłosiła oficjalnie decyzję o rezygnacji ze startu w wyborach prezydenckich. Nowym kandydatem Koalicji Obywatelskiej został prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski.

Co z tymi wyborami?

Zacznijmy od wydarzenia spodziewanego, choć bezprecedensowego. Wybory 10 maja się nie odbyły. A to z tego prostego powodu, że nikt ich nie zorganizował. Ktoś poniesie za te niewybory konsekwencje prawne? Pytanie retoryczne. Polska jest na takim etapie, że wszelkie przepisy prawa, Kodeks wyborczy itd., zeszły na drugi plan. Prawo, jego zapisy – to wszystko jest płynne. Jak u Karola Marksa, prawo odzwierciedla aktualny układ sił politycznych. Kto silniejszy, ten w tym prawie wyrąbuje sobie więcej. I tyle.

Wedle Prawa i Sprawiedliwości kolejnym terminem wyborów prezydenckich powinien być 28 czerwca. PiS ma w Sejmie większość, bo Gowin też jest za tym terminem, więc teoretycznie wszystko powinno pójść już gładko. Tylko że w żaden sposób nie zgadza się to z istniejącymi przepisami.

Zerknijmy na kalendarz wyborczy. Marszałek Sejmu Elżbieta Witek ma obowiązek rozpisać nowe wybory w ciągu 14 dni od stwierdzenia przez Sąd Najwyższy nieważności wyborów wobec ich nieodbycia. I już jest pierwsza wątpliwość – czy to Sąd Najwyższy będzie stwierdzał, czy wystarczy uchwała Państwowej Komisji Wyborczej? Jeżeli tę prawną przeszkodę przejdziemy, pojawią się nowe. Otóż marszałek Sejmu musi nową datę wyborów wyznaczyć na dzień nie późniejszy niż 60 dni od ogłoszenia. Jeżeli będzie ją ogłaszać np. 20 maja, to wybory muszą się odbyć nie później niż 19 lipca.

Ale są i inne utrudnienia. Otóż zgodnie z kalendarzem wyborczym w wyborach mogą startować tylko kandydaci zgłoszeni przez komitety wyborcze. Komitety trzeba zaś zgłosić do PKW 55 dni przed głosowaniem, a samych kandydatów – najpóźniej 45 dni.

Policzmy – jeżeli wybory miałyby się odbyć 28 czerwca, to już minął termin zgłaszania komitetów wyborczych i kandydatów. Skąd więc pomysł, by wycofać Kidawę-Błońską? Z jakiego przekonania on wynika?

Oczywiście byłoby rozsądne przesunąć wybory przynajmniej o parę tygodni. Kalendarz wyborczy dotyczy bowiem także działań PKW i przygotowań organizacyjnych – trzeba m.in. powołać okręgowe komisje wyborcze, zrekrutować członków komisji wyborczych, zatwierdzić wzory kart i karty wydrukować… Te wszystkie czynności są regulowane prawem i mają swoje określone terminy.

Kłopot w tym, że prawo… nie istnieje. Obowiązuje wciąż ustawa o wyborach pocztowych, niemożliwa do zrealizowania, a nad nową,

FOT. JAKUB KAMIŃSKI/EAST NEWS

eprasa.pl b7174acf7d

regulującą najbliższe głosowanie, prace rozpoczyna Senat. I ma 30 dni, żeby je zakończyć.

Możemy więc w ciemno zakładać, że tym razem do przeprowadzenia wyborów też potrzebna będzie zgoda polityków. Mówi się zresztą o spotkaniu Grodzki-Duda (Kaczyński z Grodzkim nie chciał rozmawiać), podczas którego wyjaśnione mają być wszystkie sporne sprawy. Czy tak się stanie?

W sondażach króluje Andrzej Duda, ma ponad 40% poparcia, a czasami ponad 50%, chociaż gołym okiem widać, że nie zasługuje nawet na 5%.

W takie rozwiązanie wierzy Jarosław Gowin. Mówił on, że Senat mógłby po prostu poprawić przegłosowaną przez PiS ustawę, skrócić terminy wyborcze. Ale czy senatorowie będą chcieli przyłożyć rękę do pisowskiego niechlujstwa? Przecież gdyby posłowie nie pisali tej nowej ustawy na kolanie, gdyby na jej przyjęcie w Sejmie dali sobie choćby dwa-trzy dni, a nie kilka godzin, te wszystkie błędy pewnie dałoby się wyłapać.

Przyjmijmy więc na razie taką wersję: nie wiadomo, kiedy będą wybory. Ani na jakich zasadach. Niechlujstwo prawne PiS i niechęć do współpracy z opozycją są górą.

Do tego mamy opozycję, która w sposób coraz bardziej irytujący nie jest w stanie wypracować wspólnego stanowiska w najprostszych i najbardziej oczywistych sprawach. Nie potrafi czegokolwiek jasno zakomunikować. Jakby zaraziła się od PiS wirusem krętactwa. To też jest nieszczęście.

Platforma w odwrocie

Nie wiadomo, kiedy będą wybory, za to wiadomo, że nie będzie w nich startowała Małgorzata Kidawa-Błońska. W piątek, 15 maja, kandydatka PO ogłosiła rezygnację. Oczekiwano tego już od jakiegoś czasu, kolejne sondaże były dla kandydatki bezlitosne, miała w nich po parę procent poparcia.

Gdy kilka miesięcy temu, po wyborach parlamentarnych, Małgorzata Kidawa-Błońska stawała do wyścigu prezydenckiego, miała wszelkie papiery, by zawalczyć o wygraną. Była jedynką Koalicji Obywatelskiej w wyborach w Warszawie, osiągnęła w nich znakomity wynik, zebrała więcej głosów niż Jarosław Kaczyński. Prezentowała się elegancko, dostojnie, z wdziękiem obnosiła jako prawnuczka Władysława Grabskiego.

Pierwsze sondaże dawały jej grubo ponad 20% poparcia, czyli pewne wejście do II tury. Co to oznaczało? Wiadomo, II tura wyborów prezydenckich, jeśli do niej dojdzie, będzie rodzajem plebiscytu – jesteś za PiS czy przeciw? Czyli wejście do niej oznacza wielkie szanse na pokonanie Dudy.

Innymi słowy, Małgorzata Kidawa-Błońska do wyborów prezydenckich startowała ze znakomitej pozycji. Mając bardzo dobre poparcie, aparat największej partii opozycyjnej i kilka miesięcy na udowodnienie Polakom, że jest najlepsza. Po kilku miesiącach poparcie dla niej spadło do 2-4%.

Dlaczego tak się stało? Najczęściej tłumaczone jest to tym, że w czasie forsowania ustawy pocztowej Małgorzata Kidawa-Błońska wzywała do bojkotu tak organizowanych wyborów. Do zbojkotowania farsy i oszustwa. A jednocześnie nie wycofywała swojej kandydatury.

W systemie władzy PiS Andrzej Duda jest gdzieś daleko. W okolicach marszałek Witek. Za nią czy przed nią? Nieważne.

Jednych to myliło, natomiast drugich śmieszyło. Bo gdzie tu rozum – wzywać do bojkotu wyborów, w których się startuje? W efekcie jej wyborcy wskazywali w sondażach, że głosować nie będą. Nie wypełniali więc dalszej części badania – na kogo oddasz głos. W ten sposób Kidawa-Błońska zaczęła szorować po sondażowym dnie.

Przypadek z wezwaniem do bojkotu to jednak tylko wierzchołek góry lodowej. Bo na porażkę Kidawy-Błońskiej złożyło się wiele innych czynników.

Po pierwsze, szła ona do wyborów jako kandydatka partii. A ta partia przeżywa wyraźny kryzys, zapada się na naszych oczach, jest skłócona i bardziej szkodzi, niż pomaga.

Platforma nie podniosła się po utracie władzy pięć lat temu, to jest partia ludzi chętnych do rządzenia, ale poza chęciami i przekonaniem o własnej doskonałości niewiele mająca do zaoferowania wyborcom. Ewidentnie ten projekt polityczny się skończył, PO musi się przeformatować, ciepła woda w kranie to dziś za mało.

Te kłopoty widać było w kampanii Kidawy-Błońskiej. Kandydatka nie potrafiła zająć stanowiska w żadnej ważniejszej sprawie, a jeżeli już zajęła – to nie potrafiła go obronić. Gasła w oczach.

Po drugie, w wyborach prezydenckich liczy się osobowość – wyborcy patrzą na telewizyjny ekran i oceniają, czy kandydat jest elokwentny, dobrze się prezentuje i czy ma naturę lidera. A tej ostatniej Kidawie-Błońskiej brakowało. Symbolem stały się jej konferencje prasowe, kiedy obok niej stał Borys Budka i podpowiadał, co ma mówić. To było działanie o wielkiej sile destrukcyjnej – oto kandydatka na prezydenta bez własnego zdania, powtarzająca coś po szefie partii.

Jej wyborców zaczęli przejmować inni kandydaci. Tacy, po których widać, że im się chce. Władysław Kosiniak-Kamysz, bardziej konserwatywny, zwracający się do mieszkańców mniejszych miejscowości. No i Szymon Hołownia, gwiazda TVN, liczący na elektorat PO, Nowoczesnej i młodzież.

I rzecz trzecia – PO otoczona była i jest różnymi grupami sympatyków, publicystów, działaczy. Tworzą oni towarzystwo mocno egzaltowane, rozgadane, związane z największymi miastami, więc raczej oderwane od tzw. polskiej rzeczywistości, no i chętnie deliberujące o polityce, choć rzadko trafnie. Kidawa-Błońska szybko stała się jego ofiarą. Nie potrafiła jako lider narzucić swojego spojrzenia na Polskę, więc płynęła z nurtem. Ulegała podpowiedziom, przejmowała się (takie można odnieść wrażenie)

eprasa.pl b7174acf7d

słowami troski i krytyki. Tak oto ogon kręcił psem.

Czy jej następca w roli kandydata PO w wyborach prezydenckich uniknie tych błędów? Pokaże osobowość lidera, samca alfa, pociągnie za sobą pół Polski? Czy wystarczy mu na to tych parę tygodni, które zostały do wyborów, kiedy Kidawie-Błońskiej nie starczyło pół roku?

Panika u Dudy (i nadzieja)

Nikt na te pytania nie potrafi odpowiedzieć i to jest miara nieobliczalności polskiej polityki. Tu w sondażach króluje Andrzej Duda, ma ponad 40% poparcia, a czasami ponad 50%, choć gołym okiem przecież widać, że nie zasługuje nawet na 5%.

Ale nie znęcajmy się nad Dudą, gdyż najboleśniejsze ciosy i tak spadają na niego ze strony PiS. Ten najdotkliwszy przyszedł w środę, 6 maja. Andrzej Duda właśnie debatował w TVP z kontrkandydatami, a w tym samym czasie Jarosław Gowin z Jarosławem Kaczyńskim przekładali termin wyborów prezydenckich. Trudno o bardziej dobitny dowód, że Duda w politycznym rozdaniu jest ledwie pionkiem w grze. On to wie i widać to po nim.

Jego kampania też wyhamowała, on już nawet nie ma siły udawać, że coś znaczy, że wydaje polecenia premierowi itd. Gdzieś zniknęły te konferencje, podczas których mówił Morawieckiemu, jak działać, jak rozdawać pieniądze.

Po prostu wszyscy wiedzą i widzą, że w systemie władzy PiS Andrzej Duda jest gdzieś daleko. W okolicach marszałek Witek. Za nią czy przed nią? A jakie to ma znaczenie?

To również tłumaczy, dlaczego prezydent wziął udział w zabawie w rapowanie, ośmieszając się potężnie. Śpiewanie piosenek to akurat jest poziom jego kompetencji i możliwości. Można rzec, że do tej roli sprowadził go system PiS. Ale nie jest to do końca prawdą – bo to także efekt miernych możliwości intelektualnych Andrzeja Dudy i jego charakteru.

Prezydentura w czasach Andrzeja Dudy uległa dewaluacji. Prezydent stał się notariuszem rządzącej większości, notariuszem prezesa, nie ma wpływu ani na bieżącą politykę, ani na życie intelektualne Polaków. Wałęsa, Kwaśniewski, nawet Lech Kaczyński – oni odcisnęli i na prezydenturze, i na Polsce swoje piętno. Potem przyszła klątwa żyrandola, a teraz żyjemy w czasach klątwy długopisu.

Dlatego Polacy instynktownie kojarzą dziś prezydenturę jako posadę trzeciorzędną. Prezydenta widzą w roli wodzireja na festynach. I taką miarę przykładają do innych kandydatów. To dlatego tak im słabo idzie, bo gdzie im w tych konkurencjach walczyć z Dudą.

Kaczyński, PiS, Duda… Oni wszyscy ciągną Polskę w dół.

To jest zresztą zdanie na zakończenie – jeżeli ktoś chce wygrać z Dudą, musi wpierw odbudować obraz prawdziwej prezydentury i prawdziwego prezydenta. Słowem, gestem. I zachwycić tym Polaków.

Robert Walenciak

eprasa.pl b7174acf7d

Rozgrywka o losy świata

Idzie ku zimnej wojnie ideologicznej. Chiny jej nie chciały, ale mówią, że nie ustąpią. Oko za oko i ząb za ząb

Rozmawia Robert Walenciak

PROF. BOGDAN GÓRALCZYK
– politolog, sinolog

5 marca miała się odbyć doroczna sesja parlamentu chińskiego. Została odwołana, co było wydarzeniem bez precedensu. Z powodu epidemii koronawirusa. Teraz wyznaczono jej nowy termin.

– Na 22 maja.

Jaka jest atmosfera przed sesją parlamentu? Czego możemy się spodziewać? Czy Xi Jinping ogłosi wielkie zwycięstwo nad koronawirusem? A może wybierze wariant łagodniejszy?

– Tego nie wiemy. To dla nas, obserwatorów, będzie jak papierek lakmusowy, atmosfera obrad pokaże nam, w którym kierunku zmierza chińska polityka. Na razie, kiedy obserwuje się tamtejszą propagandę, media, nadal prezentowany jest kult jednostki, skupianie się wokół wodza. To strategia sprawdzona, znana z historii. Sesja parlamentu zaczyna się zawsze od zaprezentowania raportu o pracach rządu, to jakby raport o stanie państwa. Czekamy na ten raport, bo mamy sytuację bezprecedensową od początku reform Deng Xiaopinga, czyli prawie od 50 lat, że Chiny zanotowały recesję. Recesja to trzy kolejne miesiące, kiedy nie ma wzrostu. I tak w Chinach się zdarzyło! W zasadzie wszystkie wskaźniki są negatywne, spadły i obroty handlowe, i produkcja itd. Mamy zupełnie nową jakość, której chińscy przywódcy przez ostatnie dekady nie przerabiali.

Jak zamierzają dać sobie z tym radę?

– Wiemy, jak się zachowały Chiny po roku 2008, po wielkim kryzysie gospodarczym. Przekuły ten kryzys w swój sukces, bo wpompowały natychmiast ok. 600 mld dol. w nowe inwestycje, głównie infrastrukturalne. Przypomnę, że chińskie pociągi wielkiej prędkości jeżdżą od roku 2007, czyli ledwie 13 lat. A już ponad 80% światowego taboru tych pociągów jest w Chinach. I to biorąc pod uwagę japoński Shinkansen, francuskie TGV czy włoskie Pendolino. Jak postąpią Chiny teraz? Obserwując dyskusje ekspertów, widzimy, że na stole są dwie propozycje.

Jakie?

– Po jednej stronie są keynesiści – oni proponują powtórzenie manewru sprzed 12 lat, czyli wydawać pieniądze, inwestować, ingerować w gospodarkę. A druga grupa mówi: nie, nie ingerujmy tak mocno w rynek, dajmy gospodarce rozkręcić się ponownie, kryzys jest poważniejszy, dodatkowe pieniądze bez pokrycia oznaczają inflację i niosą groźbę bezrobocia, i to takiego, którego ukryć się nie da. Słowem, trzeba znaleźć inne rozwiązania. Jakie? Sam jestem ciekaw, która opcja zwycięży. Natomiast jest wyraźna wola polityczna, żeby szybko kryzys zakończyć. Owszem, po pierwszym kwartale tego roku jest recesja, ale po czterech kwartałach Chiny mają wyjść na prostą. I w 2020 r. wzrost ma być dodatni. Pytanie, czy jesienią nie będzie drugiej fali epidemii, bo wtedy wszystkie plany mogą wziąć w łeb.

Wiarygodność kierownictwa się zachwiała

A jeśli chodzi o politykę? Przed posiedzeniem parlamentu słychać krytykę Xi Jinpinga czy przeciwnie?

– Jest krytyka Xi Jinpinga, i to narastająca. Pierwszy jej powód, niezwiązany z COVID-19 – że skumulował całą władzę w jednym ręku. Że nazywa się go przewodniczącym od wszystkiego. Że centralizuje i komasuje władzę w swoich rękach. To coś, czego starsze pokolenie chińskich intelektualistów nie może mu przebaczyć. Bo w ten sposób niszczy spuściznę Deng Xiaopinga, który zrobił wszystko, żeby nie dopuścić

Bogdan Góralczyk – profesor i dyrektor Centrum Europejskiego Uniwersytetu Warszawskiego. Były ambasador w Tajlandii, na Filipinach i w Birmie oraz długoletni dyplomata na Węgrzech. Autor wielu książek i artykułów poświęconych Chinom, Europie Środkowej oraz Unii Europejskiej.

eprasa.pl b7174acf7d

do powrotu jedynowładztwa, ponieważ sam był jego ofiarą w czasie rewolucji kulturalnej. To jeden czynnik. Do tego w czasie pandemii doszły jeszcze dwa elementy, które spowodowały dalszy ferment w Chinach. Pamięta pan dr. Li Wenlianga?

Tak, to lekarz z Wuhan, pierwszy, który ostrzegał, że grozi epidemia, że pojawił się nieznany wirus. Ostrzeżenia zlekceważono, jego samego ukarano. Zmarł, lecząc pacjentów.

– Jego przypadek wywołał niesamowity ferment w chińskich mediach społecznościowych, nie do końca kontrolowanych przez rząd. Że rząd coś taił, że tępił tych, którzy ostrzegali przed groźnym wirusem.

Czyli jest bohater.

– Znaleziono na to rozwiązanie. Zaczyna się nazywać ulice jego nazwiskiem, może wybudują mu pomnik, dadzą pośmiertny order, zobaczymy, czy to wystarczy. Może nie wystarczyć. Bo jest jeszcze jeden element – zostało jednak udowodnione, że Xi Jinping miał w ręku papiery, że już jest epidemia. I nic nie zrobił, puścił Chińczyków na Nowy Rok, epidemia rozlała się i na Chiny, i na cały świat. Dlatego nie od rzeczy jest pytanie, czy pozycja Xi Jinpinga zostanie podczas nadchodzącego plenum osłabiona, czy też nie.

Mamy więc trzy elementy powodujące ferment: stan gospodarki, dyskusję, jak tę gospodarkę ożywić, i dyskusję dotyczącą zakresu władzy Xi Jinpinga.

– I jeszcze jedna sprawa, która wyrasta na największy problem. Zaczyna się to przewijać nawet w mediach Chin kontynentalnych, nie mówiąc o Hongkongu czy Tajwanie – chodzi o wiarygodność kierownictwa i jego słów. Tej wiarygodności nigdy nie podważano w czasie reform, uważano, że władza robi dobrze, że nie popełnia błędów. A tu wyraźnie to się zachwiało.

Następuje mobilizacja chińskiej młodzieży

Bardzo mocno eksponują to Amerykanie, oskarżając Chiny bądź o „wyhodowanie" koronawirusa, bądź o dopuszczenie do jego rozprzestrzenienia się.

– To, że Amerykanie zaczęli coraz mocniej atakować chińskie władze argumentem koronawirusa, oczywiście powoduje mobilizację głównie chińskiej młodzieży, bardzo nacjonalistycznej. Pod hasłem, że czas uderzyć w Amerykanów, odpowiedzieć im, jeżeli oni uderzają w nas. Grana jest karta historii – że my, Chińczycy, mieliśmy sto lat narodowego poniżenia, ale teraz nikt nam już nierównoprawnych traktatów dyktował nie będzie.

A podbijając bębenka oskarżycielom, Trump i Xi Jinping wzajemnie sobie pomagają w kłopotach.

– Wszystko na to wskazuje, że sobie pomagają. Ale to też nowa sytuacja.

> Jest wyraźna wola polityczna, żeby szybko kryzys zakończyć. Chiny mają wyjść na prostą. I w 2020 r. wzrost ma być dodatni.

Na przełomie lat 2017/2018 zaprezentowane zostały kolejne strategie amerykańskie, i militarna, i bezpieczeństwa, w których po raz pierwszy wymieniono Chiny jako strategicznego rywala. Czyli rozpoczęła się rywalizacja. Jej przejawem, do czasów epidemii, była wojna handlowa, przecież tylko zawieszona rozejmem 15 stycznia tego roku.

Podpisanym w Białym Domu na czas kampanii prezydenckiej.

– A koronawirus przyniósł nowy etap, nową odsłonę rywalizacji – wojnę propagandowo-medialną. Przecież u nas, w Polsce, doszło już trzykrotnie do bezprecedensowych starć. Najpierw były artykuły w Onecie, a potem dwa razy na Twitterze, i to w języku polskim, ambasador amerykańska i ambasador Chin wymienili się komentarzami. To rzeczy niespotykane w dyplomacji, pokazują, jak daleko sprawy zaszły. To nie jest tylko wymiana ciosów na najwyższym szczeblu, to sięga ambasadorów, całej dyplomacji.

Angażuje wszystkich.

– To bardzo ciekawa rzecz – otóż Chiny mniej więcej od roku 2018, w ramach inicjatywy Dwóch Jedwabnych Szlaków, zaczęły promować koncepcję społeczeństwa wspólnej odpowiedzialności (*zeren gongtongti*). Forsowano to jako nową odsłonę w dyplomacji, że wreszcie Chiny chcą brać współodpowiedzialność za losy świata. A COVID-19, szczególnie od marca, kiedy przeniósł się do USA i kiedy Amerykanie, zwłaszcza Mike Pompeo, szef Departamentu Stanu, zaczęli tak ostro Chiny atakować, przyniósł zmianę. Bo w reakcji na te ataki Chińczycy włączyli nowy rodzaj dyplomacji, czego w ogóle do tych lat nie było – odwołali się do filmu.

Dyplomacja oficera Wilka

Do filmu?

– Jest taki chiński film z 2015 r., który pobił wszystkie rekordy w tamtejszych kinach. Nosi tytuł „Láng Zai Ji" (*Zhan lang*), czyli „Wilk wojny". Chodzi w nim o to, że oficer chińskiej jednostki specjalnej wali po pysku i rozwala Amerykanów, rozkłada ich jak należy. Cieszyło się to niebywałym wzięciem wśród chińskiej młodzieży. Teraz w Pekinie mówią, że wprowadzają taki rodzaj dyplomacji. Dyplomacji Wilka. Przejawem tego jest nowy rzecznik resortu spraw zagranicznych, który oświadczył w odpowiedzi na amerykańskie zarzuty dotyczące pandemii, że Amerykanie pod koniec listopada ub.r. wzięli udział w manewrach w okolicach Wuhan i rozpylili, niczym stonkę, tego wirusa.

W tę stronę to idzie.

– Bardzo niebezpieczną. Obawiam się, że idzie ku zimnej wojnie ideologicznej. Chiny jej nie chciały, ale już wyraźnie mówią, że nie ustąpią ani na piędź. Oko za oko i ząb za ząb.

> Narasta krytyka wobec Xi Jinpinga, że skumulował całą władzę. Że nazywa się go przewodniczącym od wszystkiego.

Pamięta pan zimną wojnę jak i ja – że miała ona wojny zastępcze. Była więc wojna koreańska, była wojna wietnamska. Ile ofiar przyniosły! W tej chwili – już od czerwca ub.r. – mamy demonstracje w Hongkongu. Przecież to się nie zakończyło, niedawno uwięziono tam aktywistów po stronie demokratycznej. Teraz w USA pojawiają się nowe inicjatywy, żeby wzmacniać Tajwan. A to jest uderzenie absolutne! W planach Chin jest przecież osiągnięcie Wielkiego Renesansu Narodu Chińskiego do 2049 r. Ale nie będzie go, jeśli po obu stronach Cieśniny ▸

eprasa.pl b7174acf7d

Tajwańskiej będą dwa podmioty z Chinami w nazwie.

Władza znów się pomyli.

– Dla władz w Pekinie nie ma bardziej świętego zadania, strategicznego, aniżeli pokojowe zjednoczenie z Tajwanem. Amerykanie z kolei już w czasie wojny koreańskiej, w latach 1950-1953, zdefiniowali Tajwan jako najbardziej wysunięty na Pacyfiku amerykański lotniskowiec. Teraz do tej koncepcji wracają. Mamy więc podgrzanie atmosfery na Morzu Południowochińskim, gdzie dochodzi do incydentów, no i pokazu siły z jednej i z drugiej strony.

W którym kierunku idzie chińska siła?

Jeżeli panuje nastrój wojny, nawet zimnej, rośnie rola przywódcy. Władza Xi Jinpinga będzie zatem coraz mocniejsza.

– To są elementy, które powodują, że potrzebny jest wódz, silny człowiek. Natomiast pamiętajmy o drugiej stronie medalu – ten lider ma całą władzę, ale i całą odpowiedzialność. A z odpowiedzialnością w styczniu 2020 r. coś było nie tak.

On może się bronić, mówiąc, że krytyka jego działań to wroga polityka wobec państwa.

– Dlatego obrady, które nadchodzą, sesja parlamentu, są ceremoniałem prawie 10-dniowym, dla obserwatorów takich jak ja będą niebywałą gratką. Dzień w dzień, godzina po godzinie, będą przynosiły sygnały, w którym kierunku idzie chińska władza, w którym kierunku idzie chińska gospodarka i w którym kierunku idzie chińska siła. Gdzie ma być skierowana? Czy na budowanie wspólnoty globalnej odpowiedzialności, czy przeciwnie, na realizowanie dyplomacji spod znaku oficera Wilka?

To przecież byłoby zaprzeczenie zasad Deng Xiaopinga.

– Od momentu dojścia Xi Jinpinga do władzy, czyli od listopada 2012 r., mamy zupełnie nowy okres w polityce Chin. Na czym polegał fenomen genialnego polityka, którym był Deng Xiaoping? Po pierwsze, odkrył, że cechą sprawczą w chińskim DNA, szczególnie na południu, jest przedsiębiorczość, którą Mao tępił. Deng na przedsiębiorczość pozwolił. Po drugie, nie chciał powrotu do jedynowładztwa, czyli ustanowił zbiorowego cesarza. Po trzecie, mówił, że Chiny mają odbudowywać swoją potęgę po cichu. Żeby nie zwracać uwagi. Te elementy zostały w czasach Xi Jinpinga rozbite.

Deng nauczał powiedzeniami. Na przykład takim, żeby przechodząc przez rzekę, czuć kamienie pod stopami. Czyli działać ostrożnie.

– Siłą 40 lat Chin, do 2012 r., były skalkulowany pragmatyzm i ostrożność. A teraz zaczyna być trochę fanfaronady i poczucia: my, Chińczycy, znów jesteśmy wielcy.

Ale społeczeństwo to kupuje! Młodzieży to się podoba!

– Młodzież kupuje chętnie i na wielką skalę. Jest pisarz Yan Lianke, który przedostaje się do języka polskiego. Jak wielu w ChRL robił najpierw karierę w wojsku, a od końca lat 90. jest profesorem na uczelni w Hongkongu. Wówczas rozkwitł jako pisarz. PIW wydaje jego książki i jedna jest niebywałą zupełnie metaforą okresu reform. Nosi tytuł „Kroniki Eksplozji". Eksplozja to wioska, która w ciągu 40 lat urosła do rangi megalopolis. Ten ciekawy pisarz ekspresyjnie pokazuje, niezwykle trafnie, że rządzi władza brutalna, o wszystkim decydują pieniądz i wpływy, a żadne moralne elementy się nie liczą. Tylko naga siła i kasa.

Tak to pokolenie jest wychowywane?

– W dużym stopniu. Na dodatek pokolenie egoistów i hedonistów, bo jednego dziecka. Wychuchanego, wydmuchanego. Wielu z nich nie nadaje się do życia społecznego, tak są zapatrzeni w siebie.

Widziałem tych jedynaków, oficera Wilka z nich nie będzie.

– To wielki kraj, bez kłopotu można wybrać takich i takich.

Amerykanie budują naszyjnik

Jak więc zareagują Amerykanie na dyplomację Wilka?

– Niewątpliwie rozpoczęła się rozgrywka, również o losy świata. Trudno przecież, żeby Amerykanie się nie obudzili, widząc chińskie plany. Jest więc rywalizacja i nikt już jej nie powstrzyma. Bez względu na to, czy w USA dojdzie do władzy demokrata, czy prezydentem będzie Trump, kurs antychiński zostanie podtrzymany. Otwarte pozostaje pytanie, czy Amerykanom uda się zbudować, a próbują bardzo intensywnie, taki naszyjnik wokół Chin, to się nazywa „strategia Indo-Pacyfiku". Ten naszyjnik to Japonia, Korea, Australia (jeśli się uda), Wietnam, nawet próbują w to włączyć Mjanmę, czyli dawną Birmę. Indie odmówiły, chcą być *swing state*, a więc mocarstwem „kołyszącym się", wybierającym partnerów. A Chińczycy w Azji mają tak naprawdę jednego sojusznika, czyli Pakistan, bo to anty-Indie. No i postawili na Europę.

Czy Europa w tej rozgrywce może odegrać istotną rolę?

– Europa jest rozgrywana jako tzw. trzeci biegun. Chiny chciałyby uniknąć zimnowojennej retoryki i sporu ideologicznego. Jak są dwa bieguny, to o taki spór łatwo. Jak jest ich więcej – to dużo trudniej. Dlatego próbują grać z Unią Europejską, a zwłaszcza z Niemcami. Jesienią ma być wielki szczyt w Lipsku.

Co może przynieść?

– Co najmniej od siedmiu, ośmiu lat w stosunkach Unia-Chiny są dwa kluczowe problemy. Pierwszy, że Chińczycy chcieliby zawrzeć z Unią umowę ramową o wolnym handlu. A Unia powiedziała: nie. Uważam, że słusznie. Bo najpierw powinna być umowa o ochronie wzajemnych inwestycji. Drugi – w ramach koncepcji Nowego Jedwabnego Szlaku Chiny obiecywały wielkie inwestycje infrastrukturalne. Na razie ich nie ma, a zamiast nich mamy ze strony chińskiej fuzje i przejęcia najlepszych europejskich firm, więc po stronie unijnej, w tym w Niemczech, jest wielki alarm, żeby zabezpieczyć swoje marki przed wykupieniem.

Jak Amerykanie sobie wyobrażają wojnę ekonomiczną z Chinami? Wyprowadzą inwestycje z Chin?

– Jest w Ameryce silny nurt suflujący takie rozwiązania… Na przykład znany w Polsce Andrew Michta namawia do wycofania kapitału z Chin i rozdzielenia obu organizmów gospodarczych. To jest nurt narastający,

Xi Jinping miał w ręku papiery, że już jest epidemia. I nic nie zrobił, puścił Chińczyków na Nowy Rok i epidemia się rozlała.

eprasa.pl b7174acf7d

W chińskiej propagandzie coraz częściej słychać, że szybciej trzeba się militaryzować. Xi Jinping dokonuje przeglądu wojsk w Hongkongu, 2017 r.

szczególnie wśród republikanów. Z drugiej strony mamy ogromne interesy amerykańskich firm. Niedawno Tesla Elona Muska otrzymała pozwolenie na budowę pod Szanghajem największej na globie fabryki samochodów elektrycznych. Mimo różnic mnóstwo jest w gospodarce rzeczy podobnych, nie można tych więzów ot tak zerwać. Zresztą to byłoby nieszczęście, bo mielibyśmy tak, że pół świata jeździłoby lewostronnie, a pół prawostronnie. Chińczycy już mają alternatywę dla Facebooka, dla Twittera, nawet dla GPS. Istnieje więc świat alternatywny.

Kto będzie górą w tych zapasach?

– Globalizacji całkowicie zawrócić się nie da. Ważne, jakie będą tendencje w najbliższych dwóch, trzech miesiącach. Jeśli Chiny nie będą miały ofiar, bo owszem, mają zakażenia, ale nie mają ofiar śmiertelnych koronawirusa, a Stany Zjednoczone miały tysiące, czy nawet setki jak ostatnio, ta tendencja może wzmocnić to, co się stało w 2008 r., kiedy centrum światowej gospodarki i handlu przesunęło się z Atlantyku na Pacyfik.

Rozbrzmiewają znajome tony

Chiny więc wygrały?

– Uważam, że nikt nie wygrał, a jeżeli będzie zimna wojna, wszyscy przegramy. Powołuję się na powiedzenie, które przywiozłem z placówki w Tajlandii: tam, gdzie słonie walczą, trawa, krewetki i wszystko inne będzie zdeptane.

Dylemat Tukidydesa przestaje być aktualny?

– Chiny są za duże, żeby zrobić im krzywdę z zewnątrz. Owszem, są różni wojskowi amerykańscy, którzy mówią: jeszcze można im dokopać! Ale inni odpowiadają: na to już zdecydowanie za późno. Chińczycy mogą sobie nabroić sami. Ze względu na to, że mają tarcia wewnątrz, jak rządzić i jak prowadzić reformy. I jak w świecie pandemii doprowadzić do tego wyśnionego przez nich Renesansu. A co do Amerykanów…

Też można powiedzieć, że sami są dla siebie najgroźniejsi.

– Amerykanie mogą zmontować sojusz otaczających Chiny państw, czyli bardzo podgrzać atmosferę, tak że ona będzie brutalna. A dalej? W latach 80. zeszłego wieku Barbara Tuchman napisała książkę „Szaleństwo władzy". Podała tam przykłady, od Troi po Wietnam, głupoty rządzących. Oczywiście chodziło jej o Wietnam – jak Amerykanie pakowali się w tę wojnę i brnęli z jednego absurdu w drugi. Bo nie widzieli Wietnamczyka, widzieli czerwonego, którego trzeba zdusić jak stonkę. Ideologiczne podejście! A dziś, gdy słyszę, że trzeba dowalić Chinolom albo chińskim komunistom, to odnoszę wrażenie, że rozbrzmiewają dokładnie tamte tony. Podobne tony słyszę zresztą w Chinach, czego wcześniej nie było – że już są silni, że mogą się przeciwstawić Amerykanom.

I pokazują defilady na placu Tian'anmen, coraz okazalsze.

– Xi Jinping wraca do armii, potrzebna jest mu armia, potrzebny nowy lotniskowiec, mówi się o rakietach do przenoszenia ładunków jądrowych. W propagandzie coraz częściej słychać, że jeszcze szybciej trzeba się militaryzować. Statystyki są brutalne – parę lat temu Chiny wydawały rocznie na wojsko jedną ósmą tego, co Stany Zjednoczone. A w tej chwili już powyżej amerykańskiej jednej trzeciej. I są w dziedzinie zbrojeń zdecydowanie numerem dwa na świecie, po Stanach Zjednoczonych, daleko przed Rosją.

Rosja to dziś jedna ósma PKB Chin?

– Jedna dziesiąta nawet.

Chiny w swojej historii raczej nie były agresywne, jeśli chodzi o świat. A teraz?

– Będą kalkulować według interesów wewnętrznych. A one są nakreślone. Do przyszłego roku ma być nowy model rozwojowy, oparty nie na eksporcie, ale na kwitnącym ryku wewnętrznym i klasie średniej. To trudne zadanie i niezwykle kosztowne. Zbudowanie klasy średniej nie jest prostą sprawą. Poza tym do 2035 r. Chiny chcą być społeczeństwem innowacyjnym. I już widzimy, jak mocno w tym kierunku poszły, bo każdy zna Huawei i 5G, a sztuczna inteligencja okazała się niezwykle skuteczna w zwalczaniu koronawirusa. Wreszcie do 2049 r. chcą mieć Wielki Renesans, czyli być wielkim wyzwaniem dla świata, nie tylko gospodarczym i handlowym, ale jeszcze technologicznym i cywilizacyjnym. Pytanie, czy będą chciały mieć pod swoim sklepieniem cały glob, czy tylko część Azji, z Chinami w środku, jak wcześniej bywało.

Robert Walenciak

Największy problem to kwestia wiarygodności kierownictwa i jego słów.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI, EAST NEWS

eprasa.pl b7174acf7d

Działania naiwne i sensowne

Czy uczelnie poradziły sobie z nauką online? Czy prywatne przetrwają pandemię?

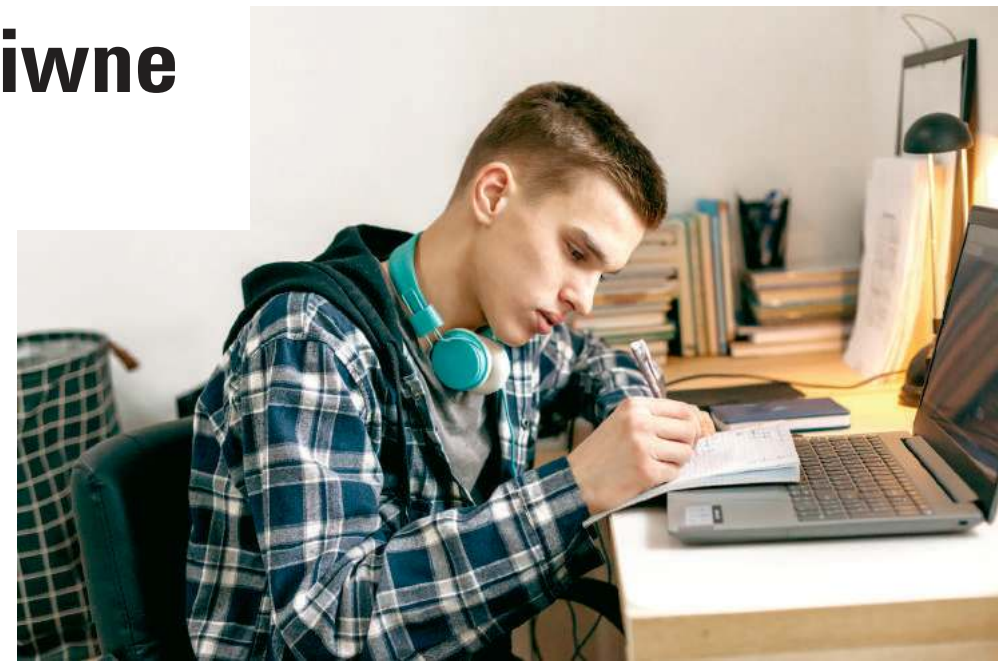

Beata Igielska

Z początku o nauce online niektórzy wykładowcy myśleli: studentom coś się zada i tak to poleci. Ale studenci swój rozum mają, buntowali się, ilekroć wykładowca kazał im czytać setki stron niekoniecznie potrzebnych do danego tematu. Teraz to się zmieniło. Na naszych oczach dokonuje się niemal przewrót kopernikański, trwa czas próby. Już widać zwycięzców – to nauczyciele akademiccy zaawansowani informatycznie. Jednocześnie rynek negatywnie zweryfikował tych, którzy nie poradzili sobie z nowoczesnymi metodami nauczania. – Gorzej radzą sobie ci, którzy musieli z dnia na dzień dokonać skoku cyfrowego. Na szczęście z moich obserwacji wynika, że większości udało się doskoczyć do przyzwoitego poziomu – zapewnia wykładowca z Warszawy.

Złote czasy dla kadry akademickiej, gdy niemal w każdym mieście powiatowym działała uczelnia, minęły bezpowrotnie. Ludzie związani ze środowiskiem przebąkują, że COVID-19 przyhamuje popularność studiowania. Coś może być w tych przypuszczeniach, skoro zarówno intelektualiści, jak i mainstreamowe media podkreślają, że kryzys pokazał, kto naprawdę dźwiga na barkach losy świata: zawody medyczne, odbiorcy śmieci, sprzedawcy. Nie wilki z Wall Street, bankowcy, politycy czy celebryci.

Martwe dusze nie pomogą

Jeszcze niedawno do nauczania zdalnego nieufnie podchodziły samo Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego i Polska Komisja Akredytacyjna. Dziś można zaryzykować opinię, że to kształcenie zdalne uratowało szkolnictwo wyższe. I tym bardziej jest ono istotne wobec zapowiedzi, że jesienią COVID-19 zaatakuje ponownie. Rewolucja w dydaktyce na różnych poziomach dokonuje się na naszych oczach.

– Mam więc nadzieję, że ministerstwo uzna tę formę kształcenia za równoważną z nauczaniem tradycyjnym – mówi Elwira Przybylska, kanclerz Wyższej Szkoły Przedsiębiorczości i Administracji w Lublinie. – Dla wielu uczelni niepublicznych nauka online to trudny czas. My mieliśmy ponadpięcioletnie doświadczenie, całkowite wdrożenie kształcenia zdalnego trwało dwa dni, przy czym cały czas się doskonalimy. Mam jednak sygnały od wielu placówek zarówno publicznych, jak i niepublicznych, które nie poradziły sobie z nauką zdalną, co może dla nich oznaczać koniec działalności. Wierzę w jakość, rynek sam weryfikuje uczelnie słabe, których działalność opiera się na martwych duszach – studentach z Indii czy Pakistanu, którzy przyjeżdżają do Polski pracować. U nas studiuje 600 cudzoziemców, co stanowi jedną trzecią wszystkich studentów. Większość pochodzi z Ukrainy i Białorusi. Staramy się nimi opiekować, organizować im wolny czas. To przynosi efekty – identyfikują się z naszą uczelnią. Ostatnio student z Indii zaprosił mnie do grona znajomych na Facebooku. To było miłe. Zobaczyłam jego zdjęcia i przekonałam się, że jest dumny z tego, że studiuje w Lublinie.

Zdaniem dr. Adama Jagiełły-Rusiłowskiego z Uniwersytetu Gdańskiego dotychczas pandemia nie odstraszyła studentów zagranicznych. – COVID-19 z pewnością nie zatrzyma migracji. Przeciwnie, kryzys i głód będą pchać ludzi z rejonów uboższych do tych bogatszych – konkluduje.

– Trudno przewidzieć, co będzie w październiku, ale dziś nie obserwujemy wśród obcokrajowców spadku zainteresowania studiami. Wręcz przeciwnie, w naszych drzwiach otwartych online w formie webinarów uczestniczyli zainteresowani kandydaci aż z 58 państw, najwięcej z Turcji i Ukrainy – informuje centrum prasowe Uniwersytetu SWPS. – Nasze działania będą zależeć od obostrzeń i restrykcji, które w związku

Na niektórych kierunkach studiów podczas rekrutacji liczy się wynik ustnej matury z angielskiego, a w tym roku takie egzaminy się nie odbędą.

eprasa.pl b7174acf7d

z epidemią koronawirusa mogą jeszcze obowiązywać w październiku. Już teraz większość naszych zagranicznych studentów wróciła do swoich krajów i stamtąd uczestniczą w zajęciach online, które pomyślnie realizujemy od marca. Musimy być przygotowani także na scenariusz prowadzenia zajęć na odległość dla tych, którzy dopiero rozpoczną studia w październiku. Studenci w procesie rekrutacji wgrywają w formularzu rekrutacyjnym online skany dokumentów. Muszą jednak dostarczyć oryginały, kiedy przyjazd do Polski będzie już możliwy.

Zaliczenia, laboratoria i inne kłopoty

Mateusz jest studentem drugiego roku informatyki w Łodzi. Naukę online ocenia bardzo dobrze. – Wykładowcy są o wiele łatwiej dostępni niż normalnie, bo ciągle siedzą przy komputerach. Część nie realizuje nauczania zdalnego, lecz po prostu wysyła nam materiały, ale takich jest mniejszość. Na razie realizujemy projekty, samodzielnie lub grupowo tworzymy aplikacje. I to one, a nie kolokwia, decydują, czy zaliczymy semestr. Najgorsza sprawa z laboratoriami. Odbędą się najprawdopodobniej na przełomie sierpnia i września, kiedy epidemia odpuści i będziemy mogli spotykać się na uczelni.

Rzeczywiście, laboratoria na wielu kierunkach są największym problem. Trudno sobie wyobrazić dobrze wyszkolonego przez internet lekarza. Tak samo trudno w ten sposób przygotować do zawodu studenta budownictwa, architektury, chemii, fizyki czy szkoły filmowej.

– Oczywiście, że nie da się przez internet wyszkolić lekarza. Ale w moim odczuciu, jeżeli ktoś decyduje się na studiowanie medycyny, a w przyszłości chce leczyć chorych, musi być świadomy, że czeka go praca w warunkach zagrożenia zdrowia, a czasami życia. To jest wpisane w ten zawód – mówi dr Henryk Rebandel, biolog przez 40 lat pracujący na Warszawskim Uniwersytecie Medycznym, wieloletni sekretarz Uczelnianej Komisji Rekrutacyjnej. Nie wypowiada się w imieniu WUM, lecz przedstawia własne przemyślenia. – Obecnie również nasi nauczyciele akademiccy ryzykują, pracując z chorymi. Dlatego studenci odpowiednio zabezpieczeni powinni ruszyć do łóżek chorych. Jest wielkie pytanie, kiedy. WUM na razie myśli o rozmaitych rozwiązaniach. Jego postępowanie determinuje głównie brak wiedzy na temat rozwoju sytuacji epidemicznej.

Dr Rebandel zwraca też uwagę, że rekrutacja zamiast od 4 maja, jak zazwyczaj, w najlepszym wypadku ruszy od 1 czerwca. Zawsze jest prowadzona na podstawie uchwały rekrutacyjnej sprzed roku. Uczelnie takie jak WUM mają kłopot, gdyż na niektórych kierunkach studiów podczas rekrutacji liczy się wynik ustnej matury z angielskiego, a w tym roku takie egzaminy się nie odbędą.

Wszystko się przesuwa, ale to nie może trwać w nieskończoność, bo od 1 października powinien ruszyć nowy rok akademicki.

Prof. Jacek Ulański z Katedry Fizyki Molekularnej Politechniki Łódzkiej również bardzo się martwi o laboratoria. – Na naszym kierunku nie możemy uczyć studentów na zasadzie „gotowanie na ekranie". Oni muszą mieć kontakt z instrumentami do wykonywania badań. Jak to zostanie rozwiązane? Na razie nie wiemy. Czy w czerwcu będzie można zaprosić studentów na uczelnię? W przypadku dojeżdżających może być duży problem, bo musieliby zamieszkać w akademikach. Te zaś zupełnie nie nadają się do reżimu sanitarnego. Tam wszystko jest wspólne: kuchnie, łazienki. Najbardziej martwimy się ostatnim rokiem studiów. Studenci chcą dostać do ręki dyplom inżyniera bądź magistra inżyniera i pójść do pracy. Też na razie nie wiemy, jak to zostanie rozwiązane.

Kolejnym problemem są zaliczenia – nie zawsze możliwe do przeprowadzenia przez internet, ponieważ… studenci ściągają. Mateusz: – Do tej pory na platformie Moodle napisaliśmy dwa testy próbne. Mieliśmy włączoną kamerkę, pokazywaliśmy całe nasze stanowisko pracy, wykładowca rozpoznawał nas na podstawie zdjęcia. Ale raczej wykładowcy nie zdecydują się na tę formę zaliczenia. Kolokwia podobno odbędą się pod koniec czerwca.

Prof. Jacek Ulański: – Przy egzaminowaniu niewielkich grup studentów zawsze pytałem ich pojedynczo, nie z wiedzy encyklopedycznej, ale czy rozumieją zagadnienie, więc powinienem dać radę przez komunikatory. Gorzej z egzaminami pisemnymi dla dużych grup. Natomiast koledzy znaleźli sposób na kolokwia z zadań. Na rozwiązanie zadania student ma np. 20 minut. Musi napisać ręcznie, sfotografować lub zeskanować i odesłać. Taki tryb raczej uniemożliwia ściąganie. Zawsze byli uczciwi, szczerze zainteresowani studiowaniem, i tacy, którzy znaleźli się na politechnice przypadkowo.

Dr Adam Jagiełło-Rusiłowski podobnie jak Mateusz zauważa, że studenci są raczej zadowoleni z nowej w Polsce formy kształcenia. Odpadają im dojazdy na uczelnię, więc oszczędzają czas i pieniądze, a proces nauczania kontrolują samodzielnie. Tyle że zbyt wielu jest zdanych na pracę z telefonem komórkowym, w którym internet jest słabszy i droższy. Ci z małych miejscowości muszą wychodzić przed dom, żeby złapać zasięg. Nawet książki czytają na ekranie komórki. Próbują też pisać na tym urządzeniu drobne prace zaliczeniowe, co niestety widać. Brak porządnych edytorów tekstu robi swoje.

W trakcie zajęć o godz. 17 wszyscy gotowali obiad.

Potrzeba zaufania i wspólnoty

Studenci „wpuszczają" wykładowców do prywatnego życia. Na przykład okazało się, że w trakcie zajęć o godz. 17 wszyscy gotowali obiad. Innym razem ktoś zajmował się dzieckiem, ktoś inny psem. To wystarczyło, aby zbudować dobrze funkcjonującą społeczność. Nie możesz uczestniczyć w zajęciach o określonej godzinie? Nagramy je i sobie obejrzysz, kiedy będziesz mógł. Nie widzisz, co jest pisane na czacie? Zaraz podam ci rozwiązanie.

– Studenci cudnie sobie pomagają, są dla siebie życzliwi – chwali młodych dr Jagiełło-Rusiłowski. – Grupy liczą 30-60 osób. Gdy nagle wysypało mi się tyle komentarzy, że nie nadążałem z czytaniem, wspólnie je skategoryzowaliśmy. Ilekroć pokażę im swoją bezradność, natychmiast mają pomysł, co zrobić. Gdy np. mieli mi przesłać zdjęcie wykonanego zadania, wymyślili, że zdjęcia przesyłamy

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl b7174acf7d

przez WhatsApp, bo inaczej zapchaliby serwer. Podsyłam im średnio cztery filmiki, żeby mogli się wymieniać w mniejszych grupach. Problemem z początku był dla mnie ich język: używają skrótów myślowych, dziwnych zapisów. Musiałem zejść z koturnów języka akademickiego. Boją się zaliczeń, wręcz panikują. Test wielokrotnego wyboru możliwy do przeprowadzenia online niekoniecznie odda ich wiedzę. Generalnie gdy studenci widzą, że prowadzący przykłada się do zajęć, sami też się przykładają – podsumowuje.

Dla wielu nauka zdalna jest naprawdę ważna. Na przykład w trakcie zajęć przypadkowo włącza się mikrofon i słychać, że Hindus właśnie jedzie na rowerze jako dostarczyciel jedzenia. Ale chce uczestniczyć w zajęciach, chce jak najwięcej skorzystać.

Szkoda więc, że niektórzy akademicy włączają studentom wykład na tle ściany i wychodzą z domu. Musi być relacja i zaufanie, bez tego proces nauki online się nie udaje. Co ciekawe, studentów martwi brak dostępu do bibliotek, do fachowej literatury. Marzą, żeby wszystkie książki były dostępne cyfrowo, bez dodatkowych opłat. Skarżą się też na pisanie online prac magisterskich i licencjackich. Promotorzy są zmęczeni nadmiarem obowiązków, spada ich uważność.

Na uczelniach, gdzie dydaktyka zawsze stała na wysokim poziomie, wykładowcy prześcigają się w pomysłach na zdalne zajęcia. Dzięki ich zaangażowaniu studenci są bardziej niż zazwyczaj uczciwi w podejściu do nauki, wykazują sporo inicjatywy. Doceniają, że ten proces zachodzi również dzięki ich entuzjazmowi.

Model mieszany

Czy uczelnie niepubliczne przetrwają pandemię? Zdaniem dr. Artura Kwaska, menedżera ds. e-learningu Wyższej Szkoły Bankowej w Warszawie, absolutnym tego warunkiem jest wprowadzanie hybrydowego modelu nauczania: tradycyjnego i online.

– Przeprowadziłem w ostatnich dniach na ten temat badania na grupie 500 studentów. Okazało się, że przy dominującym dotychczas tradycyjnym modelu studiowania w Wyższej Szkole Bankowej w Warszawie, w roku akademickim 2020/2021 aż 20% studentów chce realizować studia tylko zdalnie, a kolejne 35% chce studiować w modelu mieszanym. Badania pokazują również, że studenci wysoko oceniają swoje zdolności informatyczne. Potwierdzam to. Synchronizacja narzędzi do nauki zdalnej nie nastręcza im żadnych kłopotów – mówi dr Kwasek.

Środowisko uczelni niepublicznych oburzyło się, gdy Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego 18 marca zarekomendowało władzom placówek rozważenie zawieszenia pobierania od studentów opłat za studia.

– Minister nauki chciał dobrze dla studentów, nie pomyślał, co się stanie z uczelniami jako przedsiębiorstwami. Jego słowa szybko podchwycili studenci niestacjonarnych kierunków na uczelniach państwowych i zalali dziekanaty podaniami, domagając się obniżki czesnego. Po tamtym kroku ministerstwa zaczęłam tworzyć unię uczelni niepublicznych. Okazało się, że jedna już istnieje w Bydgoszczy, lecz dynamika jej działań nie odpowiada potrzebom moim ani uczelni niepublicznych, które odpowiedziały na mój apel. Wrócę więc do pomysłu. Takie niezależne ciało, istniejące nie tylko na papierze, jest potrzebne – zapowiada Elwira Przybylska.

– Nie wprowadzamy zmian w warunkach odpłatności za studia, gdyż od 23 marca br. zajęcia trwają w trybie online, realizujemy programy studiów. Zajęcia, które się nie odbyły w związku z nakazem zamknięcia uczelni w marcu, zostaną odrobione – zapewnia centrum prasowe Uniwersytetu SWPS. – Osoby w trudnej sytuacji finansowej mogą się ubiegać o pomoc materialną z dotacji Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego. Uczelnia powołała także specjalny zespół, z udziałem przedstawicieli samorządów studenckich, który pracuje nad dodatkowymi formami wsparcia dla studentów.

W szkolnictwie wyższym, jak w każdej dziedzinie życia i gospodarki, w czasie kryzysu podejmowane bywają działania naiwne. Niejednokrotnie odbija się to czkawką, studenci nie bardzo rozumieją, za co mieliby płacić, skoro uczą się głównie sami i sami siebie odpytują. Rzeczywistość pokazuje też, jak wielu jest raczej zadowolonych ze zdalnej edukacji. Nawet nie dlatego, że jak w przypadku niektórych uczelni nauka odbywa się na świetnym poziomie, ale dlatego... że w ogóle się odbywa. Czy to jednak powinien być szczyt marzeń o studiowaniu? Poza tym przy całym zachłystywaniu się nauką zdalną warto pamiętać, że edukacja to przede wszystkim żywa relacja z drugim człowiekiem. Czasami przyjacielskie klepnięcie w ramię i powiedzenie: cieszę się, panie Mateuszu, że zainteresował pana ostatni temat, może zdziałać więcej niż gigabajty plików.

Beata Igielska

Nutka, wychłodzona, wychudzona i chora, porzucona prosi o pomoc!

Wesprzyj Nutkę w jej walce o życie. Pomóż sfinansować diagnostykę, leczenie i specjalistyczna karmę dla niej.

Razem możemy więcej! Przez 15 lat naszej działalności ocaliliśmy tysiące zwierząt. Prowadzimy, dzięki Wam, największy w Europie azyl dla koni i setek innych zwierząt.

Wyślij SMS o treści NUTKA

7412 koszt SMS 4,92 zł z VAT
7910 koszt SMS 11,07 zł z VAT
91950 koszt SMS 23,37 zł z VAT
i kup tapetę

Wszystkie działania możliwe były dzięki datkom i pomocy osób prywatnych.

Więcej na **www.centaurus.org.pl**

Jeśli chcesz i możesz pomóc, prosimy dokonaj darowizny z tytułem „ NUTKA" na konto PKO BP 15 1020 5226 0000 6002 0220 0350.

FUNDACJA CENTAURUS
Fundacja Centaurus
ul. Wełtrzyska 6-8, 52-314 Wrocław
tel. 518 569 487, tel. 518 569 488
www.centaurus.org.pl
Akcja prowadzona w ramach Kampanii Rocha Madrze Requiamin http://centaurus.org.pl/nkm

eprasa.pl b7174acf7d

Refleksje pesymisty

Andrzej Romanowski

Wielka, większa i największa

Taki tytuł nosiła książka przygodowa dla młodzieży, opublikowana niegdyś przez Jerzego Broszkiewicza. Jak nie przypomnieć tego tytułu w dzisiejszym politycznym kalejdoskopie?

Trwa ten kalejdoskop już prawie pięć lat, ale ostatnio zabawa nabrała rumieńców. Przygoda wielka zaczęła się 8 kwietnia, gdy Jarosław Gowin odszedł z rządu, zalecając równocześnie swoim posłom głosowanie po myśli rządu. Ludzie niewiele z tego rozumieli. Drugą odsłonę tej przygody ujrzeliśmy 6 maja – gdy wszystko zdawało się zmierzać do rozpadu koalicji rządzącej, dwóch posłów, Gowin i Kaczyński, odwołało wybory. Ludzie rozumieli z tego jeszcze mniej.

Kiedy przed paru laty Gowin głosował, ale się nie cieszył, później zaś głosował za ustawą jeszcze ostrzejszą, ale już się cieszył, tłumaczył, że priorytetem było dlań utrzymanie władzy przez prawicę. Czy w dobie pandemii priorytet ten jest aktualny? Staram się zachowywać domniemanie dobrej woli, dlatego przyjmuję z uznaniem – umiarkowanym – tajne apele Gowina do PiS o ogłoszenie stanu klęski żywiołowej, a z jeszcze bardziej umiarkowanym jego sejmowe próby przekonania opozycji do przełożenia wyborów o dwa lata. Czy jednak nie można było grać czyściej i prościej? Porzucić koalicję z PiS, stworzyć nową koalicję (niekoniecznie rządową, wystarczyło parlamentarną), ogłosić wreszcie stan klęski żywiołowej? Wszystko to było możliwe, gdyby… naprawdę szło o zdrowie obywateli.

Rozumiem, że Gowin – wytrawny polityk – wiedział, że w przypadku rozpadu Zjednoczonej Prawicy Kaczyński doprowadziłby do totalnej już destabilizacji państwa, i tak wystarczająco zdestabilizowanego. Rozumiem, że takiej totalnej destabilizacji chciał Gowin w czasie pandemii uniknąć. Ale prawicowi intelektualiści? Ci przecież nie powinni uprawiać doraźnej polityki. I oto przygoda kolejna – większa od poprzedniej.

Piotr Trudnowski, prezes krakowskiego Klubu Jagiellońskiego, wrzucił ostatnio do sieci swój artykuł „Przesunięte wybory i »pakt Jarosławów«". Chwali w nim Gowina za „wizję choć trochę lepszej i minimalnie bardziej idealistycznej polityki". Idealistycznej? Mogę zrozumieć poparcie autora dla układu Gowina z Kaczyńskim, który nawet media niemieckie uznały za rozsądny, ale czy nie powinien on przynajmniej wspomnieć o fenomenie, jakim było odwołanie wyborów przez dwóch posłów? Czy – nawet chwaląc efekty – nie powinien zauważyć naruszenia prawa? No i – bagatela! – czy nie mógłby bąknąć choć słówko o priorytecie względów zdrowotnych? Brak empatii to cecha charakterystyczna dla ludzi bardzo jeszcze młodych. Kontrastuje on z deklarowaną (wciąż przyjmuję, że szczerze) empatią 60-letniego Gowina.

„Jesteśmy republikańskim i niepartyjnym stowarzyszeniem – pisze o sobie Klub Jagielloński – które próbuje oddziaływać na politykę w duchu troski o dobro wspólne". A oto prezes Klubu: „Dymisja rządu z powodu niesubordynacji maksymalnie kilkunaściorga posłów w jednym głosowaniu byłaby aberracją, która mogłaby nie tylko pozbawić prawicę władzy, ale i na lata uniemożliwić jej powrót do niej". Nie można jaśniej. A więc nie tylko dla prawicowego polityka, lecz i dla prawicowego publicysty priorytetem jest nie jakieś tam dobro wspólne, lecz dobro własne, prawicowe – trwałość prawicowych rządów. Ostatnie działania Gowina (zgoda na głosowanie w lokalach wyborczych, czego dotąd tak się obawiał) zdają się wskazywać, że i tu interes partyjny zwycięża. Zwycięża on też w kolejnych enuncjacjach Trudnowskiego.

Ale dopiero do przygody największej jest kandydatów naprawdę sporo. Na przykład Andrzej Duda, który dziś nam zamilkł, już nie deklamuje, że „nie będą nam tutaj narzucali w obcych językach", nie wizytuje kolejnych obiektów w zabawnym mundurku, nawet nie koresponduje z Ruchadłem Leśnym. Jest też Kamil Zaradkiewicz, który, zdaje się, wprowadził wreszcie porządek w Sądzie Najwyższym. No i nieoceniony wicepremier Jacek Sasin, do końca zapewniający, że wybory 10 maja da się zrobić, i drukujący miliony kart wyborczych, które teraz nadają się tylko na przemiał. A jednak nikt nie przebije ministra zdrowia Łukasza Szumowskiego.

Nie chciałem pisać o nim źle. Ani o jego przeszłości z Deklaracją wiary lekarzy katolickich na czele, ani o bruderszafcie z Kaczyńskim, ani o przespaniu początku epidemii, nawet o miganiu się w sprawie rekomendacji wyborczych. Wiedziałem, że na barki Szumowskiego została złożona odpowiedzialność za nasze zdrowie, i nie uważałem, że do tego brzemienia trzeba mu coś dokładać. Ale teraz? Maski przeciwwirusowe załatwiane po znajomości, po wygórowanych cenach, bez troski o certyfikaty, przyjmowane z fanfarami przez najwyższe czynniki państwowe, maski, które na koniec (co najmniej w liczbie 100 tys.) okazują się bezużyteczne, ale które trafiły już częściowo do szpitali! Ilu pacjentów i lekarzy im zaufało jako sprzętowi rekomendowanemu, więc bezpiecznemu? Do ilu chorób, do ilu śmierci mogły się przyczynić? Szumowski twierdzi, że ze sprawy zakupu masek się „wyłączył", ale to przecież jeszcze gorzej, bo znaczy, że o nim wiedział. Czyli wiedział też, że to znajomości jego i jego rodziny w ten sposób zadziałały. Lecz nawet gdyby nie wiedział, i tak ponosi odpowiedzialność. W roku 2009 minister sprawiedliwości Zbigniew Ćwiąkalski nie był winien samobójstwa w jednym z polskich więzień, ale natychmiast podał się do dymisji.

Nasza prawica ma jednak inne standardy. A i samobójstw w polskich więzieniach już parę mieliśmy. Z ludzi prawicy, nawet gdy usiłują zachować się przyzwoicie, wychodzi zawsze… to co zawsze.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b7174acf7d

Jakub Dymek

Dorzynanie dyplomatów

Polska często nie tylko nie popiera kandydatur Polaków, ale nawet je torpeduje

Prawie 10 lat temu Ministerstwo Spraw Zagranicznych przygotowało pismo – w odpowiedzi na interpelację posła PiS Arkadiusza Mularczyka – na temat roli Polski i Polaków w międzynarodowych instytucjach i kosztów naszej działalności w ich ramach. Uczestniczymy, obsadzamy stanowiska, płacimy składki do budżetu OBWE, NATO i UE – co oczywiste – ale na liście znalazły się też Międzynarodowa Organizacja Frankofonii i Spotkania Konsultatywne Stron Układu w sprawie Antarktyki. Jesteśmy obecni w kilkuset organizacjach, zarówno tych z pierwszych stron gazet, jak i w grupach, których praca i postanowienia mają wyłącznie eksperckie i niszowy charakter.

Po lekturze interpelacji można było mieć wrażenie, że Polska za dużo płaci za członkostwo w instytucjach międzynarodowych i chyba nie za bardzo nam się to „opłaca". Ministerstwo odpisywało wtedy grzecznie, że udział w międzynarodowych organizacjach to dla Polski przede wszystkim korzyść, nie koszt. I że według tych kryteriów należy go oceniać.

Polacy w instytucjach unijnych stanowią mniej niż 5% personelu, a powinni zajmować 8,2% stanowisk. Jesteśmy sporo poniżej limitu.

Dziś, zdaje się, już nikt podobnych wątpliwości nie podnosi. Niekoniecznie dlatego, że jest lepiej, a Polacy są tak mocni w światowych instytucjach. Eksperci oceniają raczej, że po latach zaniedbań, chaotycznej „dekomunizacji", wskutek czasem obiektywnych trudności, a czasem autosabotażu i stawiania interesu partyjnego nad dobro Polski, gramy poniżej swoich możliwości. Według najsurowszych ocen zaś – także poniżej możliwości, które przy wszystkich ograniczeniach i bilansie sił miały II RP i PRL. Dlaczego?

W UE i tak nieźle

Ostatnie sprawozdanie Komisji Europejskiej wskazuje, że Polacy w instytucjach unijnych stanowią mniej niż 5% personelu. To dużo czy mało? Jak wiele rzeczy w UE również proporcja urzędników z danego państwa członkowskiego wyliczana jest za pomocą algorytmu uwzględniającego liczbę ludności kraju. Według tego algorytmu Polska powinna obsadzać 8,2% wszystkich stanowisk. Jesteśmy więc sporo poniżej limitu.

Mowa tu rzecz jasna o stanowiskach w administracji europejskiej, nie wśród reprezentantów politycznych – jak w Parlamencie Europejskim – czy wśród komisarzy, gdzie umówiono się na to, aby każdy kraj UE mógł liczyć na „swoją" tekę. Tam, gdzie ważne są kompetencje, możliwości i chęć pracy w europejskiej administracji, Polaków jest mniej niż dostępnych dla nich miejsc.

Co więcej, gdy rozbijemy te liczby na kategorie zatrudnienia i obejmowane stanowiska, szybko wyłoni się kolejna prawidłowość. Polaków jest mniej, niż być powinno, na najwyższych szczeblach biurokracji – ponadprzeciętnie więcej zaś na niższych. Na pewnym poziomie w instytucjach UE kilkakrotnie liczniejsza od polskiej jest reprezentacja dużo mniejszej Irlandii, o Belgii z oczywistych powodów już nie wspominając. Grupa, w której Polacy i Polki bezapelacyjnie wygrywają pod względem liczby zatrudnionych, to z braku lepszej nazwy „wykwalifikowani asystenci" – w połowie stawki, jeśli chodzi o kompetencje i zarobki.

Oczywiście wiele instytucji nie prezentuje podobnie drobiazgowych wyliczeń i nie ma dokładnych zasad przydziału. Dlatego proste porównania – czy liczymy się bardziej niż sąsiedzi, czy radzimy sobie lepiej niż wcześniej, czy gonimy czołówkę – nie zawsze są możliwe.

Na to samo zwraca uwagę Jan Truszczyński, dyplomata, jeden z negocjatorów naszego przystąpienia do Unii, pierwszy Polak na stanowisku dyrektora generalnego w Komisji Europejskiej. – Obiektywnych mierników wykorzystania krajowego potencjału w instytucjach międzynarodowych nie ma. Bezpieczniej powiedzieć, że nie wykorzystujemy maksimum naszych możliwości na stanowiskach kierowniczych, a na pozostałych jest już z tym bardzo dobrze.

Zaraz jednak Truszczyński dodaje, że on sam jest na emeryturze, podobnie jak drugi dyrektor generalny w Komisji z naszego kraju, Jerzy Plewa. Jarosław Pietras, jedyny Polak na tym szczeblu w Sekretariacie Generalnym Rady Unii Europejskiej, również zbliża się do wieku emerytalnego, „a następców nie widać".

Młodszej generacji jest trudniej ze względu na długą i sformalizowaną drogę awansu, kolejne szczeble, które trzeba przejść, i wymogi wieloletniego doświadczenia w administracji. Od innego rozmówcy słyszę jednak anonimowo, że gdyby polscy politycy i urzędnicy w UE bardzo chcieli i byli zdolni do inwestowania w młodszych, czasem nawet agresywnie i na granicy zasad – jak ich niemieccy odpowiednicy – to i rezultaty byłyby inne.

Czy to źle, że nie ma „naszych"? – Komisja Europejska nie jest prostacką machiną służącą do przepychania swoich interesów narodowych. Ale jeśli jakiś kraj ma pięciu czy sześciu dyrektorów generalnych, jest to dla niego lepsza sytuacja – nie tylko wizerunkowo wydaje się bardziej sprawny, ale rzeczywiście taki jest – mówi Truszczyński.

Tyle że w UE i tak jest najłatwiej. Mamy tam proporcję miejsc, jesteśmy dużym krajem członkowskim, a w ostatniej dekadzie jedne z najbardziej eksponowanych pozycji zajmowali byli premierzy Jerzy Buzek

eprasa.pl b7174acf7d

Adam Kobieracki był wieloletnim zastępcą sekretarza generalnego NATO ds. operacji. Nz. w czasie posiedzenia Rady Północnoatlantyckiej z ambasadorem Afganistanu Humayonem Tandorem, Bruksela, 14 marca 2006 r.

i Donald Tusk. Dużo trudniej poradzić sobie tam, gdzie znaczenie trzeba wywalczyć, wypracować sojuszami i poprzedzić grą dyplomatyczną.

W NATO karabinowa seria w kolano

O to, czy wykorzystujemy swój potencjał na arenie międzynarodowej, pytam Witolda Jurasza, publicystę Onet.pl oraz eksperta ds. wschodnich, wcześniej na placówkach dyplomatycznych w Mińsku i Moskwie. – Polska jest słabo reprezentowana w instytucjach międzynarodowych, głównie z powodu utrudnień i kłód rzucanych nam pod nogi... przez nas samych – odpowiada. Jego zdaniem problem wynika z tego, co kolokwialnie nazywamy polskim piekiełkiem – braku solidarności, obawy, że ktoś wybije się ponad nas, chęci równania w dół i podcinania skrzydeł co bardziej ambitnym koleżankom i kolegom. Problem znany w wielu instytucjach naszego życia publicznego, nie tylko w dyplomacji.

– Znam więcej nominacji Polaków na ważne stanowiska międzynarodowe, które zawdzięczają oni samym sobie albo poparciu innych krajów. Nie w tym sensie, rzecz jasna, że są cudzymi agentami – zastrzega Jurasz – tylko dlatego, że ich awans bardziej skłonni byli poprzeć koledzy z Berlina, Brukseli czy Londynu niż z Polski. Polska często nie tylko nie popiera kandydatur Polaków, ale nawet je torpeduje.

Na dowód przytacza też własną historię, gdy starał się o pozycję w międzynarodowej organizacji, istotną dla regionalnych interesów Polski. – Dowiedziałem się, że zostało dwóch kandydatów i że jestem jednym z nich, a jeśli moją kandydaturę poprze jeden z byłych ministrów spraw zagranicznych, dostanę stanowisko. Naszego byłego szefa dyplomacji o poparcie mnie poprosił ówczesny wiceminister. I rzeczywiście, poszedł mejl z rekomendacją mojej kandydatury – napisany jednak tak, że dało się wyraźnie wyczuć, że nie jestem naprawdę popierany. Później dowiedziałem się, że moją kandydaturę wręcz sabotowano. Stanowisko, którego objęcie przez Polaka opłaciłoby się z regionalnych i kulturowych powodów, ostatecznie objął Portugalczyk.

Słowa Witolda Jurasza można oceniać jako publicystykę, i to ostrą, ale w ostatnich latach wyszło na jaw sporo kontrowersji związanych z polityką kadrową kolejnych ekip rządowych. W 2018 r. w tygodniku „Polityka" głos zabrali byli już wtedy przedstawiciele Polski za granicą: Jacek Najder, ambasador Polski przy NATO, i gen. bryg. Jarosław Stróżyk, *attaché* wojskowy w Waszyngtonie. W rozmowie z Juliuszem Ćwieluchem opowiadali z rzadką jak na dyplomatów otwartością (i po nazwiskach!), jak nominacje do ważnych struktur Sojuszu Północnoatlantyckiego są po 2016 r. blokowane – a rządzący Polską czasem nawet sabotują już trwające kadencje fachowców. Tak było z gen. Januszem Bojarskim, którego odwołano ze stanowiska komendanta Akademii Obrony NATO w Rzymie.

Rozmówcy „Polityki" potwierdzili też plotki, że za kadencji ministra Antoniego Macierewicza Polska chciała wysłać do NATO m.in. publicystę „Gazety Polskiej Codziennie" dr. Krzysztofa Zielkego i politologa dr. hab. Przemysława Żurawskiego vel Grajewskiego. Można bezpiecznie powiedzieć, że przynajmniej części z tych ambicji PiS nie udało się zrealizować, za to skutecznie storpedowano nominację już wcześniej zaakceptowanych czy pożądanych kandydatów.

„Pozycja Polski na arenie międzynarodowej słabnie. W NATO jedziemy na oparach sukcesów, które udało nam się wcześniej wypracować. (...) Nie pamiętam, żeby w ciągu ostatnich dwóch lat jakiś Polak zwyciężył w konkursie na ważne stanowisko. Wcześniej wygrywało 80% zgłaszanych przez nas kandydatów", mówili Stróżyk i Najder.

Głośnych dymisji albo autosabotaży było jeszcze kilka. Za kadencji ministrów Waszczykowskiego i Macierewicza od pracy odsunięci zostali Adam Kobieracki (wieloletni zastępca sekretarza generalnego NATO) i Tomasz Chłoń (pełnomocnik MSZ ds. szczytu NATO w Warszawie i jeden z jego organizatorów). Szczególnie sprawa Chłonia wzbudzała

Jan Truszczyński, dyplomata: Nie wykorzystujemy maksimum naszych możliwości na stanowiskach kierowniczych.

FOT. NATO

eprasa.pl b7174acf7d

gorzki śmiech, gdyż MSZ straciło do niego zaufanie już po tym... jak zgłosił się do konkursu na wiceszefa moskiewskiego biura Sojuszu Północnoatlantyckiego i go wygrał.

Cykle wymiatania

NATO i UE dostarczają najbardziej widowiskowych przykładów takiego podejścia. Jednak, choć MSZ nie uaktualnia na bieżąco informacji o karierach Polaków we wszystkich strukturach międzynarodowych, według ocen ekspertów tak samo słabo jest z walką o obecność w ONZ, OBWE czy WHO. Wiemy, że do Banku Światowego i Europejskiego Banku Odbudowy i Rozwoju garnęli się byli politycy i premierzy, chociaż nie wszyscy imponowali znajomością języków i kompetencjami. Nie wiadomo zaś nic o skoordynowanych staraniach, by wraz z krajami naszego regionu walczyć o ważne pozycje, jak udało się to Bułgarom, gdy na dyrektor zarządzającą Międzynarodowego Funduszu Walutowego wybrano Kristalinę Georgiewą.

– Jak realizuje się nasz potencjał w instytucjach międzynarodowych? Słabo, i to po części z naszej winy – podsumowuje zwięźle prof. Małgorzata Bonikowska, prezes Centrum Stosunków Międzynarodowych. – To, jak słabo Polska zabiega o wysokie pozycje w strukturach międzynarodowych dla Polaków, budzi czasem nawet zdziwienie w świecie dyplomacji. Polityczna proweniencja czy animozje personalne w kraju powinny wtedy zejść na dalszy plan, bo liczy się cel nadrzędny – prestiż państwa i wzrost jego wpływów.

Paradoksalnie to dziś, w czasach agresywnych nacjonalizmów i kryzysu liberalnej globalizacji, właśnie uczestnictwo w instytucjach jest wyrazem dbania o narodowy interes. Doskonale widać, że kluczowy komisarz czy szefowa międzynarodowej agendy jest w stanie bronić swojej ojczyzny czy blokować niekorzystne dla niej decyzje. Nikt nie wiedział, że pandemia uderzy akurat za kadencji tego, a nie innego dyrektora generalnego WHO, ale jasne jest, że lepiej mieć teraz na takim stanowisku „swojego" człowieka – albo przynajmniej kogoś przewidywalnego.

Prof. Bonikowska zwraca jednak uwagę, że zaniechaliśmy myślenia o polityce międzynarodowej jako autonomicznej dziedzinie działalności państwa – podporządkowano ją krajowemu konfliktowi. – W ostatnich kilku latach w Polsce nastąpiła głęboka polaryzacja – nie tylko polityczna, ale i społeczna. Jednocześnie polityka zagraniczna została podporządkowana polityce wewnętrznej, a ambicje dyplomatów ograniczono do minimum. Dominuje myślenie: lepiej nie wystawić nikogo lub wystawić słabego i przegrać, niż zaproponować kogoś z innego obozu politycznego. To marnowanie potencjału własnego kraju.

Nie bez znaczenia jest zaostrzająca się z biegiem lat (i wraz ze wspomnianą polaryzacją) potrzeba wymiany kadr. Po 1989 r. mogło się wydawać, że już raz wymieciono starych i „podejrzanych" zawodowych dyplomatów – jednak w XXI w. nałożył się na tę tendencję kolejny trend. Jedna ekipa „dekomunizuje" część aparatu dyplomacji i mianuje swoich, po czym następna również „dekomunizuje", ale też pozbywa się ludzi mianowanych przez poprzedników. Jest rok 2020, proces powtarza się po raz kolejny i wciąż znajdują się jacyś byli funkcjonariusze WSI czy osoby, które zaczynały pracę przed 1989 r., których można się pozbyć. Tylko kraj z nieskończenie długą ławką wyszkolonych kadr przeszedłby taki cykl zwolnień, redukcji i dymisji bez uszczerbku.

– Dorobiliśmy się w PRL fachowców, którym nie można odmówić sporych umiejętności, a nawet sukcesów – oczywiście w ramach możliwości epoki i pomimo bycia częścią bloku wschodniego. Potem, w III RP, po początkowych zawirowaniach, dorobiliśmy się kolejnej ekipy zawodowców, pracujących dla kraju, który stał się popularny i doceniany na świecie. Natomiast od kilku lat obserwujemy zwrot w podejściu do polskiej polityki europejskiej i zagranicznej oraz kolejną zmianę ekipy. To wszystko nie ułatwia sytuacji Polakom, którzy pracują lub chcą pracować w strukturach międzynarodowych. Będzie im trudniej o awans – mówi prof. Bonikowska.

Historia jest złośliwa

Oczywiście choć perspektywa krótkoterminowa może być kusząca, rację ma prof. Bonikowska – dochodzenie do istotnej pozycji w globalnej dyplomacji to lata wysiłków na poziomie i jednostki, i państwa. A czasem większym grzechem w perspektywie historycznej okazuje się nie jedna głupia decyzja czy bezmyślna czystka, ale brak setek decyzji małych, lecz ważnych. Każda ekipa, która chce krytykować władzę i jej politykę zagraniczną, powinna zaś raczej zadbać o wychowanie lepszych ekspertów i ekspertek niż oponenci.

Anegdota z początku tekstu – o interpelacji poselskiej w sprawie kosztu uczestnictwa Polski w organizacjach międzynarodowych – dobrze pokazuje złośliwość, z jaką mści się czasem historia. 10 lat temu ktoś mógł narzekać i obawiać się, że inwestujemy aż za dużo w międzynarodową obecność Polski – dziś należy się obawiać czegoś dokładnie odwrotnego.

Jakub Dymek

Pozycja Polski na arenie międzynarodowej słabnie. W NATO jedziemy na oparach sukcesów, które udało nam się wcześniej wypracować.

Prof. Małgorzata Bonikowska: To, jak słabo Polska zabiega o wysokie pozycje w strukturach międzynarodowych dla Polaków, budzi nawet zdziwienie w świecie dyplomacji.

eprasa.pl b7174acf7d

Z Galicji

Jan Widacki

Państwo bez żadnego trybu

Wybory prezydenckie na szczęście nie odbyły się 10 maja. Nie trzeba chyba przypominać, jak ważnym dla demokracji aktem są wybory. Szczególnie prezydenckie. Ich procedura jest szczegółowo uregulowana zarówno w konstytucji, jak i w Kodeksie wyborczym.

To dobrze, że wybory odwołano. Zamiast niezależnej Państwowej Komisji Wyborczej miał je przeprowadzać rząd (ściślej jeden z ministrów) wespół z Pocztą Polską. Miały być wyłącznie korespondencyjne, co również jest trudne do pogodzenia z konstytucją. Kandydaci, poza urzędującym prezydentem, nie mieli szans na prowadzenie kampanii, w dodatku organizacyjnie i technicznie wybory były nieprzygotowane. Problem w tym, kto te wybory odwołał. Który organ władzy? Marszałek Sejmu, który wyznacza ich termin? A może rząd, który, ogłaszając stan nadzwyczajny (tu stan klęski żywiołowej), odracza tym samym wybory co najmniej o trzy miesiące? Nie. Wybory odroczyło dwóch Jarosławów: Kaczyński i Gowin, po kilkugodzinnej naradzie, wydając jakieś oświadczenie, które okazało się ważniejsze od konstytucji czy ustawy.

Na jakiej podstawie prawnej ci panowie (w zasadzie szeregowi posłowie) wydali to doniosłe oświadczenie? Ano bez żadnej podstawy prawnej, „bez żadnego trybu" – jak mówi klasyk.

Co więcej, owo wydane poza wszelkim trybem oświadczenie ustala, jaka będzie treść nowej ustawy i jak ma wyglądać orzeczenie Sądu Najwyższego. To ostatnie dotknęło nawet sędzię (?) Joannę Lemańską, prezes Izby Kontroli Nadzwyczajnej i Spraw Publicznych Sądu Najwyższego, w cywilu adiunkta na Uniwersytecie Jagiellońskim i koleżankę z pracy w tej samej katedrze Andrzeja Dudy. Dotknęło ją tak boleśnie, że nawet odważyła się publicznie powiedzieć rzecz śmiałą i w dzisiejszych czasach niezwykle obrazoburczą. Powiedziała mianowicie, że sąd jest niezawisły i nie można mu mówić, jakie ma wydać orzeczenie. Jak widać, z prawa zapamiętała więcej niż jej kolega z katedry.

Jakkolwiek na to patrzeć, pani sędzia wypowiedziała się w kwestii politycznej. Wbrew zakazowi p.o. I prezesa Sądu Najwyższego, Kamila Zaradkiewicza, nawiasem mówiąc powołanego na to stanowisko przez prezydenta także poza wszelkim trybem. Zgodnie z art. 14 pkt 8 ustawy o Sądzie Najwyższym pod nieobecność I prezesa (prof. Gersdorf zakończyła kadencję) pracami Sądu Najwyższego powinien kierować sędzia najstarszy stażem. Tak by było, gdyby kierowano się trybem wyznaczonym przez prawo. No ale nasze państwo działa teraz „bez żadnego trybu".

Pan Zaradkiewicz, bez względu na to, czego jeszcze dokona w przyszłości (a jak wynika z życiorysu, stać go na wiele), do historii i tak przejdzie jako człowiek, który nocą, w piżamce, naćpany grzybkami przewędrował pół Warszawy, by stanąć pod bramą Trybunału Konstytucyjnego. No i wiekopomne jest jego oświadczenie, złożone po tym, jak prezydent „bez żadnego trybu" mianował go p.o. I prezesem Sądu Najwyższego. Natchniony nominacją, jak niegdyś grzybkami, powiedział tak: „Nadszedł czas, iż kilkadziesiąt lat od odzyskania przez Rzeczpospolitą Polską suwerenności sądownictwo uwolni się od piętna haniebnego dziedzictwa zbrodni sądowych i bezmiaru niesprawiedliwości, z których dotychczas się nie rozliczyło".

Mocne. Co prawda, nie bardzo wiadomo, jak to „haniebne dziedzictwo zbrodni sądowych i bezmiaru niesprawiedliwości" sprzed lat ponad 60 ciąży obecnemu wymiarowi sprawiedliwości, wykonywanemu przez sędziów, których średnia wieku wynosi lat czterdzieści kilka. Czy ciąży ono także tym, którzy orzekają rozwody albo w sprawach spadkowych? Niezgłębiona jest myśl pana Zaradkiewicza. Skądinąd wiadomo, że pan Zaradkiewicz kwestionuje prawo wykonywania zawodu przez sędziów powołanych jeszcze w PRL przez Radę Państwa. To może ta nominacja Rady Państwa jest owym zbrodniczym dziedzictwem? Oj, niebezpiecznie pan Zaradkiewicz pogrywa. Prezes Przyłębska, o ile wiem, też nominację sędziowską otrzymała od Rady Państwa. Jako okoliczność łagodzącą można wprawdzie podnieść, że do wykonywania obowiązków sędziowskich niezbyt się przykładała, co można uznać za formę sabotowania PRL-owskiego wymiaru sprawiedliwości, ale zawsze jakaś skaza jest. Jeśli pan Zaradkiewicz tak ostro (choć może nieświadomie) pojechał po pani prezes Trybunału Konstytucyjnego, to co by powiedział o sędzim tegoż Trybunału, niejakim Piotrowiczu, który w stanie wojennym był nie tylko prokuratorem, ale i działaczem PZPR w prokuraturze?

Zaradkiewicz powiedział, że Polska odzyskała suwerenność przed kilkudziesięciu laty! A nie dopiero w roku 2015? Naraża się chłop nieustannie.

Jeszcze jedno stwierdzenie w oświadczeniu pana Zaradkiewicza jest niebezpieczne i powinno wzbudzić czujność liderów PiS. Powiedział, że Polska odzyskała suwerenność przed kilkudziesięciu laty! To znaczy niby kiedy? Po zdradzieckim Okrągłym Stole, po „grubej kresce", po sojuszu komunistów z postkomunistami? Może jeszcze dzięki Lechowi Wałęsie? A nie dopiero w roku 2015? Historii w obowiązującej wersji pan Zaradkiewicz nie zna? Naraża się chłop nieustannie. Już się o niego boję.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b7174acf7d

Kopernik z fromborskiego rynku też czeka na turystów.

Miasto Kopernika w cieniu epidemii

Przez koronawirusa trzeba będzie zaciskać pasa

Helena Leman

Gdy jadę do Fromborka w ostatni dzień kwietnia, mam wrażenie, jakby to była niedziela albo święto. Dworzec w Elblągu opustoszały, na placu przed nim ludzi jak na lekarstwo. Za to krążą mieszane patrole złożone z policjantów i „terytorialsów". Kiedy na chwilkę zsuwam maseczkę z nosa, natychmiast podchodzi chłopak w moro i mnie upomina. Kobieta, która przyjechała z Giżycka i czeka na wejście do banku, radzi, żeby zamiast maski nosić chustkę albo komin, którym zawsze można szybko przykryć nos. – Maski już po 20 minutach robią się mokre i brudne, trzeba je zmieniać. A nie sądzę, że ludzie je zmieniają, chodzą w jednej kilka dni. Pracuję w szkole medycznej, mam z młodzieżą praktyki w szpitalu, wiem, o czym mówię.

– Wirusy były i będą, ten może powoduje większe powikłania, ale nie dajmy się zwariować – dorzuca. – Czemu wielkie markety pracują pełną parą, a nasze małe firmy są zamknięte? Przecież do kosmetyczki czy fryzjera umawia się na godzinę, jest tam mniejszy przepływ ludzi niż w dużych sklepach i większa dbałość o higienę. Po co godziny dla seniorów, skoro i tak z nich nie korzystają? Czekam tu już bardzo długo i ani jednej osoby 65+ nie było, lepiej wprowadziliby pierwszeństwo dla starszych, chętnie przepuściłabym seniora.

W autobusie pasażerów czworo razem ze mną. Kierowca, który starannie dezynfekuje ręce po sprawdzeniu biletu, wzdycha, że jak tak dalej będzie, może stracić pracę.

Polityka, pogłoski i maski

Na rynku we Fromborku, przeważnie gwarnym o tej porze roku, pełnym szkolnych wycieczek, słychać tylko ptaki. Kilka osób czeka w kolejce pod Biedronką, czynne są jeszcze piekarnia i parę sklepików. W jednym z nich sprzedawczyni też mówi, że woli zasłonić się szalikiem, niż dać zarobić cwaniakom na maskach, które niedawno kosztowały 30 gr, a dzisiaj już prawie 10 zł, czy na rękawiczkach, których ceny rosną z dnia na dzień.

– Nie ma stanu klęski żywiołowej ani wyjątkowego, a jakby był. Każą nam w domu siedzieć, tylko żeby te wybory wygrać, żeby nikt na ulicę nie wyszedł. Tu wcale nie o nasze zdrowie chodzi, tylko o politykę. Więcej ludzi umiera na raka niż na tego wirusa – kwituje.

– Słyszałem o aplikacji na telefony – dodaje mężczyzna za mną – która będzie nas informować, czy w pobliżu są osoby z koronawirusem. Lepiej niech jej nie wprowadzają, bo dojdzie do nieszczęść, nasze społeczeństwo nie jest na to gotowe.

W porcie, z którego roztacza się przepiękna panorama na miasteczko i górujące nad nim wzgórze z gotycką katedrą, której kanonikiem był Mikołaj Kopernik, też pusto. Czasem przemknie po Zalewie Wiślanym łódź rybacka albo łabędzie puszczą się długim ślizgiem do brzegu, trzepocząc skrzydłami. Para rowerzystów z Katowic przygląda się temu zachwycona. Są chyba jedynymi turystami w mieście, jadą dalej na Różaniec, szlakiem Green Velo, który zahacza o Frombork.

– Maski nosić trzeba – podkreślają – ale należało je wprowadzić od razu, tak jak Czesi, którzy już uporali się z koronawirusem. Ograniczenia mają sens, bo nie chorujemy wszyscy naraz, czego by nasza służba zdrowia nie wytrzymała. Tylko powinny być mniej chaotyczne i ogłaszane z wyprzedzeniem, żeby ludzie nie byli zaskakiwani, żeby czuli się traktowani podmiotowo, a nie podejrzewali, że są przedmiotem jakieś gry. Nie wierzymy też w dane o liczbie zarażonych, są zaniżone, byłoby więcej chorych, gdyby robiono więcej testów.

21 kwietnia mieszkańcy gminy otrzymali od władz samorządowych bezpłatne maseczki z herbem miasta – Madonną z Dzieciątkiem na warownym murze. Rozdano 1,5 tys. maseczek w trzech kolorach: czerwonym, żółtym i niebieskim, po jednej na każde gospodarstwo domowe.

Opalony na brąz emeryt na rowerze potwierdza, że dostał taką maseczkę. Ale schował ją na pamiątkę, a używa innej, uszytej przez koleżankę. – Piorę ją codziennie i prasuję – tłumaczy. – U nas jest spokojnie, zarażonych nie ma. Madonna nas chroni. Zresztą w całym województwie warmińsko-mazurskim źle nie jest. Jeśli wierzyć rządowym statystykom, nie ma nawet 200 osób, zmarł tylko jeden mężczyzna z Olecka. W sezonie jednak może to się zmienić. Epidemia jeszcze potrwa i trzeba się nauczyć z nią żyć. Choć

eprasa.pl b7174acf7d

okulary zaparowane od maski, jadę na działkę, bo ruch i słońce to zdrowie. A na wybory się nie wybieram, za bardzo przy nich majstrują.

Stoimy na krawędzi

Anna Piotrowiak, dyrektorka trzygwiazdkowego hotelu w miasteczku, gdy dzwonię do niej dwa dni po rządowym poluzowaniu dla tej branży, mówi, że nie wie, co dalej. – Hotel jest otwarty i co z tego, kiedy na 40 pokoi nocleg na najbliższy weekend zarezerwował tylko jeden rowerzysta – denerwuje się.

– W maju mam tylko dwa pokoje zabukowane. Współpracujemy z biurami podróży, które przywoziły do nas autokarami turystów z Niemiec na tygodniowe pobyty. Niektóre odwołały rezerwacje na cały sezon, inne do połowy czerwca. Jeśli nie będzie jasnej informacji, kiedy zostaną otwarte granice, kiedy będziemy mogli otworzyć hotelową restaurację, to będzie krach, już stoimy na krawędzi. Rząd powinien ogłaszać zarządzenia odpowiednio wcześniej, żeby można było się przygotować. My planujemy do przodu, przyjmujemy rezerwacje już na przyszły rok. Jeśli przez najbliższe dwa tygodnie nic się nie wyjaśni, nie dostanę środków z tarczy, będę zmuszona zwalniać ludzi. Mam 10 pracowników, zatrudnionych u mnie po kilkanaście lat. Bardzo chciałabym tego uniknąć.

Jej firma nie została zupełnie zwolniona ze składek ZUS, ponieważ zatrudnia powyżej dziewięciu osób. – Otrzymaliśmy tylko 50-procentową obniżkę składek – tłumaczy pani Anna. – Pensje za dwa miesiące wypłaciłam z własnych oszczędności, które niestety topnieją. Do tego jak sępy krążą różne firmy, które próbują nam wcisnąć środki ochrony osobistej i do dezynfekcji po zawyżonych cenach. Gdyby udało się uratować chociaż lipcowe i sierpniowe rezerwacje, wyszlibyśmy może jakoś na prostą. Ale mam wrażenie, że wszystkie decyzje odnośnie do biznesu uzależnione są od wyborów, a czas ucieka. Jesteśmy zakładnikami polityki, dziś tylko o niej się rozmawia.

W jednym ze znanych w mieście pensjonatów sytuacja podobna. – Kwiecień i maj już mamy w plecy, a każdy miesiąc to kilkanaście tysięcy straty – mówi Damian Kalinowski. – Z rezerwacji czerwcowych i lipcowych ludzie jeszcze się nie wycofują i miejmy nadzieję, że tak zostanie, że pierwsza panika już minęła. Mamy trochę innego klienta niż hotel. Ale wiele zależy od decyzji rządowych. Liczymy na to, że, po pierwsze, jeszcze w maju będzie zezwolenie na działanie restauracji, kawiarni i innych atrakcji, bo turysta do nas nie przyjedzie, jak nie będzie miał gdzie wyjść. Po drugie, że propagowane przez Ministerstwo Rozwoju i Polską Organizację Turystyczną bony i vouchery zdadzą egzamin i przyciągną turystów krajowych. W obecnej sytuacji tylko takiego turysty możemy się spodziewać.

Pensjonat Kalinowskich jest firmą rodzinną, zatrudnia pracowników jedynie na sezon, w tym roku z takiego personelu zrezygnowano. – Mimo to nie zaoszczędziliśmy – dodaje mężczyzna – ogromne są koszty spełnienia wymagań sanitarnych związanych z epidemią. Każdy pokój musi być *zdezynfekowany*, do tego dochodzą płyny i żele antybakteryjne, rękawiczki, maski. Za paczkę grubszych, *lateksowych* rękawic jeszcze kilka miesięcy temu płaciłem 20 zł, dziś 170-180 zł. Planowaliśmy kupić skaner temperatury, ale na dobre urządzenie tego typu nas nie stać. Tarcza jest nieadekwatna do strat, jakie ponosimy, za wolna, rozporządzenia wychodzą, a nie ma do nich szczegółowych przepisów wykonawczych. Mam rodzinę w Anglii, w Szkocji, tam inaczej ratuje się biznes. Nasz pensjonat pewnie przetrwa, ale straty będziemy odrabiać przez dwa-trzy lata. Na szczęście nie musimy wręczać wypowiedzeń, niedaleko nas w jednym z hoteli z końcem marca zwolniono 17 osób.

Jak sępy krążą różne firmy, które próbują nam wcisnąć środki ochrony osobistej i do dezynfekcji po zawyżonych cenach.

Pracownice miejskich instytucji szyją maseczki dla mieszkańców.

Czy turyści przyjadą

Na to pytanie próbują sobie odpowiedzieć we Fromborku wszyscy. – Takiej majówki jeszcze nie było – kręci głową pani Ewa – żaden chętny nawet nie zadzwonił, nie zapytał, nic, cisza. Zawsze miałam już do połowy maja ok. 20 gości. Zaglądali Rosjanie, którzy lubią do nas przyjeżdżać, tanio wypocząć i przy okazji zrobić zakupy. A w tym roku granice zamknięte, ludzie wystraszeni. Czy będą mieli odwagę przyjechać, trudno powiedzieć. W górach mają sezon cały rok na okrągło, jeśli nie uda się zarobić latem, można sobie odbić zimą. A u nas turysta jest krótko.

Maria, emerytka, która prowadzi agroturystykę, pięć pokoi z łazienkami po 120 zł od pary za noc, mówi, że działalność rozpocznie dopiero od czerwca.

eprasa.pl b7174acf7d

– Sześciu osobom, które miały rezerwacje na majówkę, zwróciłam zadatek – tłumaczy. – Nikogo więcej na maj nie mam, dopiero na czerwiec są cztery osoby, które chcą pojechać do Kaliningradu i wrócić, ale nie wiem, czy do tego czasu otworzą granicę. Rano byłam w mieście, jest wymarłe. Tylko dwie smażalnie ryb otwarto. Lęk przed wirusem jest obustronny, boją się turyści, ale my też. Choruję na astmę, córka jest pielęgniarką na onkologii, od początku epidemii się nie kontaktujemy, święta spędziłyśmy osobno, tylko wstawiam jej zakupy za bramkę. Są jednak tacy, co na tym lęku żerują, pojawiło się tylu naciągaczy, że aż strach odebrać telefon. Myślą, że skoro mam działalność, to mnie stać, a ja mam tysiączłotową emeryturę i latem zarabiam na opał i prąd.

W Muzeum Mikołaja Kopernika, do którego należą pałac biskupi, planetarium, park astronomiczny oraz zespół Szpitala św. Ducha, gdzie prezentowana jest historia medycyny i ogród ziół, też czekają na turystów. – Już od 4 maja przygotowujemy placówkę do zwiedzania w warunkach epidemii – mówi Mirosław Jonakowski, dyrektor muzeum. – Opracowaliśmy regulamin określający, ile osób bezpiecznie może przebywać w naszych obiektach, umieściliśmy dozowniki z żelami antybakteryjnymi i wprowadzamy codziennie od 12.30 do 13.30 przerwę na dezynfekcję i przewietrzenie pomieszczeń.

– Czy pojawią się turyści, zobaczymy w weekend, odebraliśmy już kilka mejli od zainteresowanych. Myślę, że najwięcej w tym roku stracimy na grupach zorganizowanych – przewiduje. – A szczególnie chciałbym zaprosić na wystawę olsztyńskiego malarza Macieja Załuskiego „Cum animal morietur" w Szpitalu św. Ducha. Mówi ona o przeżywaniu śmierci zwierząt, obok tej wystawy nie da się przejść obojętnie. Zachęcam też do nocnych obserwacji nieba w plenerze, w parku astronomicznym, z powodu epidemii grupy będą liczyć do sześciu osób, a więc będzie kameralnie. Planetarium na razie jest zamknięte, zostanie otwarte tak jak kina.

Jest nadzieja

Zastępca burmistrza Fromborka Damian Krasiński również zadaje sobie pytanie o turystów, wszak im ich więcej, tym więcej środków w gminnym budżecie. – Chociaż będzie to trudne, liczymy, że uda się ocalić tegoroczny sezon. Rząd rozpoczął już stopniowe odmrażanie gospodarki, jednak do powrotu do normalności jeszcze wiele brakuje. Obecne koronawirusowe przepisy pozwalają jednakowo traktować wszystkich, tych małych i dużych. My jako gmina każdą sprawę staramy się traktować indywidualnie. Pochylimy się nad każdym złożonym wnioskiem np. w kwestii odroczenia podatków.

Każde gospodarstwo domowe dostało maseczkę z herbem miasta.

Do najważniejszych zadań gminy w tym trudnym okresie należy niedopuszczenie do paniki oraz przygotowanie się na sytuację awaryjną. – Uzupełniamy nasz gminny magazyn o środki dezynfekcji i ochrony osobistej – wylicza Krasiński. – Z rezerwy celowej zakupiliśmy maseczki z herbem. Promujemy też akcję #uszyjmaseczkę. Wsparli nas mieszkańcy i pracownice z podlegających nam jednostek i instytucji kultury, którym zapewniliśmy materiał na maski. Wspólnymi siłami uszyliśmy ich już ponad tysiąc i akcja trwa. Część masek trafi do najbardziej potrzebujących, reszta do naszego magazynu. Wsparliśmy poza tym szpital psychiatryczny w naszym mieście, dostarczając kombinezony, przyłbice, maski i płyn do dezynfekcji. Motywuje nas mobilizacja mieszkańców, którzy przestrzegają zasad stanu epidemicznego, zachowują dystans, przebywają w domach, noszą maski.

Zastępca burmistrza podkreśla, że mimo epidemii trzeba działać, a planów uatrakcyjnienia miasteczka jest wiele. Nieopodal portu trwają właśnie prace związane z porządkowaniem miejskiej plaży i budową promenady nad zalewem. W gminie Frombork występują wody solankowe, ale do statusu uzdrowiska droga jeszcze daleka. Kolejnym wyzwaniem jest zagospodarowanie nieczynnej od 14 lat linii kolejowej nad zalewem, z Elbląga do Braniewa, przez Nadbrzeże, Suchacz, Tolkmicko – pięknej widokowo i ciekawej historycznie. W tej sprawie zdania są podzielone, jedni mieszkańcy chcą reaktywacji kolei, drudzy wolą, by powstała ścieżka rowerowa.

– Wędrując kilkudziesięciokilometrowym szlakiem, turyści mogliby podziwiać urok gmin nadzalewowych, region mało odkryty. Ścieżka łączyłaby się ze wschodnim szlakiem rowerowym Green Velo. To jeden z lepszych pomysłów wykorzystania nieczynnej linii, który ożywiłby rozwój turystyczny naszego regionu – podkreśla wiceburmistrz.

Innego zdania jest pani Maria: – Budowa ścieżki po nasypie to inwestycja na lata, taniej i szybciej byłoby puścić autobus szynowy, chociaż w sezonie. W 2009 r. był pociąg, który łączył miasta związane z Kopernikiem, jechał z Braniewa przez Frombork, Elbląg, aż do Torunia. A o solankach słyszymy już od kilkudziesięciu lat. Kiedyś nawet zrobili odkrywkę i ustawili wielką kadź, do której lała się woda. Była niesamowicie słona, ale na odkrywce się skończyło. Nie ma co marzyć, przez epidemię trzeba będzie zaciskać pasa.

Kwiecień i maj już mamy w plecy, a każdy miesiąc to kilkanaście tysięcy straty. Z rezerwacji czerwcowych i lipcowych ludzie jeszcze się nie wycofują.

Gdy dzwonię do muzeum 11 maja, okazuje się, że podczas weekendu odwiedziło różne jego obiekty 46 turystów, 26 w sobotę i 20 w niedzielę. – Daje to jakąś nadzieję – mówi jego dyrektor – zwłaszcza że jesteśmy jednym z pierwszych otwartych po przerwie muzeów podlegających marszałkowi województwa. Baliśmy się, że nikt nie przyjedzie, tymczasem w sobotę na nocnych obserwacjach nieba było 11 osób.

Helena Leman

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/ALAMY/BEWPHOTO, JOLANTA BIEŃKOWSKA, UMIG FROMBORK

eprasa.pl b7174acf7d

Robert handluje elektroniką.

Olimpia ożyła

Przez osiem niedziel jeden z największych bazarów był zamknięty z powodu koronawirusa

Ewa Smolińska-Borecka

Dochodzi szósta, niedziela, Warszawa jeszcze śpi. Ale u zbiegu alei Prymasa Tysiąclecia z Górczewską widać, że miasto się budzi. Mężczyźni z różnych kierunków podążają do jednego punktu. Każdy ciągnie za sobą wózek albo torbę na kółkach, dźwiga plecak lub dwie, trzy torby ze skarbami, które dziś mają zmienić właściciela. I każdy ma na twarzy wypisaną troskę, bo nie wiadomo, czy po ośmiu niedzielach bez handlu klienci przyjdą 10 maja na targowisko na warszawskiej Woli.

Przed bramą główną Olimpii kilka samochodów dostawczych. Pierwsi sprzedający zjawili się jak zwykle o piątej. Dwóch mężczyzn przy bramie, o twarzach zakrytych przyłbicami, zatrzymuje każdy samochód i wręcza kierowcy instrukcje dotyczące nowych wymogów sanitarnych. Bo przecież tu, choć to handel pod chmurką, obowiązują takie same zasady jak w markecie.

Nie wolno dotykać

Ciężarówka z owocami i warzywami parkuje w pobliżu bramy wjazdowej. A więc jednak dojechało największe na Olimpii stanowisko owocowo-warzywne. Stoły będą przedłużone o kilka metrów, by klienci mogli zachować między sobą właściwą odległość. Na pobliskich stanowiskach już zakończono rozkładanie albo rozwieszanie towaru, na innych trwa gorączkowe wypakowywanie się. Bo każdy, kto dziś przyjechał na Olimpię, czasem nawet z odległej o 200 km miejscowości, liczy, że klient przyjdzie. I kupi.

Choć to handel pod chmurką, obowiązują takie same zasady sanitarne jak w markecie.

Pierwsi już są. Snują się od stoiska do stoiska. Kupują. A to kawałek ciasta, a to wiejską kiełbasę. Stoiska ze „spożywką" owinięte są folią na taką wysokość, żeby kupujący nie mógł ręką sięgnąć do towaru. Klienci uśmiechają się do sprzedających i wdają z nimi w pogawędki. Trwają rozmowy o tym, jak trudno było znosić odcięcie w domu, jak ludzie oceniają braki maseczek i kombinezonów dla medyków, co sądzą o sytuacji w domach pomocy społecznej, kto zachorował w rodzinie, kto dostał mandat za spacerowanie. Ale także o tym, jak brak handlu na Olimpii odbił się na domowym budżecie.

40 zł od metra

Najbardziej reprezentacyjne miejsce na bazarze to główna aleja między stadionem a boiskiem do treningów. Sprzedający, którzy mają tam stanowiska, niemal wszyscy już są na swoich stałych miejscach. Za każdy metr kwadratowy płacą 40 zł brutto miesięcznie. Kiedy ogłoszono stan epidemii, zarząd Wolskiego Robotniczego Klubu Sportowego Olimpia zdecydował, że targowisko zostanie zamknięte, ale z opłat nie zrezygnował. – Musieliśmy pobierać abonament, bo klub ma stałe koszty – wyjaśnia wiceprezes Eugeniusz Szymański. – Teraz co miesiąc będziemy opłatę za jedną niedzielę pokrywać z tych pieniędzy, które najemca wpłacił za okres epidemii. Wcześniej było opłacanych ok. 1,1 tys. stałych miejsc rezerwacyjnych, poza tym w każdą niedzielę sprzedawaliśmy bilety jednorazowe po 10 zł na ok. 500 stoisk handlu naręcznego. Na razie nikt nie zrezygnował z abonamentu.

Kilku sprzedających zmniejszyło powierzchnię swojego stoiska. Szymański nie wie, czy niedzielny bazar na Olimpii jest faktycznie największy w Polsce, ale dotychczasowa liczba 1,6 tys. stoisk, łącznie z tymi naręcznymi, robi wrażenie.

Na wschód od głównej alei teren zarezerwowany dla producentów mebli. Choć ledwie minęła szósta, oni już kończą wyładowywać z ciężarówek stoły, krzesła i kanapy. Z firmy Meble Wawrzyniak są dziś dwie potężne

eprasa.pl b7174acf7d

ciężarówki. – Przyjechaliśmy spod Zduńskiej Woli – wyjaśnia Kamil. – To za Łodzią, jakieś 200 km od Olimpii. Czy liczymy, że dziś będą klienci? Oczywiście. Nawet w czasie epidemii ludzie muszą wymieniać kanapy. Czy odczuliśmy zamknięcie bazaru na Olimpii? Tak.

W stoisku z bielizną damską para sprzedawców wyciąga z paczek kolejne wieszaki z figami. Kobieta mówi, że przez ostatnie tygodnie nie zarobili ani złotówki. Handlują nie tylko na Olimpii, lecz także w Grójcu, Mińsku Mazowieckim, Grodzisku Mazowieckim, w Radzyminie. Ale wszystkie bazary były nieczynne.

Hitem stoiska Mirosława był obraz prezesa-naczelnika jego pędzla.

Kamil zajmuje się sprzedażą kanap.

Uwaga na płuca

Wszyscy sprzedający mają na twarzach maseczki. Z wyjątkiem Andrzeja. Ma zaświadczenie od lekarza, że z powodu stanu zdrowia nie może zakrywać ust i nosa. – Maseczka musi być wymieniana bardzo często, niewymieniana staje się siedliskiem bakterii i grzybów – przypomina. – Wydychamy dwutlenek węgla i jeśli mamy na twarzy maseczkę, z powrotem go wdychamy. Zobaczy pani, ilu ludzi zachoruje na płuca po tej epidemii.

Andrzej rozkłada na blatach artykuły po 5 zł: smary WD40, pojemniki z gazem, narzędzia dla hydraulików, słuchawki do prysznica… Czuje, że dziś hitem będą ogrodowe świecące minizwierzątka z baterią solarną. Z powodu zamknięcia Olimpii i innych targowisk przez osiem tygodni nic nie zarobił. Liczy, że teraz się odkuje.

Minęła ósma. Na bazarze coraz więcej klientów. W alejkach i przy stoiskach się zagęszcza. Ale każdy stara się utrzymać przepisową odległość. Wszyscy mają na twarzach maseczki. To one stały się hitem niedzielnego targowiska. Można je kupić na wielu stoiskach, w cenie od 2 zł do 10.

Na prawo od głównej alejki, między bramką boiska treningowego a parkiem Moczydło, usadowiły się stoiska ze „spożywką". Kilka oferuje wędliny i nabiał. To na tej alejce skupiła się zmasowana kontrola służb sanitarnych w październiku zeszłego roku. Bo dziennikarz napisał o mięsie trzymanym poza chłodnią i o wędlinach, których termin przydatności do spożycia minął. Owszem, pojawiają się wędliny z krótkim terminem ważności. Duże sieci handlowe chwali się za to, że dbają, by żywność trafiała do klienta, a nie na śmietnik, ale bazar za to samo się gani. Dlatego właściciele stoisk z artykułami spożywczymi są bardzo wyczuleni na dziennikarzy, rozmawiają niechętnie. Szef dużego stoiska z wędlinami i nabiałem przez megafon zachęca klientów do zakupów. Zapytany, czy frekwencja go zadowala, mówi, że nie. Z ledwością uda mu się opłacić kilkuosobową załogę i pokryć koszty transportu towaru.

Mydło i powidło

Robert nie rozładował całego samochodu. Doszedł do wniosku, że dziś kupujących nie będzie zbyt wielu. Robert ma największy antykwariat na Olimpii i grono stałych klientów, którzy przychodzą od wielu lat. Od czasu do czasu ktoś podchodzi do pudeł z książkami rozstawionych na ziemi i przegląda ich zawartość. A potem się targuje – to duża zaleta tego antykwariatu. Ale młody mężczyzna, który wybrał z pudeł trzy książki, rabatu nie dostaje, choć targuje się zawzięcie. Na pocieszenie w gratisie otrzymuje książkę dla dzieci.

Antykwariat to dla Roberta działalność dodatkowa, pasja, hobby. Dlatego przerwa w funkcjonowaniu bazaru nie spowodowała finansowego dramatu. Ale w czasie epidemii Robert nie tylko nie mógł sprzedawać książek, lecz także nie zdobył nowych pozycji. Książki skupuje u klientów, po 50 gr za kilogram. W czasie epidemii ludzie bali się zarażenia, odwoływali transakcje. Książki zapewne wylądowały na śmietniku. – Teraz nie funkcjonują skupy makulatury, więc wiele domowych księgozbiorów i książek z bibliotek trafia na wysypisko – martwi się Robert. – Uważam, że tak nie powinno być, bo to duża strata dla kultury. Często zostają zniszczone bardzo cenne pozycje.

Z drugiej ręki można też na bazarze kupić ubrania. Takich stoisk jest wiele. Na jednych jest odzież robocza, na drugich – do wystrojenia się po robocie. Stoisko Pawła zajmuje dość duży obszar. Sam szef nadzoruje część z lepszą odzieżą. Te ubrania rozwieszone są na wieszakach. Paweł pochodzi z Ukrainy, zatrudnia ukraińskiego pracownika. Kiedyś na bazarze na Olimpii Ukraińcy pojawiali się głównie jako klienci, teraz coraz więcej ma własne stoiska. Pracownik Pawła pilnuje towaru gorszego sortu. Co chwila ktoś podchodzi, przeszukuje sterty ubrań po 5 zł sztuka albo przygląda się używanym butom, też za piątaka. Kobieta kupiła bluzkę, mężczyzna spodnie, drugi adidasy. – Te buty pewnie do pracy – mówi z przekonaniem pracownik Pawła.

Na stoisku z elektroniką małżeństwo kupiło dwa zestawy słuchawek bluetooth, ktoś przewód do komputera, ktoś inny bezprzewodowy głośnik.

FOT. EWA SMOLIŃSKA-BORECKA

eprasa.pl b7174acf7d

– Jestem mile zaskoczony, że dziś aż tylu klientów. Spodziewałem się, że będzie gorzej – wyjaśnia Robert, właściciel.

Dwa stoiska z mięsem umiejscowione są w samochodach. Renata i Adam przyjechali z Radzymina. Na Olimpii zjawiają się w każdą niedzielę. Zazwyczaj handlują w trójkę, bo klientów mają dużo, ale dziś i dwoje sprzedawców to nadmiar. – Kupujących jest znacznie mniej niż zwykle – ocenia Renata. – Zauważyliśmy, że mniej jest Ukraińców i Gruzinów, którzy u nas kupowali.

Pod ogrodzeniem od strony alei Prymasa Tysiąclecia pas ziemi zajęty przez sprzedawców naręcznych. Tych stoisk jest znacznie mniej niż zwykle. Ale oferta bardzo różnorodna, od staroci do najnowszej elektroniki. Zjawił się nawet sprzedawca „legalnej marihuany", czyli suszu z konopi włóknistych, a nie indyjskich. Ten gatunek zawiera dopuszczalnie małe ilości THC, mającego działanie psychotropowe, a duże ilości CBD, który pomaga w różnych dolegliwościach. – Moja żona ma stwardnienie rozsiane – wyjawia jeden z klientów. – Od kiedy przyjmuje olej z marihuany, może nawet prowadzić samochód.

Stoły będą przedłużone o kilka metrów, by klienci mogli zachować właściwy dystans.

Klient kupuje wiejską kiełbasę, kobieta pyta o cielęcinę, starsza pani o wołowinę na tatara. Cielęciny dziś nie było, a wołowina została tylko na pieczeń. Za to wieprzowina wciąż jest w ladach chłodniczych. Świetnie sprzedaje się tzw. przejściówka, czyli schab, który już nie jest środkowym, ale jeszcze nie karkowym.

Z olejnego obrazu uśmiecha się jakby znajoma twarz. Ale nie mam pewności, czy to właśnie ta twarz. Mirosław, właściciel stoiska i autor, dziwi się, że nie poznaję: – To przecież prezes. Jest w mundurze wojskowym, ale bez dystynkcji. Przedstawiłem go jako naczelnika. Mam nadzieję, że ktoś kupi obraz. Brakowało mi tej bazarowej atmosfery przez osiem ostatnich niedziel. Stęskniłem się za kolegami, którzy handlują zawsze w sąsiedztwie, i za klientami. Jestem przewodnikiem miejskim, a ta sprzedaż dla mnie to raczej zabawa niż źródło zarobku. Ale teraz, kiedy dla przewodników nie ma pracy, pieniądze z handlu bardzo się przydadzą.

Od czasu do czasu podchodzi jakiś klient i ogląda różności wyłożone przez Mirosława. Kobieta kupuje malachit na oczko do pierścionka, starszy mężczyzna – używany zegarek. Ale cena portretu prezesa naczelnika – 120 zł – wydaje się zaporowa. Klienci podchodzą, oglądają, mówią, jakie mają zdanie o prezesie i o partii rządzącej. Ktoś pyta, czy w komplecie z obrazem są rzutki. Mirosław zaprzecza. I nie komentuje pytania. Mówi, że nie interesują go przekonania polityczne klientów i nie obchodzi go, czy kupujący będzie celował rzutkami w obraz, czy oddawał mu cześć.

Ewa Smolińska-Borecka

UNIVERSAL
© 2020 Universal Studios, RUG Ltd. and Perfect Universe Investment. Inc. All Rights Reserved.
FILMOSTRADA
FILMWEB
dlaStudenta.pl
FILMAWKA
MECHANICZNA KULTURACJA
Przegląd

eprasa.pl b7174acf7d

Plagi polskie

Susza, afrykański pomór świń, koronawirus i dramatyczne konsekwencje recesji gospodarczej to śmiertelna kombinacja, która zwali się na głowy rolników

Marek Czarkowski

Na razie wydaje się, że jest dobrze. Półki sklepowe pełne warzyw i owoców, ceny chleba nie wzrosły znacząco, mięso i wędliny, jeśli zdrożały, to w akceptowalnych przedziałach. Do wyższych cen jabłek na przednówku przywykliśmy… Czy zatem możemy spać spokojnie? Nie. Choć Polska należy do największych producentów rolnych Unii Europejskiej – zajmujemy szóstą pozycję wśród 27 krajów członkowskich, eksportujemy żywność na potęgę – wkrótce sytuacja może się stać dramatyczna.

Mamy bowiem do czynienia z kumulacją problemów: epidemią koronawirusa, suszą, afrykańskim pomorem świń i potężną recesją gospodarczą. Wieś nie była na to przygotowana. Rząd tym bardziej. Co gorsza, nie zajmuje się teraz rolnictwem, bo ważniejsze są przygotowania do korespondencyjnych wyborów prezydenckich oraz umacnianie władzy. Zapłacimy za to wszyscy. Zwłaszcza rolnicy.

Kłopoty małych i wielkich

Ekonomiści od lat wskazują, że mamy w kraju ogromną liczbę małych gospodarstw, z których prawie 90% (czyli 1,2 mln) nie zapewnia ich właścicielom odpowiednich dochodów. Co oznacza, że byli oni zmuszeni szukać dodatkowej pracy w miastach. Kiedyś nazywano ich chłoporobotnikami. Dziś ci ludzie – jeśli znajdą się w kłopotach – nie mogą liczyć na specjalną pomoc.

W normalnych czasach dopłaty bezpośrednie do hektara, świadczenie 500+ albo emerytura dziadków oraz kilka świń w oborze i stadko drobiu wystarczały, by przeżyć od pierwszego do pierwszego. A jeśli gospodarz miał dodatkowe zajęcie w handlu lub usługach, żyło się nie najgorzej.

Co się stanie, jeśli duża część tych osób straci pracę? A susza sprawi, że znacząco wzrosną koszty ich skromnej produkcji rolnej?

W jeszcze gorszej sytuacji będą rolnicy uprawiający zboża na kilkuset hektarach lub prowadzący duże farmy świń, drobiu czy bydła. Tu zagrożeniem jest afrykański pomór świń (ASF). Pod koniec kwietnia Krajowy Związek Pracodawców – Producentów Trzody Chlewnej ostrzegł, że ze względu na rozprzestrzenianie się ASF sytuacja w Polsce staje się krytyczna. Tylko w pierwszym kwartale tego roku odnotowano więcej przypadków ASF u dzików niż w trzech kwartałach roku 2019. 20 marca ognisko ASF wykryto w Niedoradzu (Lubuskie). Podjęto decyzję o likwidacji i utylizacji 27 tys. świń. Choroba wkroczyła na teren Wielkopolski, gdzie pogłowie świń jest największe w kraju. Jeśli pomór się rozszerzy, hodowcy poniosą potężne straty. A to kolejny powód, by uznano, że rolnictwo jest branżą obarczoną wysokim ryzykiem. Co oznacza, że o kredyty będzie jeszcze trudniej. Tymczasem duże gospodarstwa bez współpracy z bankami nie mogą funkcjonować. Wiele już jest zadłużonych. Jeśli więc zabraknie środków, może dojść do masowych upadłości. Podobnie rzecz się ma z przedsiębiorstwami zajmującymi się przetwórstwem żywności. One także potrzebują kredytów obrotowych i inwestycyjnych.

Na szybką pomoc rządu rolnicy nie mają co liczyć. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa ma bardzo poważne problemy z wypłatą pomocy suszowej jeszcze za ubiegły rok. Od rolników wpłynęło 355 tys. wniosków o przyznanie pomocy w związku z suszą w roku 2019, na ogólną wartość 2,3 mld zł. Do połowy kwietnia wypłacono 963 mln zł. Do rozpatrzenia pozostało 215 tys. wniosków. O tym, jak to wygląda

eprasa.pl b7174acf7d

Z powodu suszy plony zbóż, kukurydzy, rzepaku będą znacznie niższe niż w latach ubiegłych.

w praktyce, można się dowiedzieć z przeznaczonych dla rolników forów internetowych: „Mam małe gospodarstwo, 2 ha, złożyłem wniosek suszowy, komisja wyliczyła stratę na ponad 8 tys. zł (łąka i 10 arów borówki amerykańskiej). Łąka w 70% wyschnięta, borówka też, uschły krzaki, bo wody w studni zabrakło. Dziś otrzymałem decyzję na 146 zł, tj. 32,30 euro. Ludzie, to jest śmiech! Co ja mam za to zrobić?”.

„Sieję kukurydzę, kurzy się, że świata nie widać. Patrzę w niebo z nadzieją, bo pojawiło się sporo ciemnych chmur, może popada? Albo rozejdzie się po kościach. Parę lat temu pojawił się u nas ASF i nikt hodowcom świń nie pomógł. I tak, chcąc nie chcąc, musiałem zostać »wegetarianinem«. Mam też truskawki i co roku sadzę brokuły, tyle że minister rolnictwa zrobił »udany« skup interwencyjny jabłek, po którym moja chłodnia Eskimos z Sokółki musiała ogłosić upadłość”.

Doszło do tego, że o przyczyny zwłoki w przyznawaniu pomocy suszowej za rok 2019 w ostrym tonie pytał premiera Morawieckiego eurodeputowany, były minister rolnictwa w rządzie Prawa i Sprawiedliwości, Krzysztof Jurgiel.

Przy okazji ujawniły się podziały wśród samych rolników. Krążą opinie, że „najczęściej jest tak, że bogaci rolnicy multihektarowi, co z samych dotacji UE dostają wielkie pieniądze, żądają jeszcze suszowego”. Ktoś pomstuje: „Suszowe to fikcja, żaden inny kraj się na to nie decyduje, a tu eldorado było, że ktoś ma hektary, to dostaje, a jak się ubezpieczył, to podwójnie, co roku. Poza tym naciąganie państwa, ale przede wszystkim psucie rynku rolnego, zdrowej konkurencji”.

Strach myśleć, co czeka nas na przełomie sierpnia i września.

Nadwiślańska pustynia

Niestety, nie możemy liczyć na szybkie zmiany. Polska już dziś ma najmniejsze zasoby wód gruntowych w Europie, są mniej więcej takie jak w Egipcie. Często przywoływany jest miernik – przepływy rzeczne odnawialne na mieszkańca rocznie. W Unii Europejskiej to średnio ponad 4 tys. m sześc. na mieszkańca, a w Polsce – 1,4-1,6 tys. W wypadku suszy wskaźnik ten spada do 1 tys. m sześc.

Do lat 80. ubiegłego wieku susze wypadały w naszym kraju średnio co pięć lat. Można powiedzieć, że rolnictwo było na to przygotowane. Dziś susze nawiedzają Polskę co dwa lata, a rok 2020 jest trzecim z rzędu, gdy wody w kraju brakuje.

Im wyższe średnie temperatury, tym większe straty w wyniku parowania. By je uzupełnić, trzeba by częstszych opadów. Niestety, mamy do czynienia z gwałtownymi opadami, które nie są zbyt częste. Takie deszcze wywołują lokalne powodzie i podtopienia, po czym woda szybko spływa do rzek, a następnie do morza. A susza trwa.

Przez dekady gospodarka wodna w naszym kraju polegała na osuszaniu bagien i mokradeł, betonowaniu brzegów rzek i budowie wałów przeciwpowodziowych. Zrezygnowano, nie tylko w Polsce, ze znanego już w starożytnych Chinach cyklicznego i kontrolowanego zalewania terenów. A także z gromadzenia zapasów w małych zbiornikach retencyjnych, oczkach wodnych. Przestano dbać o sprawną sieć kanałów odprowadzających deszczówkę na pola uprawne.

Paradoksalnie rozwój rolnictwa doprowadził do likwidacji częstych niegdyś w krajobrazie wiejskim małych stawów, wokół których rosły kępy drzew. Były one zbytnią przeszkodą dla kombajnów i ciężkich maszyn rolniczych. W ten sposób utraciliśmy naturalne rezerwuary cennej wody. Nie da się ich odbudować w rok.

Na początku kwietnia TVN 24 pokazała w wiadomościach burzę piaskową na Lubelszczyźnie. Zdjęcia wyglądały, jakby zrobiono je na Saharze. Z kolei w drugiej połowie tego miesiąca spłonęło kilka tysięcy hektarów Biebrzańskiego Parku Narodowego. Od 1 stycznia do 22 kwietnia Lasy Państwowe odnotowały 2,7 tys. pożarów lasów. A wiadomo, że będzie ich więcej.

Powstałe 1 stycznia 2018 r. Państwowe Gospodarstwo Wodne Wody Polskie zatrudnia ponad 6 tys. pracowników i ma nas chronić przed powodziami i suszą. Jak sobie z tym radzi, widać gołym okiem. Trudno się dziwić. Prawica i wspierające ją media od lat były skłonne lekceważyć zmiany klimatyczne spowodowane globalnym ociepleniem. Przedstawiano to jako wymysł jajogłowych lub odprysk ideologii gender. Teraz za to zapłacimy.

Wystarczy spojrzeć na mapę Instytutu Meteorologii i Gospodarki Wodnej pokazującą wskaźnik wilgotności gleby na koniec kwietnia br., by się przekonać, jak jest źle. Najgorsza sytuacja panuje w województwach: lubuskim, wielkopolskim, kujawsko-pomorskim, mazowieckim i łódzkim. Czyli tych, w których gospodarstwa są na najwyższym poziomie.

Ratunkiem dla rolników byłoby nawadnianie upraw, ale to kosztuje. A im mniej będzie wody, tym więcej trzeba będzie za nią płacić. Może też się okazać, że – tak jak w roku ubiegłym – w części gmin zabraknie wody. Najgłośniejszy przypadek to Skierniewice. Na początku czerwca trzeba było wprowadzić ograniczenia. Wody zabrakło również w Zakopanem. I w ponad 200 gminach na terenie kraju. Jeśli nie spadną deszcze, takich gmin w tym roku będzie znacznie więcej. Odkryjemy, że woda to dobro luksusowe.

Co to oznacza dla rolników? Tyle, że będą ponosić straty. Rząd nie ma żadnych propozycji. Opozycja zresztą podobnie. Politycy

Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa ma bardzo poważne problemy z wypłatą pomocy w związku z suszą jeszcze za ubiegły rok.

Rok 2020 jest trzecim z rzędu, gdy wody w kraju brakuje.

FOT. AGNIESZKA SADOWSKA/AGENCJA GAZETA

eprasa.pl b7174acf7d

Wskaźnik wilgotności gleby, warstwa 0-7 cm.

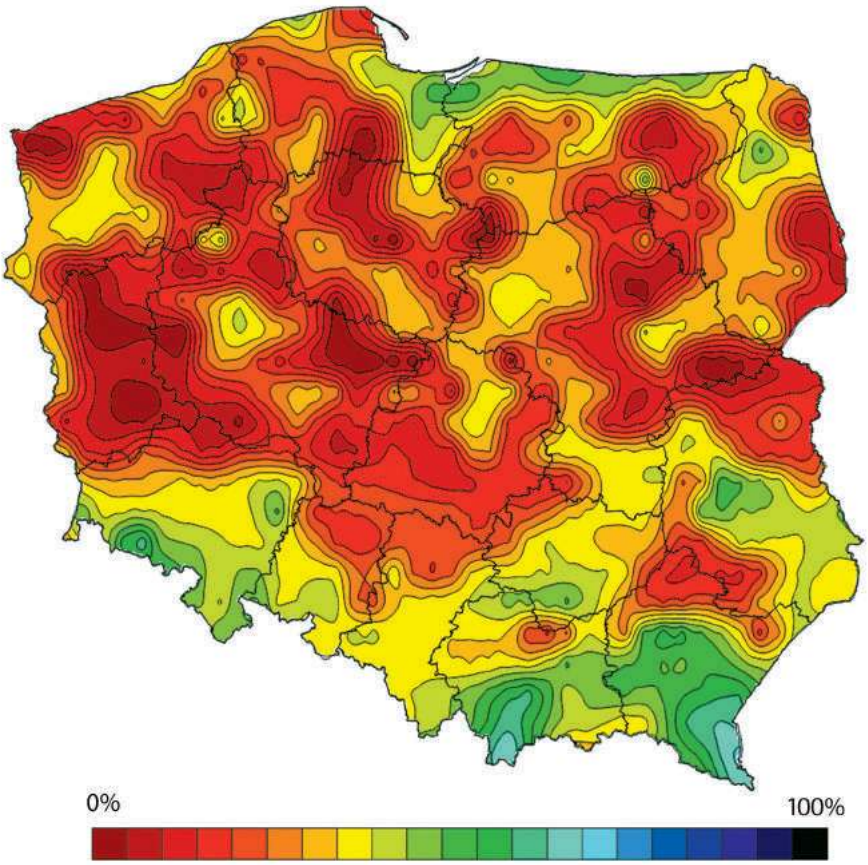

Źródło: Instytut Meteorologii i Gospodarki Wodnej - IMGW PIB

zareagują, gdy będzie już bardzo źle. A to znaczy – za późno.

Co może Wojciechowski?

Rząd szykuje kolejne tarcze antykryzysowe dla mikroprzedsiębiorstw, małych przedsiębiorstw i dużych firm. Nic nie słychać o tarczy dla rolnictwa. A będzie potrzebna. Minister Jan Krzysztof Ardanowski zasłynął w ostatnich dniach z opublikowania na stronie internetowej Ministerstwa Rolnictwa i Rozwoju Wsi listy zakładów mleczarskich sprowadzających mleko, sery i masło z zagranicy i zapowiedział, że będzie tak robił co kwartał. Podobne działania planowane są w przypadku zakładów mięsnych. Minister tłumaczył, że sprowadzając mleko i jego przetwory z zagranicy, zakłady ograniczają tym samym zakupy od polskich rolników. Rzecz w tym, że polskie spółdzielnie mleczarskie należą do największych w Europie, a eksport jest filarem ich działalności. Import to margines. Strach pomyśleć, co by się stało, gdyby Francuzi, Niemcy, Holendrzy, Włosi i Brytyjczycy doszli do wniosku, że polskie mleko, sery, jogurty itp. nie są mile widziane. Działanie Ardanowskiego jest pod publiczkę. Minister słusznie spodziewa się, że susza stanie się wygodnym pretekstem do podniesienia cen w sklepach, ale nie w skupie. Innymi słowy, rolnicy nic nie zyskają. Dodajmy do tego problemy z dostępem do kredytów. Przedstawiciele sektora bankowego stale podkreślają, że nie prowadzą działalności charytatywnej i muszą mieć gwarancje, że nie stracą zysków. Czyli oczekują pieniędzy od rządu.

To nieszczęście dotknie większe gospodarstwa. Trzeba będzie zapomnieć o inwestycjach. Skupić się na spłacie dotychczasowych zobowiązań i dotrwać do lepszych czasów. Okaże się to tym trudniejsze, że plony zbóż, kukurydzy, rzepaku itp. będą znacznie niższe niż w latach ubiegłych. Nie wszystkim uda się przetrwać. Tak mści się fatalna organizacja polskiego rolnictwa, które jest zbyt „indywidualne" jak na zglobalizowany świat. Duńskim rolnikom, którzy są zorganizowani w spółdzielnie, mają własne zakłady przetwórcze, sklepy i banki, będzie o wiele łatwiej.

Komisarzem Unii Europejskiej ds. rolnictwa jest dziś Janusz Wojciechowski, niegdyś prezes Polskiego Stronnictwa Ludowego, od wielu lat polityk Prawa i Sprawiedliwości. Ile to oskarżeń i pretensji kierowano wobec Donalda Tuska, Danuty Hübner czy Elżbiety Bieńkowskiej, gdy piastowali wysokie stanowiska w Brukseli – że zdradzili, że reprezentują opcję niemiecką, że niedostatecznie energicznie dbają o polskie interesy. I nie załatwiają tak potrzebnych nam pieniędzy.

Komisarz Wojciechowski będzie miał szansę się wykazać i załatwić polskim rolnikom wyższe dopłaty oraz tak potrzebne dodatkowe środki na walkę z suszą. Oczywiście niczego nie załatwi, bo Komisja Europejska działa na innych zasadach niż rodzima administracja rządowa.

Za zaniedbania i bezczynność rządzących zapłacimy wszyscy. Solidarnie. I nie chodzi tylko o wyższe ceny warzyw i owoców, mleka, serów, mięsa i wędlin. Chodzi o brak planów wyjścia z kryzysu.

Rząd szykuje tarcze antykryzysowe dla przedsiębiorstw. Nic nie słychać o tarczy dla rolnictwa.

Będziemy ich szukali, gdy wszystko wokół będzie się waliło. Gdy bezrobocie sięgnie 20%, a PKB spadnie o 10% albo więcej. Gdy będą zamknięte granice, a w szpitalach, tak jak dziś, lekarze i pielęgniarki będą walczyli o życie chorych na koronawirusa. Nie wiadomo, kto wtedy będzie rządził. I kto weźmie odpowiedzialność za kolejne nieszczęścia, które na nas spadną.

Marek Czarkowski

eprasa.pl b7174acf7d

Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Znaszli ten kraj?

Granice zamknięte, kopalnie otwarte. Paszportów się nie wydaje, chyba że przekonasz urzędnika, że dobrze, abyś jednak stąd wyjechał. Nie odbywają się wybory prezydenckie, bo niepodzielnie rządzący chcieliby, żeby odbyły się jak najszybciej – i dlatego nie odbywają się wcale, bo władza nie potrafi tego przeprowadzić. Minister zdrowia jest zamieszany, czyli odpowiada za przekręt przy zakupie maseczek ochronnych, które do niczego się nie nadają. Za to jego znajomy góral narciarz, którego żona jednego dnia zakłada działalność gospodarczą, ma podpisany kontrakt z ministerstwem, a dnia następnego – 5 mln zł na koncie.

Nie udało się wciąż przejąć Sądu Najwyższego, ponieważ jego „starzy" sędziowie, czyli ci wybrani zgodnie z prawem, przestrzegają obowiązujących ich przepisów. A nadaniec z Adrianowej łaski nie potrafi ich zakrzyczeć, odebrać głosu, zagłosować za nich i wybrać. Wicemarszałek Senatu (a przed chwilą marszałek) z kolei musi odejść, bo łamał prawo, dorabiając rocznie kilkaset tysięcy, i „zapomniał" o tym poinformować. Wszystkiego pilnuje Najwyższa Izba Kontroli, której szefuje były minister finansów, który miał pod nosem w urzędzie mafię VAT-owską, wielkiego wroga w czasie poprzednich kampanii wyborczych. Wrogiem był także każdy oficer Wojskowych Służb Informacyjnych, rozgonionych swego czasu przez Antoniego Macierewicza, którego komisja do wyjaśnienia katastrofy smoleńskiej nie wyjaśniła niczego, a to i tak za dużo powiedziane. Tymczasem premier 40-milionowego kraju wita przylot wielkiego poradzieckiego samolotu transportowego i przed kamerami usłużnej telewizji państwowej niemal rozpakowuje na pasie startowym kartony z maseczkami, które po kilku tygodniach okazują się przepłacone, niemal nieużyteczne. Sprzedał je były oficer WSI.

Często nazywa się działania tego rodzaju operacjami gangu Olsena, prześmiesznej bandy duńskich złodziei nieudaczników. Tutaj oglądamy to na co dzień jako działania polskiego rządu. I ten rząd cieszy się wciąż zaufaniem sporej, jeśli nie większościowej, części społeczeństwa.

Nowy minister szkolnictwa wyższego, mogący się pochwalić tytułem magistra, w swoim pierwszym liście do świata nauki cytuje na okrągło Jana Pawła II i zachęca rektorów polskich uczelni do „uhonorowania" urodzin papieża Polaka. W tym samym czasie minister rolnictwa pozwala sobie na publiczne wygłoszenie poglądu, że „działanie obrońców praw zwierząt jest jak hitlerowska propaganda wymierzona przeciw Żydom". Jeśli zaś chodzi o suszę, to minister ma do powiedzenia tyle, że nic nie może, bo wszystko w rękach Opatrzności. Dymisjonuje się dyrektora Biebrzańskiego Parku Narodowego, bez słowa, po 30 latach pracy dla środowiska. Ale nie jest myśliwym, wędkarzem, nie zarabia na biebrzańskich łąkach. Z kolei strażnik leśny, który zasłynął niezwykłą brutalnością w działaniach przeciwko obrońcom Puszczy Białowieskiej, zostaje dyrektorem Regionalnej Dyrekcji Lasów Państwowych w Szczecinku.

Stowarzyszenie Nigdy Więcej, od ponad 30 lat dokumentujące przestępstwa i zbrodnie na tle rasowym, ksenofobicznym i homofobicznym oraz akty dyskryminacji, analizuje, jak takie zachowania mają się w dobie pandemii koronawirusa – a mają się kwitnąco, o czym informuje raport „Wirus nienawiści". Przywołuje on akty agresji, napaści na przedstawicieli mniejszości, bezpodstawnie obwinianych o roznoszenie wirusa, a także liczne przejawy mowy nienawiści i teorie spiskowe na temat epidemii szerzone przez skrajną prawicę. Wśród tych, którzy owymi „tezami" zabłysnęli, są posłowie, politycy, europarlamentarzyści, hierarchowie Kościoła, urzędnicy państwowi, profesorowie uczelni.

W ogłoszonym właśnie międzynarodowym rankingu równouprawnienia osób LGBT w Europie Polska oficjalnie spadła z przedostatniego na ostatnie miejsce w całej Unii Europejskiej.

Nagonki przypisujące odpowiedzialność za pandemię koronawirusa dotykają pracowników służby zdrowia: lekarzy, pielęgniarki, ratowników medycznych, osoby na kwarantannie, górników („bo się nie myją", a nie dlatego, że zmuszono ich do pracy).

Równocześnie w mediach „publicznych" płyną miliony na nagrody... No, może stop. Taka to nasza Polska. Światełka w tunelu nie widać, chyba że to światełko słynnego życia po życiu, bo wszystkie powyższe historie, wybrane przecież tylko z wielu podobnych, są symptomami rozkładu, kompletnej atrofii więzi, relacji i zasad życia społecznego. Tu nie ma po prostu warunków do życia. To nie jest kraj dla ludzi, dla nas. I to nie jest tylko zły sen.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b7174acf7d

Po 55 dniach zamknięcia w domach rzymianie wyszli na miasto, 8 maja 2020 r.

Nowa normalność po włosku

Aż 81% Włochów boi się kontaktu z drugim człowiekiem, a 73% cierpi na stres po lockdownie

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Nowa normalność rozpoczęła się we Włoszech 4 maja 2020 r. na mocy kolejnego dekretu premiera Giuseppe Contego. Włochy miały się otwierać powoli, w dwutygodniowych fazach – zgodnie z zaleceniami komitetu ekspertów wspierających rząd. Po 55 dniach zamknięcia w domach ludzie mogą wreszcie wychodzić na spacer do parku lub uprawiać sport na wolnym powietrzu. Można też złożyć wizytę rodzinie. Do 18 maja utrzymano obowiązek posiadania przy sobie oświadczenia o celu przemieszczania się: praca, zdrowie, rekreacja, odwiedziny bliskich. Nadal obowiązuje zakaz wszelkich zgromadzeń, zarówno w miejscach zamkniętych, jak i na wolnym powietrzu.

W poniedziałek, 4 maja, do pracy wróciło 4,5 mln ludzi. Ruszył transport miejski i cały przemysł. Otwarto zakłady rzemieślnicze i handel hurtowy. Restauracje i bary rozpoczęły sprzedaż jedzenia na wynos. Zezwolono na organizację pogrzebów na wolnym powietrzu z udziałem maksymalnie 15 osób, obligując duchownego i żałobników do noszenia maseczek, mierzenia temperatury, zachowania bezpiecznej odległości. We wszystkich miejscach pracy (fabryki, biura, transport itp.) wprowadzono protokoły epidemiologiczne uzgodnione ze związkami zawodowymi, przewidujące kontrolę za pomocą termoskanerów, używanie maseczek i rękawiczek, dezynfekcję, zachowanie dystansu bezpieczeństwa.

Dekret rządowy przewiduje, że od 18 maja ruszy handel detaliczny i zostaną otwarte sklepy. Otworzą się muzea i biblioteki. Zostaną wznowione treningi grupowe. Wszystko z zachowaniem zasad nowej normalności. Dopiero na 1 czerwca zostało przewidziane otwarcie barów, restauracji, salonów kosmetycznych i fryzjerskich, zobowiązanych do przestrzegania rygorystycznych obostrzeń, takich jak wydłużony czas pracy (fryzjerzy) i dystans między stolikami (restauracje). 17 czerwca mają się rozpocząć matury – tylko egzamin ustny. Powrót fizyczny uczniów do szkół i na uniwersytety jest przewidziany dopiero od września, choć myśli się o obozach letnich dla dzieci, które mają być próbą przed otwarciem żłobków i przedszkoli. Co do tego nie ma jeszcze konkretnych wskazań.

Używanie maseczek jest obowiązkowe w transporcie publicznym, w sklepach, w każdym miejscu pracy, we wszystkich miejscach zamkniętych i w tych na zewnątrz, gdzie nie jest możliwe utrzymanie bezpiecznego dystansu. Również spotkania z najbliższymi muszą się odbywać w maseczkach. Do tej pory we Włoszech ich nabycie równało się z cudem. W pierwszym okresie kwarantanny nie można było kupić nawet maseczki chirurgicznej, FFP2 i FFP3 były tylko marzeniem. Później ceny stały się zawrotne. Włochy, tak jak inne kraje, nie produkowały akcesoriów sanitarnych już od lat, kupując je w Chinach. Zadanie zaopatrzenia kraju w materiały ochronne przeciwko COVID-19 powierzono specjalnemu komisarzowi, Domenicowi Arcuriemu. Wznowiono

FOT. IPA/BACKGRID/BACKGRID UK/FORUM

eprasa.pl b7174acf7d

krajową produkcję. Szyciem maseczek i odzieży ochronnej dla sektora sanitarnego zajęły się wielkie marki modowe, takie jak Armani, Gucci czy Prada. Rozpisano też przetargi dla biznesmenów chcących importować je z zagranicy. Wybuchło kilka skandali, z których najgłośniejszy dotyczy Irene Pivetti, byłej marszałek izby niższej parlamentu, która próbowała sprowadzić 15 mln maseczek z nieodpowiednim certyfikatem. Od 4 maja w aptekach i innych miejscach miały się pojawić maseczki w cenie 0,50 euro za sztukę, ale nadal brakuje ich w wielu regionach kraju – zwłaszcza w najbardziej dotkniętej koronawirusem Lombardii. Czy to niewydolność komisarza Arcuriego, czy także wina spekulacji? Aptekarze przy cenie narzuconej przez rząd nie zarabiają. Pandemia COVID-19 to metaforyczna wojna na wielu frontach – zdrowotnym, gospodarczym, społecznym.

Po włosku, czyli po swojemu

Program odmrażania gospodarki przedstawiony przez premiera Contego 26 kwietnia wzbudził wiele protestów. Niektórzy oczekiwali, że nastąpi jeżeli nie całkowite, to przynajmniej większe otwarcie. Modele matematyczne rozwoju epidemii we Włoszech przewidują jednak, że gdyby otwarto wszystko od razu, wskaźnik zakażalności szybko wzrósłby do 2,25 (jedna osoba zarażałaby więcej niż dwie), czego wynikiem byłoby do końca roku 150 tys. osób wymagających intensywnej terapii. Na początku wszyscy pomyśleli, że to jakaś pomyłka. Jednak szef Krajowego Instytutu Zdrowia Silvio Brusaferro potwierdził, że takie dane przedstawił premierowi komitet naukowy. W tej chwili Włochy mają 9 tys. miejsc na oddziałach intensywnej terapii (przed wybuchem epidemii było 5 tys.) na 60 mln mieszkańców.

Dane obrony cywilnej z 11 maja 2020 r. były najlepsze od dwóch miesięcy. Odnotowano 744 przypadki nowych zakażeń i 179 zgonów w ciągu ostatnich 24 godzin. Kiedy kraj wchodził w kwarantannę 10 marca 2020 r., było 619 nowych zakażeń i 168 zmarłych w ciągu doby, ale we wszystkich regionach kraju wskaźnik zakażalności spadł już poniżej 1. Po raz pierwszy oddycha się z ulgą i czuje, że to powrót do normalności.

Włoski rząd myśli o różnicowaniu zakazów w poszczególnych regionach. Z tym że nastąpić to może dopiero po 18 maja. Gubernatorzy są niezadowoleni. Chcą wznowić handel i jak najszybciej pozwolić na otwarcie barów oraz restauracji ze stolikami na zewnątrz, a także salonów fryzjerskich. Presję wywierali przede wszystkim prawicowi administratorzy lokalni, zarzucając władzy centralnej nieudolność polityczną w drugiej fazie epidemii. Jednak najbardziej kontrowersyjne i nieszczęśliwe wystąpienie parlamentarne ma na koncie były lewicowy premier Matteo Renzi: „Gdyby zmarli na COVID-19 mogli mówić, powiedzieliby: otwórzcie wszystko jak najszybciej!". „Zmartwychwstali zapytają na Sądzie Ostatecznym: dlaczego wprowadziliście kwarantannę tak późno?", pojawiły się komentarze.

Gubernator Wenecji Euganejskiej, Luca Zaia z Ligi, uprzedził dekret rządowy i proponowane w nim rozluźnienie wprowadził już 24 kwietnia. Jole Santelli, gubernatorka Kalabrii z partii Forza Italia, wydała dekret o otwarciu restauracji i barów ze stolikami na zewnątrz od 5 maja. Nie wszyscy burmistrzowie kalabryjskich miast ją poparli, wydając miejscowe zakazy. Minister spraw regionalnych Francesco Boccia zaskarżył jej decyzję i Trybunał Regionalny nakazał zamknąć wszystko. Prezydent Trydentu-Górnej Adygi, Arno Kompatscher, w nocy z 7 na 8 maja zdecydował o otwarciu sklepów w prowincji, powołując się na jej autonomię. Od tego momentu wszyscy zaczęli robić wszystko „po włosku", czyli po swojemu.

Nie we wszystkich regionach Włoch epidemia koronawirusa jest równie groźna. Kraj można podzielić na cztery strefy, w zależności od tygodniowego wzrostu przypadków nowych zakażeń. Czerwona strefa to Lombardia, Piemont i Liguria, pomarańczowa – Molise i Lacjum, żółta – Wenecja Euganejska, Marche, Emilia-Romania, Trydent-Górna Adyga i Dolina Aosty, zielona – Abruzja, Apulia, Kampania, Toskania, Umbria, Sycylia, Friuli-Wenecja Julijska, Basilicata i Kalabria. Czerwona strefa charakteryzuje się rozpowszechnieniem i tygodniowym wzrostem zakażeń powyżej średniej krajowej. W strefie pomarańczowej tygodniowy wzrost jest powyżej średniej krajowej, ale odnotowuje się tendencję spadkową. W żółtej jest wciąż dużo przypadków, ale tendencja, jeśli chodzi o wyzdrowienia, jest wzrostowa. W strefie zielonej zarówno częstość, jak i tygodniowy przyrost zachorowań jest poniżej średniej krajowej.

Problemem Włoch były i nadal są trzy regiony: Lombardia, Piemont i Liguria, które nie wyszły jeszcze z fazy pierwszej. Na pytanie, dlaczego tak się dzieje, niektórzy specjaliści odpowiadają, że 60% tamtejszych fabryk nigdy nie zatrzymało produkcji, więc prawdziwej kwarantanny, takiej jak w innych regionach, tam nie było. To jednak serce ekonomiczne Włoch. Jeżeli zatrzymałoby się, byłby to koniec włoskiej gospodarki.

Widmo recesji

Już 4 maja w Neapolu strajkowali fryzjerzy, strzygąc klientów na placu i domagając się od rządu jasnych zasad dotyczących zachowania bezpieczeństwa w miejscu pracy oraz jak najszybszego otwarcia salonów. „Nie chcemy 600 euro! Chcemy pracować, aby utrzymać rodziny i pracowników!", tłumaczył jeden z najbardziej wziętych stylistów. W Mediolanie właściciele restauracji, lokali i barów na placu przed Łukiem Pokoju rozstawili puste krzesła w bezpiecznej odległości i stanęli za nimi w maseczkach. Na oparciach wisiały kartki: „Jeśli nie otworzymy, zamkniemy!". Dostali mandaty za zorganizowanie nielegalnego zgromadzenia. W Rzymie przedstawiciele tych dwóch branż udali się na Kapitol, by oddać symboliczne klucze do swoich salonów i lokali. Po tygodniu protestów i napięć rząd w końcu uległ i przyśpieszył odmrażanie gospodarki. Od 18 maja będą mogły zostać otwarte zakłady fryzjerskie oraz restauracje i bary w regionach, gdzie sytuacja epidemiologiczna jest pod kontrolą.

Według szacunków Confcommercio (Włoskiej Generalnej Konfederacji

Przewiduje się, że kryzys dotknie 30% lokali w branży restauracyjnej oraz 60% salonów kosmetycznych i fryzjerskich.

eprasa.pl b7174acf7d

Przedsiębiorstw), zrzeszającej ponad 700 tys. firm, w marcu z powodu lockdownu konsumpcja w kraju spadła o 31,7%. Sytuacja w poszczególnych sektorach jest dramatyczna: 100% spadku w sprzedaży ubrań i obuwia, 95% w turystyce, 82% w handlu samochodami, 68% w sektorze gastronomicznym. Spadek konsumpcji w pierwszym kwartale może przekroczyć 10%, a spadek PKB od 6 do 10% w skali rocznej. Dla gospodarki włoskiej, będącej w recesji od 2008 r., to dramatyczny cios.

8 maja młodzi ludzie wyszli na aperitivo przy kanałach w Mediolanie. Większość była bez maseczek.

Po trzymiesięcznej przerwie wiele firm może upaść. Dotyczy to głównie usług związanych z urodą i gastronomii. Przewiduje się, że kryzys dotknie 30% lokali w branży restauracyjnej oraz 60% salonów kosmetycznych i fryzjerskich. Włosi nie wiedzą, co będzie gorsze, i to już w krótkim czasie – widmo powrotu pandemii czy recesja i bezrobocie. Umrzeć na COVID-19 czy umrzeć z głodu? – oto jest pytanie…

Włoski centro-lewicowy rząd koalicyjny, w którego skład wchodzą: Ruch Pięciu Gwiazd, Partia Demokratyczna, Italia Viva (Żywe Włochy), Wolni i Równi, przyjął już niektóre rozwiązania mające na celu wsparcie tych, którzy pozostali bez pracy i przychodów z powodu koronawirusa – zapomogi, dofinansowanie, pożyczki gwarantowane przez państwo. W połowie marca premier Conte wydał dekret przeznaczający 25 mld euro na „amortyzatory społeczne" i wsparcie biznesu. Choć mamy już maj, nie do wszystkich pieniądze dotarły, głównie z powodu biurokracji. W kwietniu Conte chciał wydać nowy dekret – „kwietniowy". Miała to być nowa tarcza ochronna w wysokości 55 mld euro. Dekret najpierw zmienił nazwę na „majowy", a później na „odbudowy". Inwencja językowa jest miernikiem realnych trudności. Sumy, które włoski rząd musi przeznaczyć na ratowanie gospodarki i na amortyzowanie skutków społecznych, przerastają roczny budżet. Włochy jak wszystkie kraje czekają, aż Unia Europejska zrozumie, że ta pandemia to kryzys globalny, i odkręci kurek. Od kilku tygodni trwa włoski spór polityczny o fundusz Europejskiego Mechanizmu Stabilności, który ruszy jako kredyt na korzystnych warunkach przeznaczony na wydatki związane z kryzysem epidemiologicznym od 1 czerwca. Włochy nie chcą skończyć jak Grecja pod nadzorem trojki. Przeciwni skorzystaniu z EMS są Ruch Pięciu Gwiazd, Liga i Bracia Włoscy. Za jest Silvio Berlusconi, uważając, że w tej trudnej sytuacji jego kraj musi szukać pomocy Europy. Włoscy nacjonaliści z Matteo Salvinim na czele po krótkiej przerwie wrócili do atakowania rządu Contego. Salvini chce władzy za wszelką cenę. Marzy o gabinecie jedności narodowej, którym mógłby kierować Mario Draghi.

Przywódca Ligi próbował manipulować włoskim episkopatem, niezadowolonym z tego, że dekret rządowy nie przewidywał wznowienia nabożeństw, ale papież Franciszek powstrzymał wszystkich słowami: „Przeciwko pandemii ostrożność i respektowanie norm, aby zło nie powróciło". Rząd i episkopat osiągnęły porozumienie. Msze zostaną wznowione po 18 maja. Udział wiernych zależy od powierzchni kościoła. Rygorystycznie w maseczkach, z zachowaniem bezpiecznego dystansu. Komunia będzie rozdawana w rękawiczkach. Po kościołach być może otwarte zostaną teatry i kina. Kultura jak zawsze ostatnia. Tego się nie je.

Widmo drugiej fali pandemii

Liczba zgonów we Włoszech przekroczyła 30 tys. Całkowita liczba chorych zbliża się do 220 tys., z czego już prawie 100 tys. wyzdrowiało. To dane oficjalne. Włoscy wirusolodzy nie ukrywają, że trzeba je pomnożyć przez 10, a może nawet przez 20. „Na pięciu chorych w szpitalu i pięciu w izolacji domowej jest 20, którzy przechodzą COVID-19 lekko i 35 bezobjawowych", stwierdziła Ilaria Capua, ceniona włoska specjalistka pracująca na Uniwersytecie Florydy, która zajmowała się ptasią grypą i upubliczniła DNA tamtego wirusa. Szacuje się, że we Włoszech może być ok. 4 mln chorych na COVID-19. Aż 70% zakażonych koronawirusem znajduje się w trzech regionach: Lombardii, Piemoncie i Ligurii.

Aby świętować koniec kwarantanny, 8 maja młodzi ludzie wyszli na *aperitivo* przy kanałach w Mediolanie. Większość była bez maseczek. Prezydent Mediolanu Beppe Sala był wściekły i zagroził: „Albo zrozumiecie zagrożenie, albo zamknę Navigli. Później wy będziecie się tłumaczyć właścicielom lokali i barów, dlaczego stracili pracę". Taka sama sytuacja była w Mediolanie 8 marca, zanim rozpoczęło się piekło pandemii w szpitalach i wprowadzono czerwoną strefę w całym kraju. „Mediolan to tykająca bomba. Teraz wyszły na ulicę osoby jeszcze zainfekowane, które do tej pory siedziały w domu z powodu kwarantanny", powiedział prof. Massimo Galli, ordynator szpitala Sacco w Mediolanie i kierownik tamtejszego Instytutu Badań Biomedycznych. Trudno nie brać na poważnie jego słów. Rezultaty ewentualnych zakażeń pomiędzy 4 a 18 maja zobaczymy dopiero za dwa tygodnie.

Według sondażu przeprowadzonego przez Eurodap (stowarzyszenie badające ataki paniki) aż 81% Włochów boi się kontaktu z drugim człowiekiem, a 73% cierpi na stres po lockdownie. Wiele osób, jeśli nie musi, nadal nie opuszcza mieszkania, gdyż obawia się rodaków, którzy ignorują zasady nowej normalności i nie przejmują się tym, że mogą być bezobjawowymi nosicielami koronawirusa.

Agnieszka Zakrzewicz

W najnowszym numerze tygodnika „NIE" przeczytacie,
kto kogo i jak bzyknął w trójkącie
Poczta Polska – „NIE" – koronawirus.

eprasa.pl b7174acf7d

Oko w oko

Tomasz Jastrun

Świetna pamięć prezesa

Żona tłucze zabytkową karafkę z wiśniową nalewką, ta nalewka też miała wiele lat, bo u nas alkoholu prawie się nie pije. Pamiętam dłoń mamy – miała piękne dłonie – jak z tej karafki nalewa domowej roboty nalewkę z tarniny do kieliszka Zbyszka Herberta, a Kasia, żona poety, patrzy na to z wielkim niepokojem. Herbert był uzależniony od alkoholu. Te małe kieliszki stoją w szafce całe i zdrowe. Tak odchodzą w przeszłość przedmioty, zostają jeszcze przez chwilę wspomnienia. Nie mam do żony żalu, chociaż wiem, że ona by w podobnej sytuacji do mnie miała. Można się przywiązywać do przedmiotów, ale tylko wtedy, gdy łatwo przychodzi się z nimi żegnać. A jednak czuję w sobie puste, gorzkie miejsce po tej karafce.

•

Trwa zaraza, minister zdrowia plącze się w zeznaniach: „Jesteśmy absolutnie między wygaszaniem epidemii a wchodzeniem w trend wzrostowy". Absolutny jest też chaos wyborczy, a w nim mnożą się komplikacje, tajne plany, pogłoski, zrywanie umów, gwałcenie prawa i konstytucji, sytuacja zmienia się z godziny na godzinę, nie zmienia się tylko poczucie, że kończy się demokracja w Polsce. Kaczyński, monstrualny psuj, podzielił nas na dwa wrogie obozy, zafajdał Polskę nienawiścią, zniszczył sądownictwo i Trybunał Konstytucyjny, ośmieszył wybory, z prezydenta zrobił kukłę, teraz niszczy Sąd Najwyższy, media publiczne kłamią bardziej niż te w stanie wojennym. Co z tego rozumie przeciętny Polak? W szczegółach niewiele. Ja też nie mam głowy do zawiłości prawnych i się w tym gubię. Ale przecież nawet wybitny prawnik prof. Marek Safjan mówi: „Jako prawnik z niemałym doświadczeniem czuję się bezradny. Nie jestem w stanie podjąć się w tym momencie jakiejś racjonalnej interpretacji tej rzeczywistości, bo przekroczyliśmy granice, w których taka interpretacja byłaby jeszcze możliwa". PiS ma swoje media, swoją wielomilionową widownię, przyssaną do wymion mediów publicznych. Ci ludzie są jak niemowlaki złaknione tylko jednego pokarmu. PiS ma proste wyjaśnienie katastrofy wyborczej. To wina opozycji. Ludzie PiS są zaprogramowani, by w to wierzyć. Dlatego polski dramat nie może dobrze się skończyć. Możliwa jest porażka PiS, ale nie klęska. Nawet jeśli nie będą mieli rządu, będą psuć, niszczyć i zatruwać.

•

„Prezes ma świetną pamięć, choć nie zawsze karze od razu. I o tym wszyscy powinni pamiętać", ostrzega Ryszard Czarnecki, wazeliniarz, tłusty pomnik konformizmu. Bardzo znamienne i jakoś bezwstydne słowa. Prezes jawi mu się jako szef mafii. Trafne skojarzenie. Mój kolega z opozycji Jaś Lityński znał Kaczyńskiego i tak go charakteryzuje: „Kaczyński nie ma żadnego pomysłu, jak powinno funkcjonować społeczeństwo, on ma tylko pomysł, jak sterować społeczeństwem". Reszta to jedynie kamuflaż, w który nawet może on sam trochę wierzy. Ale nacjonalizm i katolicyzm Kaczyńskiego są zaledwie częścią gry politycznej, narzędziem, by dzierżyć władzę. I ten zupełny brak zainteresowania tym, co myślą inni. Ale to typowe dla każdego dyktatora. Tu o tyle nietypowa sytuacja, że on przecież inteligent z Żoliborza. I czytał podobne książki co my.

•

W tym zamęcie uspokajająca i ważna wiadomość. Jest inauguracyjna sesja trybunałów, które będą prowadziły procesy beatyfikacyjne i kanonizacyjne rodziców św. Jana Pawła II – Emilii Wojtyły z domu Kaczorowskiej oraz Karola Wojtyły seniora. Odbyła się ona przed południem w bazylice Ofiarowania NMP w Wadowicach. Już beatyfikacja Wojtyły zdała mi się czymś, co urąga zdrowemu rozsądkowi. Beatyfikacja jego rodziców jest komiczna. Nie ma tu jednak, jak widać, zdrowego rozsądku, jest rozsądek wiary. A chrześcijaństwo po niebywałych zbrodniach dokonywanych przez 2 tys. lat w imię Chrystusa bardzo nam jednak wyszlachetniało. I trzeba to docenić.

Minister zdrowia plącze się w zeznaniach: „Jesteśmy absolutnie między wygaszaniem epidemii a wchodzeniem w trend wzrostowy".

•

Od dawna z uporem maniaka piszę, że Kidawa-Błońska jest fatalnym kandydatem na prezydenta. Nie ma energii, źle mówi. Ostrzegałem przed nią już rok temu polityka PO Rafała Grupińskiego. Zdawał się rozumieć moją opinię, sugerował jednak, że nie ma wyjścia, bo kto? Widzę kilka osób, które są od niej lepsze. Przesunięcie daty wyborów pewnie stworzy możliwość wprowadzenia nowych kandydatów. Marzy mi się Tusk. A jeśli Tusk się nie zdecyduje, to choćby Kosiniak-Kamysz może być kandydatem całej opozycji, a może i Hołownia, czemu nie, przekonałem się do niego. Widać, że w innym terminie niż majowy te wybory są przez nas do wygrania. Jeśli tylko opozycja dogada się ze sobą, co możliwe, chociaż wątpliwe niestety.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b7174acf7d

Seks w maskach i szaliku

Teraz erotyka schodzi na dalszy plan, bo ludzie boją się dotknąć, a co dopiero doprowadzić do zbliżenia

Rozmawia Barbara Jagas

Czy ograniczenia koronawirusowe wpływają na miłość erotyczną?

– Trzeba by to zbadać, a jeszcze nie było okazji. Wszyscy jesteśmy oszołomieni i zagubieni. Aby dookreślić siebie nie tylko w sytuacji seksualnej, ale i partnerskiej, rodzinnej, życiowej, potrzebujemy wiedzy, informacji. A nie mamy jej, wszystko, co nam podaje władza, jest niespójne, jedno wyklucza drugie. Do niedawna oficjalnie mówiono, że istnieje prawdopodobieństwo, że wirus przenosi się przez śluz pochwowy. W związku z tym mamy większe ograniczenia w wykonywaniu badań USG, ale przede wszystkim ma to wpływ na życie erotyczne.

Nie ma więc pogody dla związków zawieranych spontanicznie. Jeśli pani poznaje pana na portalu randkowym i od razu poczują pożądanie, a tu się okazuje, że on może się od niej zarazić, to nie pójdą na całość.

– Raczej nie. Ten pan co prawda wcale nie musi się zarazić, ale może. Tego do końca nie wiemy. Z drugiej strony miłość erotyczna to przecież nie sam akt seksualny, ale również intymność i budowanie bliskości. A tutaj nie możemy nawet się przytulić czy pocałować, bo obowiązuje zachowanie dwumetrowego dystansu między ludźmi. Jak to więc zrobić? Poza tym mamy maski, które, jeśli ich nie zdejmiemy, staną się siedliskiem nie tylko koronawirusa.

Nie mówiąc o tym, że nie zobaczymy siebie nawzajem, spotykając się w maseczkach albo owinięci w szaliki.

– Najważniejsze są oczy, to już dużo. Jednak nie ujrzymy swoich ust, nosów czy miny, uśmiechu, a to bardzo ważne, zwłaszcza przy pierwszym spotkaniu.

Nie ma plusów dla miłości w czasach zarazy? Czy takie spotkania nie są bardziej intrygujące?

– Może być tak, jak pani mówi. Nie ma na ten temat badań, ale tajemnica zawsze sprzyja erotyce. A randki, które nie od razu kończą się seksem, mogą nas tak podkręcić, że później będzie dużo lepiej.

Ponoć na portalach randkowych teraz posucha, nie pojawiają się nowi. Pewnie obawiają się spotkań w realu.

DR N. MED. BEATA WRÓBEL
– ginekolog i seksuolog

– Na pewno jest z kolei ożywienie na portalach oferujących seks przez internet. Wiem to od pacjentów i znajomych. To spotkanie dwóch osób w sieci, podczas którego jedna strona zachowuje się seksualnie, np. masturbuje się, a druga patrzy lub obie to robią i w ten sposób wywołują u siebie pożądanie i podniecenie. Natomiast z moich teleporad i spotkań z pacjentami wynika, że teraz seks schodzi na dalszy plan, ponieważ ludzie w ogóle boją się dotknąć, a co dopiero doprowadzić do zbliżenia. Gdzieś w tyle głowy jest mocno osadzone zagrożenie. A jakie będzie pod tym względem społeczeństwo, jak zmienią się jego normy, jak z tego wyjdziemy? Jeszcze długo przyjdzie nam żyć z tym wirusem. I nadal nie dysponujemy konkretnymi informacjami na jego temat.

A stałe związki? Rozkwitną czy się rozpadną? Ludzie nie wytrzymają bliskości?

– Niektóre się rozpadną. Proszę pamiętać, że w tym pędzie, do którego byliśmy przyzwyczajeni, zapomnieliśmy o sobie i w ogóle o higienie psychicznej. Mówimy, że ktoś ma depresję, ale zanim zachorował, był np. zmęczony. A przecież trzeba mieć czas na odpoczynek, wypicie drinka czy przytulenie się do kogoś bliskiego. Natomiast jeśli ten etap związku się przespało i ludzie już przestali ze sobą rozmawiać i być, tylko wypełniają obowiązki i zadania domowe, typu kup, zrób, ugotuj, załatw, to są sobie obcy. Teraz na małej powierzchni spotyka się dwoje ludzi – lub grupa, bo są i dzieci – którzy słabo się znają. Nie umieją rozmawiać, zapomnieli, jak to jest być razem, i dochodzi do nieporozumień, a każdy jest przekonany, że ma rację. Nie ma więc punktu odbicia do nowego porozumienia, tym bardziej do miłości erotycznej. Natomiast może się udać tym, którzy jeszcze nie przekroczyli tej granicy.

Mówimy o parze na uczuciowym dorobku.

– Tak. Oni się ucieszą tym wolnym czasem dla siebie, bo nareszcie mogą się do siebie poprzytulać, nawet gdy oboje pracują w domu. I teraz dopiero mogą zrozumieć, co im np. mówiono u seksuologa na terapii, gdy w ich związku coś nie

Beata Wróbel – od ponad 20 lat zajmuje się pracą naukową i terapią w zakresie seksuologii ginekologicznej, współpracuje ze Śląskim Uniwersytetem Medycznym. Współautorka pierwszych w Polsce badań nad zdrowiem seksualnym kobiety, opublikowanych m.in. w „Journal of Sexual Medicine" w 2013 r. W 2012 r. dostała nagrodę Towarzystw Naukowych Ginekologicznego, Urologicznego i Seksuologicznego „Kobieta i Mężczyzna" za szczególny wkład w interdyscyplinarny rozwój tych nauk. Autorka „Seksu pisanego miłością" i współautorka nowego rozdziału we wznowionej w 2016 r. książce Michaliny Wisłockiej „Sztuka kochania".

eprasa.pl b7174acf7d

grało, bo to zawsze trzeba przepracować, a nie tylko usłyszeć.

Natomiast to naprawdę ciekawe, co będzie się działo dalej, jak ludzie zaczną się zachowywać, co się zmieni w sferze seksu. Kryzys jest jak szkło powiększające.

A co pani myśli o seksie w maskach? Czy to nie może być interesujące?

– Może coś takiego się urodzić, przyszłość zapewne pokaże, że ta maska czy szalik staną się ciekawymi gadżetami seksualnymi. Ale to pojawi się u par już zżytych. Czasem człowiek chce się powygłupiać. I z tej zabawy może się wykluć coś fajnego.

To może urozmaicić codzienną seksualną sztampę?

– Całkowicie się zgadzam. Potencjał na te zmiany jest w nas i tylko trzeba go wygrzebać. Bo jeśli ludzie myślą, że skoro są otwarte hotele, będą mogli w nich odpoczywać, korzystając ze spa, jacuzzi i basenów, to się mylą, tak szybko wszystko nie wróci do normy. Pojawia się więc przestrzeń, którą każdy musi zagospodarować indywidualnie – swoją wyobraźnią. To jest czas, aby ludzie się dowiedzieli, jakie mają fantazje, marzenia, potrzeby w zakresie seksu. Zawsze proszę pacjentów, aby to robili. Trzeba wiedzieć, czego tak naprawdę się chce. Koronawirus paradoksalnie może nam w tym pomóc. A zobaczenie siebie poprzez własne fantazje erotyczne to także poznanie siebie.

Dochodzimy więc do tego, że wirus może służyć naszemu rozwojowi, nie tylko seksualnemu.

– Oczywiście. I to jest fantastyczne, jeśli zobaczymy taką szansę.

Przez pandemię i jej skutki – utratę pracy, upadek firm, brak pieniędzy na życie – mamy dodatkowy stres. Dotyczy on wszystkich, także lekarzy.

– Od połowy marca mam zamknięty gabinet, prowadzę jedynie teleporady. Tak, wszelka aktywność została ograniczona. I jak najbardziej ma to przełożenie na stres. Akurat ukazała się książka „Sztuka kobiecości", w której są rozmowy ze mną, i zaczęła się jej promocja. Ale nagle w związku z epidemią wszystko diabli wzięli. Nie ma promocji i nie ma pacjentów. Ale książka jakoś się sprzedaje, mimo braku rozgłosu.

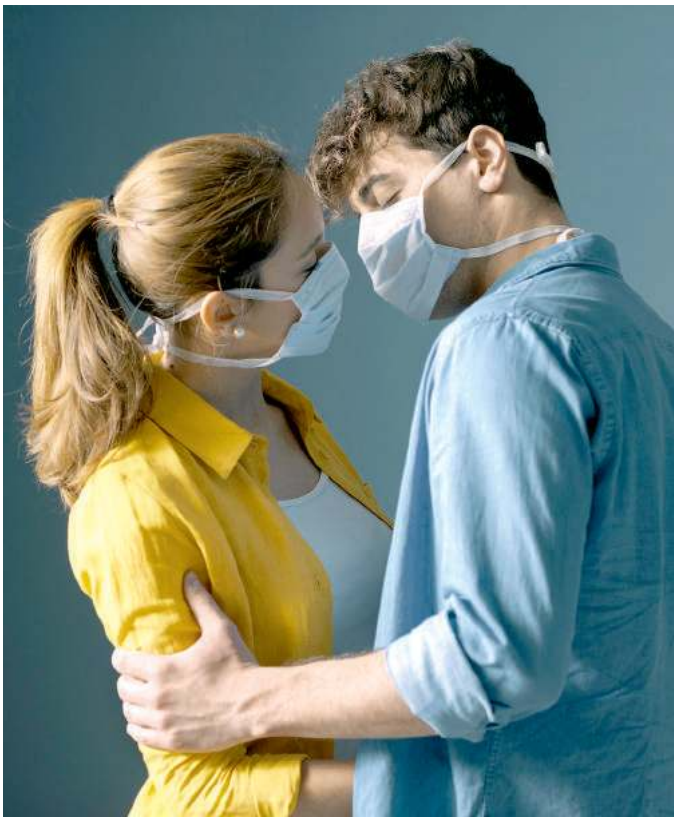

Randki, które nie kończą się seksem, mogą nas tak podkręcić, że później będzie dużo lepiej.

Co może się dziać w sferze erotycznej pod wpływem stresu?

– U mężczyzn może dojść do zaburzeń wytrysku i zaburzeń erekcji. A wtedy radzę, aby postarać się tym nie przejmować. Trzeba pamiętać, że jest trudna sytuacja zewnętrzna i organizm na skutek lęku może tak zareagować. Jeśli więc mężczyzna się wystraszy, a włączy się do tego lęk, że następnym razem będzie tak samo, to po nieudanych próbach seksualnych zaburzenie może się utrwalić. W następstwie taki pan ma niską samoocenę, relacja partnerska się pogarsza. Możemy zatem spokojnie powiedzieć, że miłość w czasach zarazy daje prawo do niepowodzeń. Należy je traktować z przymrużeniem oka i wiedzieć, że jeśli raz czy dwa nam nie wyjdzie, to nie jest problem. Dać sobie rozgrzeszenie i próbować dalej.

Mówi pani mężczyznom, aby się nie przejmowali. A co z kobietami?

– To samo. Kobieta też ma swoje lęki, np. związane z antykoncepcją – czy będzie skuteczna. Boi się, że pęknie prezerwatywa, a nie ma łatwego dostępu do lekarza, do tabletki po, bo nie ma na nią recepty. Albo boimy się, że nie będzie tabletek w aptece. Pewnie, że nie musi tak być, ale kobiety tego się obawiają w naszych czasach i nie należy się im dziwić. A w związku z tym panie też podchodzą do seksu w sposób wycofany, lękowy. Jeśli jedno i drugie tak się zachowuje, to mamy z tego...

...jedno wielkie nieszczęście!

– Właśnie tak. Powstaje trudna sytuacja. A przecież seks jest więziotwórczy, on jest niezbędny. Musimy mieć świadomość, że życie pisze swoje scenariusze i stawia nas w różnych sytuacjach, także takich, że musimy poznać ograniczenia swojego ciała i swoich zachowań. Dobrze się o tym dowiedzieć, dobrze się tego nauczyć. Wirus daje na to szansę. Jeśli więc czujemy ten lęk i wiemy, że nie mamy ekspresyjnej seksualności, to nie krzyczmy na siebie, nie gańmy się. Zamiast tego – wyluzujmy, uśmiechnijmy się. I cieszmy się po prostu zabawą ciałem, dotykiem, figlami. Maską i szalikiem! Zróbmy z tego zabawę. Nie twórzmy napięcia, że musi być tak i tak, że najważniejszy jest orgazm. Ja to ciągle tłumaczę – udany seks nie polega na polowaniu na orgazm. Udany seks to przede wszystkim intymność, a więc zależy od tego, czy się troszczymy o siebie nawzajem i wspieramy, gdy coś nam nie idzie. Wtedy naprawdę osiągamy coś, czego się nie spodziewaliśmy... i bez szczytowania.

Chce pani powiedzieć, że zaraza może być okazją do pełniejszego życia erotycznego?

– Tak, do otwarcia się na siebie. ■

FOT. ADOBE STOCK, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl b7174acf7d

Odbudowa ponad podziałami

Polska w 1945 r. była w ruinie. Polacy to widzieli i dlatego nie popierali zbrojnego podziemia

Bohdan Piętka

Historia Polski po 1945 r. nie jest czarno-biała, jak tego chce polityka historyczna uprawiana po 1989 r. Na tę historię składa się wiele elementów. Nie tylko eksponowane obecnie walka podziemia antykomunistycznego z nowym ustrojem czy terror powojennej władzy wobec przeciwników politycznych. Częścią tego obrazu były także reformy społeczne przeprowadzone w latach 1944-1946 i odbudowa kraju.

Kult powojennego podziemia przybrał w polityce historycznej III RP formy niemal sakralne. Doprowadziło to do stworzenia mitologii historycznej, wedle której w latach 1944-1953 (w innej wersji 1944-1963) miało się toczyć na terenie Polski „powstanie antykomunistyczne". Uczestniczyło w nim podobno – jak twierdzą np. autorzy „Atlasu polskiego podziemia antykomunistycznego 1944-1956" – od 120 do 180 tys. osób.

Kult powojennego podziemia przybrał w polityce historycznej III RP formy niemal sakralne.

Nawet jeżeli zgodzimy się z tą wątpliwą tezą, to przy 24 mln mieszkańców Polski w 1946 r. oznacza to, że w podziemiu działało od 0,5% do 0,75% ogółu obywateli. Czynna walka z nową rzeczywistością ustrojową była zatem marginalną postawą polityczną. Wynikało to m.in. stąd, że Polska – mimo zmiany ustrojowej i geopolitycznej – zachowała po 1945 r. własną państwowość z niemal niezmienioną symboliką narodową. Dzisiejsza polityka historyczna nazywa tę państwowość „okupacją sowiecką", ale znaczna część ówczesnych Polaków tak nie myślała. Wielu poparło przeprowadzone po wojnie reformy społeczne, a zwłaszcza reformę rolną, której nie potrafiła i nie chciała wdrożyć II RP. Ogromna większość była zmęczona wojną i nie chciała dalej żyć w ciągłym zagrożeniu śmiercią. Pragnęła po prostu normalnie uczyć się i pracować, a przede wszystkim odbudować zrujnowany kraj. Tym właśnie, a nie gloryfikowaną dzisiaj walką partyzancką, zajęła się większość Polaków po 1945 r.

Polityczny realizm

Polska w 1945 r. była w ruinie, ale nie każdy dziś uświadamia sobie, jak to realnie wyglądało. Podczas II wojny światowej nasz kraj poniósł procentowo najwyższe straty ludzkie i materialne. W ponad 90% zostały one spowodowane przez działania i politykę okupacyjną Niemiec hitlerowskich. Materialne straty wojenne poniosło ponad 13 mln obywateli polskich, w wyniku czego – jak obliczono w 2017 r. – poszkodowanym oraz ich spadkobiercom należałoby się 285 mld dol. odszkodowań. Kwota ta obejmuje zniszczenia i grabieże, nie uwzględnia natomiast strat wynikających z eksploatacji gospodarczej kraju przez okupanta, które są nie do oszacowania. Wojenne straty materialne Warszawy obliczono w 2004 r. na 54 mld dol., straty Łodzi na 40 mld zł, a Poznania na 11 mld zł (wyliczenia z 2006 r.).

W 1947 r. Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów oszacowało straty majątku narodowego w czasie wojny na 38% stanu sprzed 1939 r. Objęły one 50% infrastruktury kolejowej i drogowej, 43% dóbr kulturalnych, 55% infrastruktury zdrowotnej, 64,5% przemysłu chemicznego, 64,3% poligraficznego, 59,7% elektrotechnicznego, 55,4% odzieżowego, 53,1% spożywczego, 48% metalowego. Niemcy zniszczyli 14 tys. fabryk, 354 tys. gospodarstw wiejskich, 200 tys. sklepów, 84 tys. warsztatów rzemieślniczych, 968 tys. gospodarstw domowych, 17 szkół wyższych, 271 szkół średnich, niemal 5 tys. szkół powszechnych i 768 innych szkół. Straty w leśnictwie wyniosły ok. 400 tys. ha lasów. Biuro Odszkodowań Wojennych określiło wartość tych strat na 258 mld zł przedwojennych (50 mld dol. z 1939 r.), co stanowiło 13-krotność dochodu narodowego Polski z 1938 r. W przeliczeniu na wartość z 2004 r. to 650-700 mld dol.

Tę ruinę widzieli na własne oczy Polacy. Dlatego, choć byli bardzo odlegli politycznie od ówczesnej władzy, ogromna większość przystąpiła do odbudowy kraju. Powojenna odbudowa stała się sprawą ogólnonarodową i ponadpartyjną.

Niektóre środowiska odległe od lewicy, ale stojące na gruncie realizmu politycznego, uznały, że należy włączyć się w nurt życia legalnego. Po to, by zachować polski charakter tworzącego się państwa i odbudować w nim życie gospodarcze, kulturalne i naukowe. Środowiska te dostrzegały i rozumiały przede wszystkim niepowtarzalną szansę, jaką był powrót Polski na ziemie piastowskie nad Odrą, Nysą Łużycką i Bałtykiem. Takim środowiskiem była m.in. poznańska organizacja narodowo-katolicka Ojczyzna – jedna z bardziej zasłużonych organizacji podziemnych działających w Wielkopolsce podczas okupacji niemieckiej. W lipcu 1945 r. jej kierownictwo podjęło decyzję o wyjściu z podziemia i włączeniu się do pracy przy odbudowie kraju i zagospodarowaniu Ziem Odzyskanych. Działacze Ojczyzny objęli stanowiska – w tym kierownicze – w Ministerstwie Ziem Odzyskanych, Ministerstwie Spraw Zagranicznych, mediach, Polskim Związku Zachodnim oraz szkolnictwie wyższym i średnim na Ziemiach Zachodnich.

Wicepremier i rektor

Identyczne stanowisko zajął jeden z czołowych przedwojennych polity-

eprasa.pl b7174acf7d

Porządkowanie placu Małachowskiego w Warszawie, 1946 r.

ków endeckich – Stanisław Grabski. Motywem jego powrotu z Londynu do kraju w 1945 r. i objęcia stanowiska wiceprzewodniczącego Krajowej Rady Narodowej były właśnie zrozumienie doniosłości przejęcia przez Polskę ziem nad Odrą i Bałtykiem oraz chęć wsparcia tego procesu.

Podobny realizm polityczny prezentował przedwojenny wicepremier i bliski współpracownik Józefa Piłsudskiego – Eugeniusz Kwiatkowski, który w latach 1945-1948 podjął współpracę z Tymczasowym Rządem Jedności Narodowej w odbudowie gospodarki morskiej jako szef Delegatury Rządu ds. Wybrzeża. Taką samą drogą poszedł prof. Stanisław Kulczyński – przedwojenny rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, a podczas wojny delegat rządu RP na obszar lwowski. Po 1945 r. stał się jedną z osób najbardziej zasłużonych w budowaniu od podstaw polskiej nauki na Ziemiach Odzyskanych jako rektor Uniwersytetu i Politechniki we Wrocławiu (1945-1951). Kulczyński ściągnął do Wrocławia najlepszych uczonych lwowskich, którzy przeżyli wojnę, i utworzył tam wiodący ośrodek akademicki w kraju. Natomiast w latach 1957-1971 kierował Towarzystwem Rozwoju Ziem Zachodnich, bardzo zasłużonym dla rozwoju cywilizacyjnego tych terenów, a dzisiaj zapomnianym.

Emerytowany profesor Uniwersytetu Wrocławskiego Roman Duda – wobec ataków IPN na postać prof. Kulczyńskiego – tak ocenił w 2017 r. jego postawę: „Po wojnie mógł wyjechać do Włoch, gdzie oferowano mu posadę, ale wybrał służbę dla kraju. Został kierownikiem Grupy Naukowo-Kulturalnej, która już 9 maja 1945 r. przyjechała do zrujnowanego i płonącego jeszcze Wrocławia, i tam ratował dobytek akademicki przed plądrującymi miasto krasnoarmiejcami i polskimi szabrownikami, a jednocześnie organizował polską uczelnię”.

Urodzona we Lwowie Irena Szydłowska – podczas wojny więźniarka KL Ravensbrück, do którego trafiła w 1941 r. za działalność konspiracyjną w ZWZ – po wyzwoleniu podjęła pracę w wydziale osadniczym Urzędu Wojewódzkiego w Szczecinie. We wspomnieniach z tego okresu „Czułam się urzędniczką Ziem Odzyskanych” pisała: „W obozie w Neubrandenburgu często rozmawiałyśmy o tym, że potrzeba będzie dużo ludzi do pracy na terenach, które zostaną przyłączone do Polski, i że to właśnie my, więźniowie obozów koncentracyjnych, którzy na własnej skórze poznaliśmy Niemców, powinniśmy tam się osiedlać”.

Pionierzy na Ziemiach Odzyskanych pochodzili z różnych stron kraju i reprezentowali cały ówczesny przekrój klasowy i polityczny społeczeństwa. Byli to ludzie z Kresów Wschodnich, ze zrujnowanej Warszawy, z przedwojennej Polski centralnej, zachodniej i południowej oraz reemigranci z Europy Zachodniej. Znajdowali się wśród nich niedawni więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych i ci, którzy przeszli przez łagry i zesłanie w Związku Radzieckim, żołnierze Wojska Polskiego na Wschodzie i żołnierze, którzy walczyli na Zachodzie, prości chłopi i inteligenci, komuniści i ludzie o poglądach od komunizmu odległych albo mu przeciwnych, ale stojący na

W 1947 r. Biuro Odszkodowań Wojennych przy Prezydium Rady Ministrów oszacowało straty majątku narodowego w czasie wojny na 38% stanu sprzed 1939 r.

FOT. PAP/STANISŁAW DĄBROWIECKI

eprasa.pl b7174acf7d

gruncie realizmu politycznego i polskiej racji stanu. Zagospodarowanie Ziem Odzyskanych było czynem ogólnonarodowym.

Warszawa musi pozostać stolicą

Szybkie zagospodarowanie Ziem Odzyskanych nie byłoby możliwe bez działającego w latach 1945-1949 i kierowanego przez Władysława Gomułkę Ministerstwa Ziem Odzyskanych, w którego kierownictwie spotkali się ludzie Polskiej Partii Robotniczej i Polskiej Partii Socjalistycznej oraz narodowo-katolickiej Ojczyzny. Dzięki wysiłkowi MZO na Ziemiach Zachodnich i Północnych osiedlono w latach 1945-1948 ok. 4,8 mln Polaków, w tym 1,5 mln z dawnych Kresów Wschodnich oraz ok. 100 tys. reemigrantów z Europy Zachodniej i Południowej. Pod koniec 1948 r. ziemie te zamieszkiwało już ponad 5,5 mln Polaków.

Kolejnym kluczowym zadaniem była odbudowa zniszczonych miast. Już 22 stycznia 1945 r. gen. Marian Spychalski – powołany przez Rząd Tymczasowy na prezydenta Warszawy – utworzył Biuro Organizacji Odbudowy m.st. Warszawy pod kierunkiem wybitnego architekta Jana Zachwatowicza. Na mocy dekretu Krajowej Rady Narodowej z 14 lutego 1945 r. zostało ono przekształcone w Biuro Odbudowy Stolicy. W sprawozdaniu złożonym KRN 31 grudnia 1944 r. Spychalski sprzeciwił się planom przeniesienia stolicy do Łodzi, Krakowa lub Lublina i nieodbudowywania Warszawy. W BOS pracowali architekci związani zarówno z powojennym obozem władzy (np. Roman Piotrowski i Józef Sigalin), jak i z obozem londyńskim podczas wojny (Piotr Biegański, Witold Plapis, Jan Zachwatowicz i in.). Odbudowa stolicy, tak samo jak zagospodarowanie Ziem Odzyskanych, wywołała ogromny entuzjazm społeczny. Pracowali przy niej ocaleni warszawiacy, ale także junacy z Powszechnej Organizacji Służba Polsce – dzisiaj przedstawiani w negatywnym świetle, a w najlepszym wypadku zapomniani.

Główną rolę w przywracaniu normalności odegrała realizacja założeń Planu Odbudowy Gospodarczej, zwanego planem trzyletnim (1947-1949). Został on opracowany przez Centralny Urząd Planowania, którego prezesem w latach 1945-1948 był Czesław Bobrowski – piłsudczyk, przed wojną urzędnik Ministerstwa Przemysłu i Handlu oraz Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych. W czasie wojny Bobrowski należał do zespołu studyjnego rządu RP na uchodźstwie, który przygotowywał plan powojennej odbudowy. Te prace stały się podstawą planu odbudowy stworzonego i wdrażanego pod jego kierunkiem w Polsce pojałtańskiej, do której Bobrowski wrócił z Londynu i w której związał się politycznie z PPS.

Plan trzyletni dawał pierwszeństwo odbudowie przemysłu pracującego na potrzeby ludności. Jednak w ostatnim roku jego realizacji priorytetem stała się odbudowa przemysłu wytwarzającego środki produkcji. Zadania planu trzyletniego w dziedzinie wzrostu produkcji przemysłowej zostały wykonane w ciągu dwóch lat i 10 miesięcy. W 1949 r. przekroczono przedwojenną produkcję przemysłową.

Zapoczątkowano też proces przekształcania Polski z kraju rolniczego w przemysłowo-rolniczy. Wzrost produkcji przemysłowej doprowadził do szybkiego zwiększenia zatrudnienia i likwidacji bezrobocia, którego potem nie znano w Polsce do 1990 r. Rozwój przemysłu zapoczątkował wielką migrację ze wsi do miast, oznaczającą dla ludności wiejskiej skok cywilizacyjny. Następnym etapem stała się zakrojona na szeroką skalę industrializacja wdrożona podczas wyszydzanego dziś planu sześcioletniego (1950-1955). Towarzyszyło temu upowszechnienie oświaty i nauki. To była prawdziwa rewolucja społeczna.

Rozwój przemysłu zapoczątkował wielką migrację ze wsi do miast, oznaczającą dla ludności wiejskiej skok cywilizacyjny.

Powojenna Polska nie mogła z przyczyn geopolitycznych skorzystać z planu Marshalla. Musiała dokonać odbudowy własnymi siłami. Nie byłoby to możliwe bez ofiarności i poświęcenia całego narodu – zarówno tych jego obywateli, którzy poparli nową władzę, jak i politycznie od niej odległych. Niejednokrotnie nie pytano o zapłatę. Brygada Stanisława Sołdka pracowała przy budowie pierwszego powojennego statku pełnomorskiego dosłownie za miskę zupy. Szkoda, że dzisiaj takich ludzi się „dekomunizuje".

W odbudowę kraju i zagospodarowanie Ziem Odzyskanych, a następnie w różne formy życia gospodarczego, kulturalnego, naukowego, a nawet politycznego, włączyło się wielu patriotów, rozumiejących, że nie było wtedy innej możliwości kontynuacji polskiej państwowości. Temu pokoleniu, jego patriotyzmowi i realizmowi politycznemu, należy się wielki szacunek, a nie szufladkowanie według kryteriów abstrakcyjnej polityki historycznej.

Bohdan Piętka

eprasa.pl b7174acf7d

Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Pandemiczne próchno

Epidemia 16-wersowego rapu udzieliła mi się jako natręctwo. Zacząłem nadużywać rymów wewnętrznych nawet w monologu wewnętrznym, wręcz złorzeczyć w myślach do rymu, a to już był sygnał alarmowy – czas stawić czoła pandemii z nieco większym rozmachem niż dotąd. Od zasiedzenia rozum się plącze. Rozmarzony powszechnym rozmrażaniem rozmnożyłem preteksty podróżne i po różne z nich sięgając, poróżniłem się z żoną – wyjechałem samotnie na Śląsk. Z tęsknoty za: góro-dołami (Mazowsze i owszem, ale to płaski dowcip), przyjaciółmi, a także matką rodzoną. Od kwartału jej nie widziałem; siedzi u siostry na Podbeskidziu.

Nie żebym był synkiem wyrodnym i na tak długą samotność staruszkę skazywał – sama nie chciała, albowiem wedle famy szeptanej, a potem wykrzykiwanej, najwięcej wirusa na Mazowszu, zwłaszcza w Warszawie; mać nawet przez telefon ze mną rozmawiała w maseczce, dezynfekując każdorazowo słuchawkę. Dopiero teraz, kiedy trend się odwrócił na rzecz Górnego Śląska, pozwoliła mi przyjechać, bojąc się, że za chwilę już naprawdę nas rozłączą bezpowrotnie, Śląsk odcinając od Polski, obmurowując jego granice i przyozdabiając drutem kolczastym. Ale przytulić już się nie dała, nawet w kitlu, maseczce i rękawiczkach, woli dmuchać na zimne, bo choć stara się nie czuje, 84. wiosna czyni ją w pierwszej linii celem ataków wirusowych. Powiedzieć, że mama trzyma się świetnie, to mało. Wszystkie jej dzieci są od niej starsze, także ciżba wnucząt zestarzała się szybciej, na razie tylko małoletnie prawnuki wyglądają wyraźnie młodziej.

Mama jest przykładem hipochondryczki-katastrofistki, która teraz triumfuje. Wreszcie wyszło na jej, wszystko to, co braliśmy za przesadę, chorobliwą ostrożność itp., teraz stało się ogólnoświatową normą. My się dusimy w maseczkach, wariujemy od izolacji, trzęsiemy portkami po każdym kichnięciu, a matka ze stoickim spokojem przyjmuje realną pandemię, przechodzi ją z gracją baletnicy, bo w urojonej epidemii trwała przez całe życie. Mama lubiła się fotografować na tle ruin, żeby wyglądać młodo; teraz już wystarczą jej wspólne zdjęcia z dziećmi – wszyscy jesteśmy zmarnowani, wyglądamy przy niej na starsze rodzeństwo.

Wezwany balwierz, wychynąwszy z podziemia, podkosił mi brodę i nagle zobaczyłem, ile siwizny w niej się kryje, także włosy mi przyciął, a z ich końcówkami opadła ze mnie nadzieja, że jakoś się trzymam; zobaczyłem w lustrze alkoopuchliznę oraz depresyjne spojrzenie na drugi brzeg Styksu. Mimo łazęgi po lasach, oglądania na laptopie starych filmów i pisania wesołej telenoweli nie mogę powiedzieć, że nic się nie dzieje – podskórnie czuję, że to dopiero początek końca, wszyscy robimy teraz dobre miny do złej gry, udając, że krzywa opada, a ona jeszcze tak się wyprostuje, że raczej szczęki nam opadną. Albo mnie z tej pandemii wyniosą nogami do przodu, albo wyjdę z niej sam, ale całkiem siwy.

Poszliśmy w końcu z rówieśnym przyjacielem na zbocza lesiste – na szlakach zahaczając o nieprzebrane tłumy młodzieży wędrownej. Powyżej granicy lasu maseczki opadają; im wyżej, tym ich mniej, w kolejce po piwo w schronisku już nikogo w masce. Znajoma właśnie udostępniła na FB postanowienie sądu rejonowego dotyczące jej nastoletniego syna, wobec którego zaistniało podejrzenie, że „przejawia objawy demoralizacji", bo wyszedł w kwietniu na spacer bez maseczki i opieki dorosłego. Zakaz obowiązywał raptem parę tygodni, ale to wystarczyło, żeby teraz ostentacyjne odmaseczkowanie smakowało młodziakom jak papierosy na długiej przerwie – brak maseczki jest „symbolem indywidualności i wiary w wolność jednostki". Wyszli w góry, by wznieść się ponad wirusa.

Tak, ten wirus nas wykończy, nawet obchodząc z daleka; lockdown wspomaga dziaderską autodestrukcję.

Kondycję zdiagnozowałem u siebie katastrofalną; szliśmy stromym liściotokiem zboczami Przykrej i do szlaku doczłapawszy, zaiste musiałem przykro wyglądać: czerwony, spocony i z trudem łapiący oddech. Cud, że i do mnie nie wezwano służb, co to zgarnęły zakażonego górnika ze Skrzycznego. Zdradzał objawy COVID-19 – ale kto ich nie miał, wypełznąwszy po wielotygodniowej chmieloterapii z domu. Fakt, że w tym oceanie arytmii oddechowej, nadciśnienia wysiłkowego i ogólnego rozgorączkowania nagłą różnicą wysokości utrafiono akurat w górnika, wystarczył, żeby wywołać panikę.

Szliśmy przez spróchniałe wiatrołomy i osuwiska, zapadając się po pas w liście, aż korniki nas oblazły; wszak próchno jest próchnem. Pomyliły się, biedaczyska, a mnie się zrobiło jeszcze starzej. Mój druh niewzruszony, strzepując drukarze z rękawów, próbował nawiązywać kontakt wzrokowy z wysokopiennymi dziewczętami, wyznając zasadę, że prawdziwa starość następuje wtedy, kiedy stajesz się dla nich przezroczysty. Potykając się o korzenie, stracił jedyną tego dnia okazję na flirtowne porozumienie, a ja zaproponowałem, żebyśmy się zapadli pod ziemię w nowo odkrytej jaskini pobliskiej. Na miejscu okazało się, że nie potrafię się zmieścić w jej otworze, otłuszczenie wątroby i otyłość brzuszna skończyły niejedną karierę speleologiczną. Tak, ten wirus nas wykończy, nawet obchodząc z daleka; *lockdown* wspomaga dziaderską autodestrukcję.

Poprzednie felietony na www.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl b7174acf7d

Oświęcim – miasto paradoksów

Dobrzy ludzie mieszkają w złym miejscu

Rozmawia Mateusz Demski

Dobrze pamiętam dzień, kiedy pięć lat temu przyjechałeś w maju do Oświęcimia. Byłeś w moim rodzinnym mieście na spotkaniu dotyczącym reportażu o Białymstoku. Czy właśnie wtedy zrozumiałeś, że znalazłeś temat na następną książkę?

– Tak, a zaczęło się już na dworcu w Oświęcimiu. Wysiadłem z pociągu i poczułem, że coś mi nie gra, że znalazłem się w miejscu, o którym nic nie wiem, moja wiedza ogranicza się zaledwie do skojarzeń historycznych i symbolicznych. Chodziłem uliczkami, wszedłem między osiedla i zamiast obozu zobaczyłem zielone, piękne miasto z zameczkiem na wzgórzu. Jednocześnie ze wszystkich stron atakowała mnie ironia, kryła się w znakach „Zakaz palenia" na przystankach autobusowych, na tabliczkach „Uwaga zły pies" z mosiężnym owczarkiem niemieckim, na wielkim banerze „Najtańszy gaz w mieście". Te obrazy nie dawały mi spokoju, wstydziłem się tej ironii, więc przez kolejne tygodnie prowadziłem swoiste eksperymenty na znajomych. Pytałem: „Co wiecie o Oświęcimiu?". Jedni myśleli, że leży w Karkonoszach, drudzy byli przekonani, że nikt tam nie mieszka. Że jest tylko obóz i raz do roku przyjeżdżają Żydzi na Marsz Żywych.

Według stereotypowych wyobrażeń my z Oświęcimia wciąż mieszkamy w barakach.

– Bo w Polsce nie mamy pojęcia, że istnieje tam normalne miasto z ok. 40 tys. mieszkańców. Zresztą ludzie z mojego kręgu kulturowego otwarcie mówią, że nikogo z Oświęcimia nie znają. Zacząłem podejrzewać, że może oświęcimianie niechętnie się przyznają do pochodzenia, by na wakacjach np. w Kołobrzegu nie narażać się na głupie dowcipy. Na pewno słyszałeś pytania typu: „Z której jesteś pryczy?" albo „W którym baraku mieszkasz?".

„Czy rodzice gazowali?".

– Albo „Czy twój tata stał na wieżyczce?". W każdym razie ta kompletnie wyświechtana i wytarta świadomość społeczna – dotycząca w równym stopniu mojej osoby – była wystarczającym paliwem, by jeszcze raz tam pojechać i to miejsce poznać. Nawet sobie nie wyobrażasz, jak kolosalny wstyd towarzyszył mi, kiedy odkrywałem kolejne karty Oświęcimia.

MARCIN KĄCKI
– reporter, autor książki „Oświęcim. Czarna zima"

Co najbardziej cię zaskoczyło?

– Wszystko było nowe i dziwne, począwszy od informacji, co działo się tam przed wojną. Że w XII w. Oświęcim był grodem, wkrótce księstwem. Że ma ponad 800 lat, nieprawdopodobną wręcz historię związaną z wcieleniem do zaboru austriackiego. Że przed wojną ponad połowę mieszkańców stanowili Żydzi. Ale najbardziej uderzająca pozostawała dla mnie współczesność. Przełomowym momentem była pierwsza od 25 lat wizyta w muzeum Auschwitz. Nagle w oknie jednego z budynków zobaczyłem firankę i kwiaty. Okazało się, że w obozie mieszkają ludzie. Całymi rodzinami, wielopokoleniowo, z dziećmi, że z kuchni mają widok na szubienicę Hössa, z pokoju na ścianę straceń, z łazienki na krematorium. To było wrażenie absolutnie mistyczne, bo oparte na głębokim, prawie poetyckim kontraście między życiem i śmiercią. Zaraz popędziłem porozmawiać z nimi. To, co usłyszałem, przerosło mnie nieco, choć już wiele jako reporter słyszałem. Nie mogłem też pojąć, że nikt wcześniej nie pokusił się o próbę odpowiedzi na pytanie, jak w mieście z takim piętnem i obciążeniem żyje się tyle lat po wojnie.

Mówiąc wprost, interesowała cię oświęcimska współczesność.

– Tak, to było pytanie dla mnie kluczowe: jak tam po prostu się żyje? Ile w mieszkańcach Oświęcimia jest dziś świadomości, wyparcia albo też pogodzenia się z tym, że żyją na cmentarzysku. Oczywiście obóz jest zaledwie wycinkiem, skrawkiem niedaleko centrum miasta, ale wielu ludzi, których poznałem, mówiło mi, że jako dzieci zbierali tam szyszki, kasztany i ścigali się na rowerach. Opowieść kobiety, która urodziła się na terenie obozu Auschwitz i która razem z innymi dziećmi ukradła z wystawy garnki zagazowanych Żydów, żeby na wieżyczce strzelniczej

Marcin Kącki – (ur. 1976) redaktor „Dużego Formatu", zajmuje się reportażem społecznym i historycznym. Zdobywca m.in. tytułu Dziennikarza Roku w konkursie Grand Press 2007. Autor książek „Lepperiada", „Maestro. Historia milczenia", „Białystok. Biała siła, czarna pamięć", za którą był nominowany do Nagrody Literackiej Nike oraz do nagrody MediaTory, „Plaża za szafą", „Poznań. Miasto grzechu" oraz powieści „Fak maj lajf". Jest również autorem sztuki teatralnej „Wróg się rodzi", którą poświęcił m.in. Radiu Maryja.

eprasa.pl b7174acf7d

Widok z okna mieszkania na alejki Muzeum Auschwitz-Birkenau.

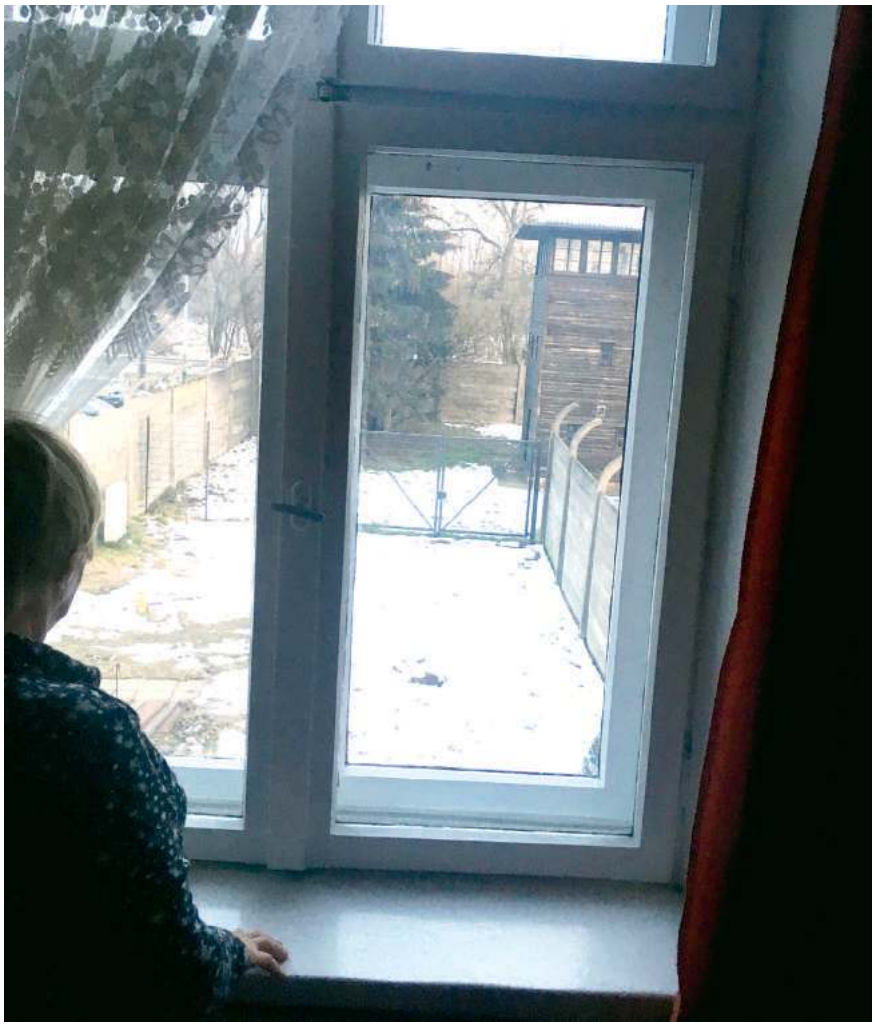

zbudować domek dla lalek – to jest już taka mistyka rzeczywistości, że ociera się o kulturowy kamp. Wtedy pojawia się pytanie, czy coś takiego nie zostawia w człowieku śladu.

Mówisz o ludziach, którzy żyją w samym obozie lub w bliskim sąsiedztwie, ale jego obecność przez lata dotykała na dobrą sprawę wszystkich, nawet mieszkających na drugim końcu miasta. W pobliżu nie można było postawić nic większego, bo naruszało to świętość obozu. Pamiętam, jakim wydarzeniem było otwarcie pierwszych supermarketów przy ulicy Królowej Jadwigi.

– Też nie zdawałem sobie z tego sprawy. Ciekawe, że pod koniec lat 40. i na początku 50. toczyły się zażarte spory, jak powinny wyglądać obóz i tzw. strefa pamięci. Największym problemem było znalezienie odpowiedzi na pytanie, jak ma wyglądać muzeum, które nie ma odpowiednika w historii i na świecie. By zbudować muzeum wędkarstwa, narzędzi tortur z drugiej połowy XV w. czy koronczarek z Koniakowa, wystarczy podejrzeć podobne obiekty. Ale jak zbudować muzeum ludobójstwa i paskudztwa ludzkiej duszy, którego nie da się z niczym porównać? Tych koncepcji było kilka. Ciekawe, że była nawet taka, by obóz zburzyć, teren wyrównać, a na środku postawić pomnik w hołdzie poległym. Ale wtedy zrodziła się obawa, że kolejne pokolenia nie będą potrafiły uwierzyć w to, co tam się wydarzyło. Tak właściwie do końca PRL debatowali nad tym historycy i publicyści. Jedni twierdzili, że Oświęcim powinien być swoistym ostrzeżeniem dla wszystkich, którzy łatwo zapominają, a drudzy – jak redaktor Jerzy Putrament – zastanawiali się, czy aby to miejsce nie stanie się parkiem rozrywki. Temu wszystkiemu towarzyszyło to, o czym mówisz – polityka pamięci doprowadzona w Oświęcimiu do rozmiarów, które powodowały trwające do dzisiaj konflikty z mieszkańcami. Im większe miało być muzeum, tym większa martwa strefa wokół niego. Życie zostało wyłączone w promieniu kilku kilometrów – ludzie nie mogli wieszać prania, oglądać telewizji satelitarnej, otwierać sklepów. Zresztą niewiele się zmieniło, są osiedla przy muzeum, które nadal funkcjonują między kultem śmierci a potrzebą codziennego życia.

W obozie mieszkają ludzie. Z kuchni mają widok na szubienicę Hössa, z pokoju na ścianę straceń, z łazienki na krematorium.

Ta polityka pamięci długo dotyczyła również tego, kogo i jak muzeum miało upamiętniać. Przez lata nie sposób było tam się dowiedzieć czegokolwiek o Żydach. Polskie męczeństwo wysuwało się na plan pierwszy, podczas gdy zagłada kilku milionów Żydów pozostawała przez dekady faktem uznanym, ale nieeksponowanym.

– I zauważ, że cenzura ta była o tyle ciekawa, że premierem polskiego rządu był wówczas Józef Cyrankiewicz, były więzień Auschwitz, który doświadczył prawdziwego obozowego życia. Nie wiem, jak pod długopisem przeszedł mu dokument o takim, a nie innym kształcie wystaw i przewodników. W każdym razie od poszczególnych zmian w sytuacji geopolitycznej w Europie zależało to, jak historię, ofiary i różne liczby przedstawiało się w muzeum. Na prawdę historyczną trzeba było czekać długo, do początków lat 90., kiedy pojawiły się w końcu poważne koncepcje upamiętnienia kaźni Żydów. A to wszystko miało przemożny wpływ na postawę mieszkańców i pewne zachowania antysemickie. Świadomość, że przed wojną ponad połowę ludności Oświęcimia stanowili Żydzi, prawie tam nie istnieje. Pamiętam rozmowę z jednym z kibiców klubu hokejowego Unia Oświęcim. Był zdruzgotany, gdy usłyszał, że kiedyś Żydzi zasiadali w radzie miejskiej, że mieli kamienice, fabryki i zajmowali centrum

eprasa.pl b7174acf7d

Droga do Brzezinki z reklamami lokalnych firm.

miasta. Myślał, że to stare, dobre, polskie miasto.

W książce podkreślasz, że ktoś o tę spychaną w pustkę nieuwagi pamięć jednak próbuje się troszczyć.

– Tak, ponieważ jest tam wiele mądrych osób, które mają energię do działania i próbują o tę pamięć historyczną w Oświęcimiu zawalczyć. Centrum Żydowskie i Café Bergson obok rynku organizują warsztaty dla młodzieży, które oprócz przekazania historycznej wiedzy mają uwrażliwiać na ksenofobię, przemoc i rasizm. Ale te inicjatywy nie każdemu są dziś na rękę. Wystarczy przywołać historię małżeństwa Świderskich – germanistów, którzy uczyli niemieckiego w liceum w Oświęcimiu. Kilka lat temu wpadli na pomysł, by założyć klasę językowo-historyczną, w której uczniowie uczyliby się o Oświęcimiu sprzed wojny, ze szczególnym uwzględnieniem współżycia społeczności żydowskiej i polskiej. Chodziło o uczenie postaw, które odrzucają totalitaryzmy, antysemityzm, o przełamanie niechęci, braku zaufania do mniejszości, o zwalczanie stereotypów. Skończyło się na tym, że spotkali się z ostracyzmem ze strony dyrekcji i innych nauczycieli. Nie było dla nich etatów na kolejny rok.

Znienawidzonym momentem jest Marsz Żywych. Mieszkańcy nie mają poczucia, że to ich wspólne święto. To święto przyjezdnych.

A gdy Mirosław Ganobis, miejscowy pasjonat historii, założył towarzystwo przyjaźni polsko-izraelskiej, głównymi jego wrogami byli niektórzy radni miejscy, obawiający się roszczeń żydowskich. I nie mówimy o Podlasiu, ale o Oświęcimiu.

Tych haniebnych, rasistowskich występków trochę się przewinęło przez książkę. Mnie zaskoczył fragment o pogromie Romów, którego dopuścili się sami mieszkańcy Oświęcimia. Z tego, co wiem, nie powstała żadna monografia na ten temat, a wydarzenie to stanowi białą plamę w naszej najnowszej historii.

– Ta historia najmocniej w Oświęcimiu mną poruszyła. Opowiedział mi o tym Roman Kwiatkowski, szef Stowarzyszenia Romów w Polsce. Wcześniej trochę czytałem o środowisku romskim w Oświęcimiu, ale nie znalazłem choćby wzmianki o tym wydarzeniu. Zacząłem wysyłać mejle do historyków – też nie słyszeli. Nie ma żadnego materialnego śladu po tym, że w 1981 r., czyli w trakcie eksplozji empatii i nadziei związanej z powstaniem Solidarności, kilka tygodni przed stanem wojennym doszło na ulicach Oświęcimia do pogromu Romów. Że w mieście, wydawałoby się ostatnim na ziemi, w którym mogłoby dojść do takiej eskalacji nienawiści, ludzie zawiązali „Komitet do spraw wypędzenia Cyganów", przez kilka dni biegali z pochodniami, by spalić romską ulicę, wrzucali samochody do rzeki, krzycząc: „Zabić cygańskich skurwysynów". Że niewinni ludzie, którzy żyli w tym mieście od końca lat 60., musieli nagle uciekać i ratować życie.

Skąd to się bierze? Jakim cudem nie wyciągnęliśmy wniosków z tragedii Holokaustu?

– Nie ma prostej odpowiedzi. Jeśli sięgniemy do sfery mitów, to legenda miejska głosi, że po kasacji na mocy dekretu cesarza austriackiego ostatniego oświęcimskiego klasztoru ostatni zakonnik wbił trzy czarne świece w ziemię i zakrzyknął: „Niech przeklęta będzie ta ziemia!". Jeśli prześledzimy historię Oświęcimia, zaczynając od XVIII w., zderzymy się z nieustannym pasmem nieszczęść. Przed I wojną światową miasto stanowiło centrum handlu i przemytu ludzi, później zostało wybrane na budowę obozu koncentracyjnego oraz siedzibę koncernu chemicznego IG Farben, który był w latach 30. największym w Trzeciej Rzeszy producentem kauczuku i przez lata truł ludzi rtęcią, a i dziś mieszkańcy uważają, że odpowiada za zanieczyszczenie środowiska i powietrza. Ta specyfika miejsca musiała mieć wpływ przynajmniej na część mieszkańców. Myślę, że pogrom romski jest jakimś metafizycznym pokłosiem całej złej energii, która na tym terenie się skumulowała. Może zabrzmi to naiwnie, ale mam wrażenie, że dobrzy ludzie mieszkają po prostu w bardzo złym miejscu. A jeśli dodamy czynniki socjologiczne, to mamy wiele warstw: zubożenie schyłku PRL, piętno obozu, które wyklucza miasto choćby z turystyki, strach inwestorów przed symbolem Auschwitz, złe skomunikowanie, brak odpowiedniego kapitału kulturowego.

Da się to jeszcze odczarować?

– Wiele kwestii, które demolują historyczną świadomość miasta

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl b7174acf7d

i stawiają mentalne mury, jest do naprawienia. Szczególnie jeśli chodzi o relacje polsko-żydowskie w Oświęcimiu, które nie są w najlepszym stanie z winy obu stron. Nie widzę tam zdrowej symbiozy pomiędzy władzami miasta, mieszkańcami a muzeum skupionym na przypływie turystów. Mam wrażenie, że dyrekcja muzeum nie jest wystarczająco otwarta na miasto, że odgrodziła się od oddolnych inicjatyw z zewnątrz, nie lubi konkurencji w postaci lokalnych pasjonatów historii, takich jak Łukasz Szymański, Dagmar Kopijasz czy Mirosław Ganobis, którzy na własną rękę zdobywają nieprawdopodobne poobozowe artefakty. To wszystko sprawia, że w mieszkańcach rodzą się antagonizmy i narracja antysemicka, na której wygrywają politycy. Najbardziej znienawidzonym przez mieszkańców Oświęcimia momentem w roku jest Marsz Żywych. Fakt, że mieszkańcy nie lubią dnia, gdy przyjeżdżają do nich dziesiątki tysięcy młodych, fajnych ludzi pochodzenia żydowskiego z całego świata, którzy próbują przerobić swoją traumę, zakrawa na kuriozum. Słyszałem głosy: „Żydzi przyjechali się panoszyć". Ta niechęć wynika z tego, że do oświęcimian nie wyciąga się ręki, nie aktywizuje mocniej, wciągając w takie czy inne obchody. Oni nie mają poczucia, że to ich wspólne święto. To raczej święto przyjezdnych.

W Polsce brakuje pomysłu na rolę edukacyjno-historyczną takich miejsc jak Oświęcim.

I jak na ironię hasło promocyjne brzmi: „Oświęcim – miasto pokoju".

– Tu dotykamy sedna. W Polsce ciągle brakuje pomysłu na rolę edukacyjno-historyczną takich miejsc jak Oświęcim. Jasne, wytyczamy strefy pamięci, stawiamy pomniki, posługujemy się wzniosłymi hasłami, ale to wszystko działa tylko na oczy zamiast na umysły. Samorządy pompują miliony złotych w logotypy, slogany, handlują symboliką, która wygląda dobrze jedynie na plakacie. Białystok padł ofiarą mirażowego hasła: „Białystok – miasto wielu kultur", a w rzeczywistości to tam podpalano mieszkania uchodźców z Czeczenii. Tamtejszy urząd poszedł na łatwiznę i zamiast zainwestować w edukację lokalnej społeczności, kulturę i projekty, które miałyby szansę stać się długofalowymi koncepcjami przywracania ludziom tożsamości, wywiesił na mieście kilka „ładnych" banerów. To prędzej czy później musiało się przeobrazić w malowanie swastyk na elewacjach i feralny marsz równości.

A nie boisz się w Oświęcimiu takiego przyjęcia książki jak po „Białymstoku"? Przeczytałem, że po tamtej publikacji zostałeś oskarżony o zniszczenie wizerunku miasta.

– Oczywiście jedni padną ofiarą wspomnianej wizerunkowości i stwierdzą, że do Oświęcimia przyjechał obcy, może i napisał prawdę, ale zdemolował przy tym cały wysiłek włożony w zachowanie dobrego imienia miasta. Jednak znajdą się i tacy, w których książka wywoła głębszą refleksję. Musimy pamiętać, że reportaż nie jest pełnym zapisem rzeczywistości, a raczej filtrem dla przemyśleń i spostrzeżeń autora. Gdy ludzie pytają mnie, czy wszystko wygląda w mojej książce tak jak na zdjęciu, to powołuję się na słynne zdjęcie Krzysztofa Millera z Johannesburga, na którym uchwycił grupę fotoreporterów pochyloną nad ciałem mężczyzny, ofiary starć między zwolennikami Nelsona Mandeli i Zulusami. Zachowało się jeszcze kilka innych ujęć z tego momentu. Jedno pokazuje tylko zwłoki, a drugie samych fotoreporterów na tle błękitnego nieba. Każde z tych zdjęć inaczej na nas działa, ale wszystkie uchwyciły ten sam moment. Moje to te wycinki rzeczywistości, które najbardziej mną szarpnęły, a czytelnikowi zostawiam miejsce na myślenie i wnioski.

Reportaż nie jest pełnym zapisem rzeczywistości, to raczej filtr dla przemyśleń i spostrzeżeń autora.

Mateusz Demski

KSIĄŻKI

Janusz Gmitruk, Piotr Matusak, Tadeusz Rawski

Kalendarium II wojny światowej

Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego, Warszawa 2017

W tej wyjątkowej publikacji po raz pierwszy podjęto trud pokazania całokształtu wydarzeń i faktów, dający pełny obraz działań militarnych i akcji ruchu oporu na wszystkich frontach wojny. Z inicjatywy Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego i Stowarzyszenia Historyków Wojskowości, korzystając z doświadczeń Wojskowego Instytutu Historycznego, zebrano zespół historyków, którzy zestawili istotne fakty z II wojny światowej.

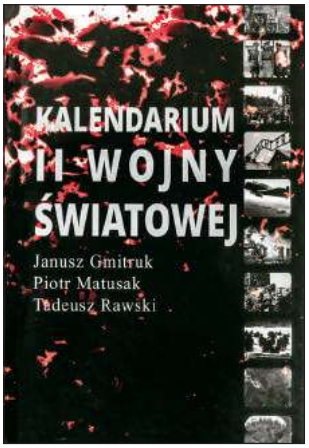

Wymienione wydarzenia w pełni oddają charakter tego konfliktu i okropności tej wojny. W kalendarium nie pominięto żadnej ważniejszej bitwy czy potyczki, które miały znaczenie dla jej przebiegu. W odszukaniu konkretnych osób punktów pomagają indeks nazwisk i indeks nazw geograficznych.

Książka ta ma wyjątkowy charakter również dlatego, że ukazuje wojnę z totalitaryzmem hitlerowskim, włoskim faszyzmem i militaryzmem japońskim. Po raz pierwszy do wykazu działań militarnych prowadzonych przez armie państw Osi i sprzymierzonych zostały włączone akcje europejskiego, w tym także polskiego, ruchu oporu. Autorzy w szczególny sposób potraktowali też powstanie warszawskie, poświęcając mu należne miejsce. Przygotowując tę niezwykle ważną i cenną publikację, autorzy nie stosowali cenzury w doborze faktów.

eprasa.pl b7174acf7d

GRAND PRESS PHOTO

To najważniejszy w Polsce konkurs dla osób zajmujących się zawodowo fotografią prasową i dokumentalną. Organizowany jest przez magazyn „Press" Andrzeja Skworza. Prace oceniali uznani fotoreporterzy i fotoedytorzy z kraju i zagranicy. W tym roku jury przewodniczył Pieter Ten Hoopen, 46-letni szwedzki fotoreporter, członek agencji VU w Paryżu, czterokrotny laureat World Press Photo (2008, 2010 oraz dwukrotnie w 2019). O tytuł walczyło 61 fotografów.

1. Mirosław Pieślak, dla „Faktu", II miejsce w kategorii życie codzienne.
2. Grzegorz Press, II miejsce w kategorii ludzie.
3. Adam Stępnicki, MM Studio, III miejsce w kategorii wydarzenia.
4. Jakub Gruca, Agencja Fotograficzna Fokus-Media, II miejsce w kategorii wydarzenia.

eprasa.pl b7174acf7d

3

7

5. Jakub Porzycki, „Gazeta Wyborcza Kraków", II miejsce w kategorii reportaż, kultura i rozrywka.
6. Mateusz Skwarczek, Agencja Gazeta, III miejsce w kategorii portret.
7. Joanna Mrówka, Agencja Forum, I miejsce w kategorii życie codzienne.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

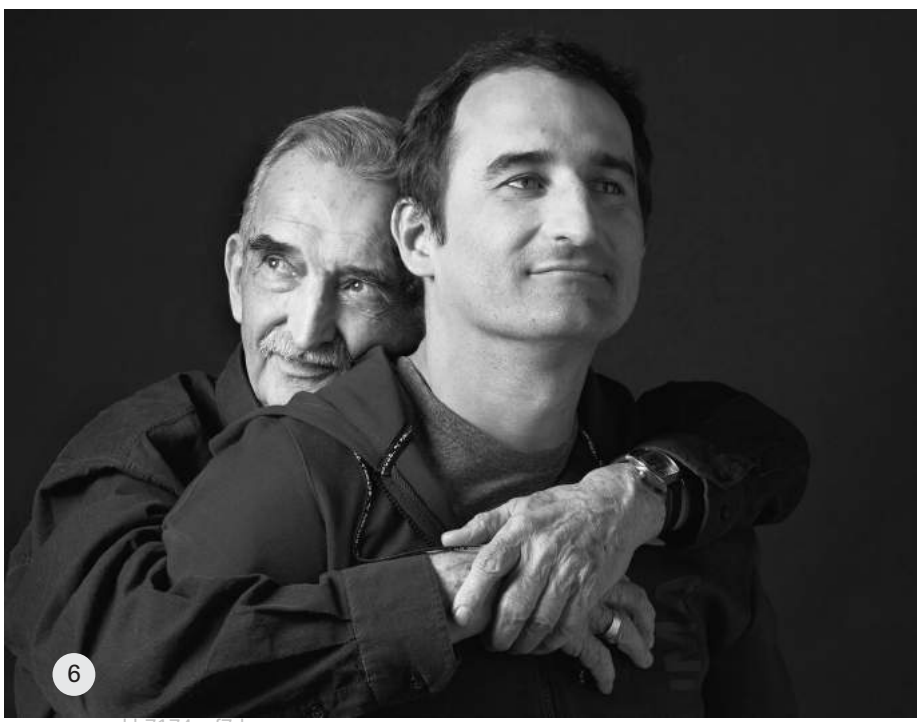

6

eprasa.pl b7174acf7d

„Marsz dla lasów" – protest przeciwko nielegalnej wycince zorganizowany w Bukareszcie 3 listopada 2019 r.

Mateusz Mazzini

Gorączka drewna

Coraz więcej krajów zmaga się z gangami prowadzącymi nielegalną wycinkę

Choć Rumunia często bywa wyśmiewana jako kraj zajmujący ostatnie miejsca w europejskich rankingach rozwoju ekonomicznego czy walki z korupcją, jest pewien aspekt, w którym jeden z najmłodszych członków Unii Europejskiej pozostaje absolutnym liderem. Na terenie Rumunii wciąż znajduje się ponad 525 tys. ha prastarej, pierwotnej puszczy – więcej niż w jakimkolwiek innym miejscu na Starym Kontynencie, poza przygranicznymi obszarami Norwegii i Szwecji. Wydawałoby się, że to powód do dumy – stare lasy, stanowiące naturalne siedlisko dla tysięcy gatunków i nietknięte przez człowieka od ich powstania, mogłyby być symbolem kraju, atrakcją dla turystów, źródłem inspiracji do walki o środowisko naturalne. Zamiast tego stały się w ostatnich kilkunastu latach schronieniem dla zorganizowanej przestępczości, źródłem afer korupcyjnych i przyczyną ogromnych napięć między Bukaresztem a Brukselą.

Austriacy na łowach w Rumunii

Na początku czerwca 2018 r. rumuńska policja przeprowadziła jedną z najbardziej spektakularnych operacji w swojej najnowszej historii. Skoordynowana, zorganizowana w kilku miastach jednocześnie akcja antyterrorystów i agentów antykorupcyjnych doprowadziła do aresztowania 23 osób, oskarżonych o uczestnictwo w syndykacie przestępczym w tamtejszych puszczach. W wyniku zwieńczonego policyjnym rajdem śledztwa, trwającego od 2011 r., ustalono, że wartość drewna, którym nielegalnie obraca grupa, mogła wynosić 25 mln euro. Wśród zatrzymanych byli nie tylko pracownicy tartaków czy kierowcy ciężarówek, ale także urzędnicy samorządowi i pracownicy parków narodowych. Co więcej, pod jednym z adresów, pod które podjechały policyjne wozy, mieścił się zakład produkcyjny austriackiej firmy Schweighofer – giganta na europejskim rynku wyrębu drewna i produkcji biomasy.

Spółka działa na rumuńskim rynku od 2002 r. Ciesząca się reputacją solidnego przedsiębiorstwa z przeszło 300-letnią tradycją, ma tu trzy tartaki i dwie fabryki. Obecna jest też w Bułgarii, Czechach, Niemczech i na Ukrainie, a jej roczny obrót drewnem, biomasą i półproduktami drzewnymi przekracza 500 mln euro. Rumunia to dla niej rynek kluczowy, bo o drewno jest stosunkowo łatwo, surowiec można pozyskać tanio i – jak się okazało – nie zawsze trzeba przy tym się przejmować ograniczeniami prawnymi.

W 2015 r. na stronie Environmental Investigation Agency (EIA), Agencji Śledczej ds. Ochrony Środowiska, międzynarodowej organizacji pozarządowej zajmującej się tropieniem działalności przestępczej na obszarach chronionych i zagrożonych, pojawiło się bardzo niewygodne dla Schweighofera nagranie wideo. Widać na nim, jak dwóch menedżerów firmy próbuje dokonać nielegalnego zakupu drewna do swojej fabryki. Obaj doskonale zdają sobie sprawę, skąd pochodzi surowiec, jednak zupełnie się tym nie przejmują i potwierdzają, że fabryka bez problemu przyjmie dostawę. Wcześniej w sieci zamieszczony został nagrany ukrytą kamerą materiał, pokazujący oklejony logotypami służby parków narodowych samochód transportowy, który przewozi nieoznakowane i – co później wyszło na jaw – nieudokumentowane bele drewna z terenu parku do innego przedstawicielstwa Schweighofera.

Niebezpieczne rumuńskie lasy

Nielegalny wyrąb i wywózka drzew to gigantyczny problem w Rumunii. Ze śledztw przeprowa-

eprasa.pl b7174acf7d

dzonych przez EIA i WWF wynika, że nawet ponad 50% drzew jest wycinanych w tym kraju nielegalnie. Z kolei Greenpeace szacuje, że co godzinę bezpowrotnie tracone są tam 3 ha prastarych lasów i puszcz. Przekłada się to na niszczenie nie tylko ekosystemu i bioróżnorodności, ale również, pośrednio, miejsc pracy. Adriana-Doina Pană, była minister leśnictwa, ocenia, że w ciągu 18 lat obecności Schweighofera w Rumunii nieuczciwa konkurencja ze strony giganta spowodowała likwidację nawet 50 tys. miejsc pracy w innych zakładach, głównie przetwórczych i meblarskich.

Nielegalne pozyskiwanie drewna nierzadko kosztuje też ludzkie życie. W ciągu kilku tygodni na przełomie września i października ub.r. zamordowanych zostało dwóch rumuńskich strażników parków narodowych. Raducu Gorcioaia znaleziony został w swoim samochodzie na terenie puszczy Pascani na północnym wschodzie kraju, niedaleko miejsca od lat uznawanego za obszar nielegalnego wyrębu drewna. Ciało Liviu Popa porzucono w wąwozie na terenie parku Maramures, objętego ochroną w ramach programu Natura 2000 górskiego obszaru na północy Rumunii, tuż przy granicy z Ukrainą. Obaj strażnicy przed śmiercią sprawdzali doniesienia o nielegalnym wyrębie drewna. Nie wiadomo, czy informacje pochodziły od zaniepokojonych leśników lub turystów, czy obaj zostali zwabieni przez gangsterów, ale sam fakt zamordowania dwóch funkcjonariuszy państwowych w tak krótkim czasie pokazuje, jak niebezpieczne są rumuńskie lasy i jak wysoka jest stawka w konflikcie o tamtejsze zasoby naturalne.

Zaraz po serii aresztowań w 2018 r. przedstawiciele Schweighofera zapowiedzieli, że będą współpracować zarówno z władzami w Rumunii, jak i z urzędnikami unijnymi. Jednak i WWF, i EIA twierdzą, że nielegalna wycinka i obrót pochodzącym z niej drewnem nie ustały. Gabriel Paun, przedstawiciel ekologicznej organizacji pozarządowej Agent Green, w lutym br. opowiadał portalowi SaveParadiseForests, że na obszarze Maramureş brakuje 5 mln m sześc. drewna, na które nie ma kwitów potwierdzających legalny wyrąb. Ekonomicznie rzecz ujmując, to dziura o wartości 250 mln euro.

Nie lepiej wygląda sytuacja w sąsiedniej Bułgarii, gdzie według szacunków WWF z nielegalnego źródła pochodzić może nawet co trzecia deska wyprodukowana w tamtejszych tartakach. Raporty ekologów mówią o 2,7 mln m sześc. pozyskanego niezgodnie z prawem drewna, które rocznie przerabia bułgarski przemysł. W przypadku tego kraju nie można jednak mówić o zagranicznych inwestorach wykorzystujących luki prawne i niskie ceny. W Bułgarii drzewa nielegalnie wycinają głównie krajowe firmy, a surowiec jest wykorzystywany na rynku wewnętrznym. Lobby drzewne jest jednym z ważniejszych sponsorów kampanii politycznych. W 2015 r. głośno było o wsparciu płynącym od właścicieli tartaków na kampanię późniejszych władz ministerstwa środowiska. Te w rewanżu obsadzały na stanowiskach kierowniczych w parkach narodowych ludzi gwarantujących wycinkę bez ograniczeń.

W Rumunii ponad 50% drzew jest wycinanych nielegalnie.

Szwedzi nieekologicznie ekologiczni

Z podobnym stopniem kryminalizacji tego sektora zmagają się też Szwedzi. Tu jednak lasy padają ofiarą pozornie pozytywnego trendu, jakim jest przejście na gospodarkę niskoemisyjną. Tereny zalesione zajmują ponad 70% powierzchni Szwecji. Aż 90% z nich zostało już w jakimś stopniu naruszone przez wycinkę. Nawet te, które uznawane są za siedliska wyjątkowo rzadkich gatunków. Już w 2013 r. Komisja Europejska alarmowała, że 14 z 15 najważniejszych biotopów (nieożywionych elementów ekosystemu) w Szwecji nie ma odpowiedniej ochrony prawnej. Oznacza to, że wycinka może się odbywać w sposób praktycznie nieograniczony, jeżeli oczywiście będzie odpowiednio duży popyt. Zagrożone takim działaniem są przede wszystkim stare lasy. Już w 2010 r. ponad jedna trzecia wszystkich obszarów wyrębu nie spełniała kryteriów wymaganych w szwedzkich ustawach dotyczących leśnictwa. Ma to ogromny wpływ na różnorodność biologiczną, bo z powodu wycinki aż 1,8 tys. gatunków zwierząt żyjących na tych terenach jest uznawanych za zagrożone.

Łańcuch kryminalnej działalności domyka się w krajach, do których trafia nielegalnie pozyskane drewno. Wiodącym importerem tego surowca w Europie są Włochy, utrzymujące kontakty handlowe z firmami otwarcie działającymi na terenach chronionych, pochodzącymi zarówno z Rumunii, jak i z Albanii, Rosji, Mjanmy czy Indonezji. Komisja Europejska od lat alarmuje, że włoskie władze nie weryfikują należycie pochodzenia drewna, naruszając przy tym tzw. Akt drzewny, główny dokument regulujący handel surowcem w Unii Europejskiej. Do Włoch drewno najczęściej trafia drogą morską, często opisane jako import z Chin. Tak było chociażby w 2019 r., kiedy w Trieście władze zarekwirowały transport z Azji. Nie dość, że fałszywy okazał się kraj pochodzenia, to jeszcze nie zgadzały się liczby – port wyjścia opuściło mniej drewna, niż wpłynęło do Włoch, co wskazuje nie tylko na nielegalne jego pochodzenie, ale i na oszustwa podatkowe przerzucających je firm.

Europejczycy wycinają coraz więcej drzew, bo drewno jest najlepszym surowcem do produkcji biomasy. Wymaga najmniejszych nakładów – nie trzeba go oczyszczać, wyparzać, poddawać skomplikowanym procesom chemicznym. Jeśli biomasa wytworzona jest z drewna poddanego recyklingowi, wtedy naprawdę stanowi ekologiczną alternatywę dla węgla. Jeśli jednak pochodzi z prastarych europejskich lasów, z działaniem na rzecz środowiska nie ma to nic wspólnego. Parlament Europejski pracuje obecnie nad definicją tych prastarych lasów, by ujednolicić prawne formy ich ochrony. Za tym pójść musi jednak wsparcie legislacyjne i nadzorcze, bo sam zapis na papierze – niezależnie od tego, z jakiego drewna wyprodukowanym – wiekowych drzew na Starym Kontynencie nie ochroni. ■

FOT. PAP/EPA

eprasa.pl b7174acf7d

Rozmawia Bronisław Tumiłowicz

Wodór – ekologiczny, ale czy bezpieczny?

Ogniwa wodorowe są dziś umieszczane w samochodach i autobusach produkowanych w Japonii

Coraz bliżej do stosowania wodoru jako ekologicznego paliwa w autobusach i samochodach. Czy to będzie konkurencja dla samochodów elektrycznych?

– W przypadku jednego i drugiego napędu są liczne za i przeciw. Samochody elektryczne trzeba ładować dosyć długo i używa się sporo prądu, który na razie produkujemy na bazie węgla. Poza tym ogniwa litowe mogą być wybuchowe. Supernowoczesna technologia bywa bardzo zdradliwa. Są też pewne niedogodności w mroźnych miesiącach, bo baterie tracą część mocy. Natomiast ogniwa wodorowe są dziś wstawiane do seryjnie produkowanych samochodów i autobusów w Japonii, wykorzystywanych w regionie Tokio i Jokohamy. Dwa lata temu miałem okazję jeździć toyotą i hondą z takim napędem i wyglądało to całkiem zadowalająco. Problemem jest tu bezpieczeństwo. Instalacja wodorowa musi być maksymalnie szczelna. Ulatnianie się wodoru trudno wyczuć, a wybuch może być katastrofalny w skutkach. Wystarczy iskra.

Czy jakiś japoński samochód na wodór eksplodował?

– Nie było takiego przypadku, jednak ludzie się tego obawiają. W annałach zachowały się relacje z pożaru sterowca „Hindenburg" napełnionego wodorem, który nadleciał nad Nowy Jork po trzydniowej podróży przez Atlantyk i spłonął 6 maja 1937 r. podczas cumowania na lotnisku w Lakehurst w stanie New Jersey. Wodór jest mimo to kuszącym źródłem energii, jako nośnik najbardziej ekologiczny i ogromnie wydajny. Nieprzerwanie zresztą trwają prace nad dobrym zabezpieczeniem zbiornika gazu. W samochodach osobowych ceramiczno-kompozytowe zbiorniki montuje się nisko, pod fotelem pasażera. Ważne jest ich odpowiednie usytuowanie oraz konstrukcja różnych złączy, które muszą być idealnie szczelne. Tego typu auta jeżdżą w Kalifornii, pojawiają się też w Europie, ale głównie są to prototypy. Najszybciej pewnie rozpowszechnią się autobusy z silnikami wodorowymi, bo łatwiej je zabezpieczyć, a tankowanie na specjalnym stanowisku w zajezdni może zapewnić najwyższe standardy bezpieczeństwa.

PROF. PAWEŁ KULESZA
– chemik z Uniwersytetu Warszawskiego

Instalacja wodorowa musi być maksymalnie szczelna. Ulatnianie się wodoru trudno wyczuć.

W Japonii wodór tankują zwykli użytkownicy.

– Tak, są specjalne stanowiska paliwowe na stacjach, ale w pewnym oddaleniu od tradycyjnych na benzynę i olej napędowy.

Czy w Polsce takie pojazdy to daleka przyszłość?

– Niekoniecznie. Rozważa się przeprowadzenie testów w miejscowości mającej 50-60 tys. mieszkańców. W Wielkiej Brytanii wytypowano już Leeds, zakładając, że tamtejszy transport publiczny oparty na wodorze zostanie uruchomiony w ciągu najbliższych dwóch lat. Są również wyznaczone regiony w kilku miastach Korei Południowej. Transport publiczny oparty na pojazdach napędzanych wodorem jest elementem koncepcji *smart cities* – miast, gdzie mieszkańcy żyją w czystym, przyjaznym środowisku, korzystając z wielu udogodnień technicznych. Sami też będą producentami energii, np. słonecznej.

Czy przechodzenie na napęd wodorowy jest nieuniknione?

– Na pewno ta dziedzina będzie się rozwijać. Ale by stała się technologią przyszłości, należy rozwiązać np. problemy z produkcją wodoru, który musi być maksymalnie czysty, aby nadawał się do napędzania silników i był odpowiednio wydajny. W wielu krajach, także u nas, przy produkcji różnych substancji chemicznych uzyskuje się sporo wodoru, niestety zbyt zanieczyszczonego. Można go oczyszczać, ale wtedy wydzielają się związki szkodliwe dla człowieka i środowiska. Niektórzy dworują sobie z „ekologicznej dwuznaczności" Japończyków, bo oni idealny wodór sprowadzają z daleka, aby u siebie mieć tylko czyste powietrze. W Jokohamie jest ekologicznie, za to wytwórnie wodoru są np. na pustyniach w Australii. Na takie kosztowne technologie mogą sobie pozwolić państwa bardzo bogate.

Paweł Józef Kulesza – profesor nauk chemicznych. Specjalizuje się w zagadnieniach z zakresu elektrochemii oraz chemii nieorganicznej i analitycznej. Członek korespondent PAN, pracownik Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego. Zasiada w Centralnej Komisji ds. Stopni i Tytułów. Jego dorobek obejmuje prawie 250 publikacji.

eprasa.pl b7174acf7d

Zasilany wodorem autobus marki Toyota w Tokio.

Wodór nie jest więc remedium na wszystkie problemy ekologiczne i klimatyczne.

– Ale może ogromnie się przydać w energetyce ekologicznej, jako rezerwuar energii elektrycznej. W przypadku wielkich elektrowni solarnych i wiatrowych problemem jest np. magazynowanie energii. Tradycyjne kondensatory nie dają szansy magazynowania większych ilości energii, tymczasem zmagazynowany wodór, np. powstały w wyniku elektrolizy wody (H_2O), byłby doskonałym „akumulatorem". Nad tym także pracują laboratoria naukowe i przemysłowe, również w Polsce.

Jeszcze dwie dekady temu głośno było o próbach silników napędzanych metanolem, a nawet etanolem, czyli spirytusem. Dodatki etanolu do benzyny uważano za dobry zamiennik trujących związków ołowiu. Co się stało z tymi technologiami?

– Na razie zeszły na dalszy plan. Są mniej wydajne od wodoru, który swoją energię przekazuje w 80-90%. Metanol nie daje takiej sprawności, poza tym jest silnie toksyczny. A zdarzało się, że ktoś korzystający z silnika metanolowego chciał spróbować paliwa przypominającego wyglądem i zapachem spirytus etylowy. Były też próby napędzania pojazdów kwasem mrówkowym, który ma bardzo nieprzyjemny zapach. Sądzę jednak, że technologia metanolowa będzie się rozwijać. Przedmiotem badań będą także inne alternatywne paliwa. Technologia uzyskiwania wodoru wciąż jeszcze jest bardzo droga, potrzebne są katalizatory platynowe lub stopy platyny. Intensywne prace więc trwają i nie wiadomo, która technologia okaże się optymalna ze względów praktycznych, czyli połączy niskie koszty, wysoką wydajność, dobrą sprawność oraz bezpieczeństwo dla człowieka i środowiska. Japończycy nad technologiami energetycznego wykorzystania wodoru pracują już od 50 lat. Przy wyborze rozwiązań istotna jest poza tym skala zastosowań – pojazdy, gospodarstwa domowe czy elektrownie.

Przy produkcji różnych substancji chemicznych uzyskuje się sporo wodoru, niestety zbyt zanieczyszczonego.

Moglibyśmy wytworzyć nawet u nas dużą ilość energii odnawialnej, która może być tańsza od tradycyjnej, a jest przyjazna środowisku. Jednak nie ma jeszcze taniego i wydajnego sposobu jej przechowywania do wykorzystania w bezwietrzne i pochmurne dni. Tymczasem oczyszczanie wodoru przemysłowego jest kosztowne i uciążliwe, produktem ubocznym bowiem, jak wspomniałem, są różne szkodliwe substancje. Praca nad wodorem jako źródłem energii to zatem poważny kierunek naukowo-badawczy i technologiczny, ale nie jest to jedyne rozwiązanie na przyszłość.

W poszukiwaniach nowych źródeł energii chodzi też o urządzenia stacjonarne produkujące na dużą skalę prąd i ciepło. Czy tu wodór byłby przydatny?

– To również jest poważnie brane pod uwagę, ale chyba wcześniej będziemy musieli, także w Polsce, pogodzić się z energetyką jądrową. Nie unikniemy tego, bo potrzeby wciąż rosną. Energia ta przy dobrej kontroli i zabezpieczeniach może być ekologicznie nieszkodliwa. Wydarzenia w Czarnobylu, gdzie doszło do poważnych zaniedbań, i w Fukushimie, gdzie nastąpiło trzęsienie ziemi, nie zmienią poglądu, że to dobre wyjście na nadchodzące lata. Tutaj także wodór, w odpowiednich zbiornikach, mógłby być wykorzystywany do składowania nadmiaru energii. Jesteśmy świadkami ogromnego postępu technicznego i technologicznego, który może nam przynieść niejedną niespodziankę. ■

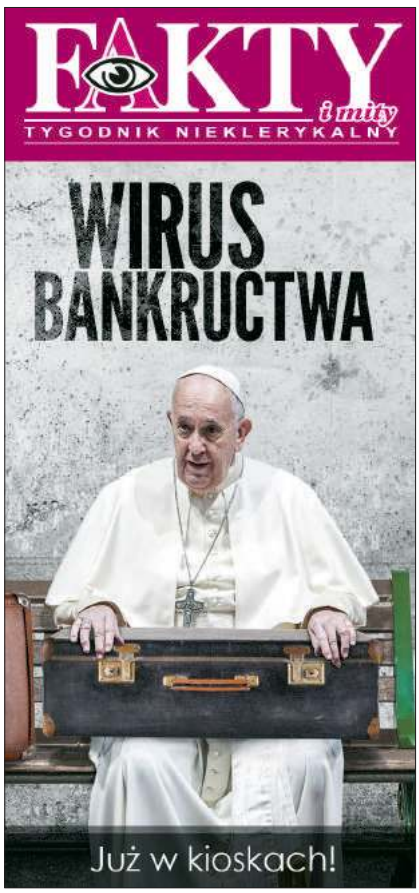

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE, KAZUHIRO NOGI/AFP/EAST NEWS

eprasa.pl b7174acf7d

Pustelnik – himalajski ratownik

Organizm człowieka ma wielkie rezerwy, a w górach ważna jest psychika

Wojciech Fusek, Jerzy Porębski

W 2006 r. Piotr Pustelnik został laureatem nagrody Fair Play za uratowanie wraz z Piotrem Morawskim spod szczytu Annapurny chorego na śnieżną ślepotę Tybetańczyka Lou Tsee. Ta nagroda była też podziękowaniem za jego kilka wcześniejszych akcji. Na Broad Peaku pomagał zdeteriorowanemu austriackiemu himalaiście, którego partner zmarł chwilę wcześniej z wycieńczenia. A w 1996 r. – rezygnując z ataku – zajął się włoskim Tyrolczykiem na K2.

Ratowanie Tybetańczyka wymagało natomiast decyzji o wycofaniu się z ataku na wierzchołek Annapurny. A ta miała być ostatnim szczytem w Koronie Himalajów Piotra Pustelnika. Początkowo Polacy wierzyli, że za dzień, dwa chory odzyska wzrok i zaatakują szczyt. Potem jednak marzyli już tylko o tym, by odzyskał wzrok, nim sami opadną kompletnie z sił. Skończyło im się bowiem jedzenie. Nie mieli już też herbaty ani niczego innego, co nadawałoby się do zrobienia napoju. Pili więc destylowaną wodę z topionego śniegu. A taka woda nie gasi pragnienia i wypłukuje niezbędne do funkcjonowania organizmu mikroelementy.

W sumie z 11 dni akcji obaj Polacy aż pięć spędzili na wysokości 7350 m n.p.m.

Inna przygoda Pustelnika ze śnieżną ślepotą (…). Było to pod Everestem. Kierowca, który wiózł ich od chińskiej strony, nie miał okularów przeciwsłonecznych. Jadąc w bezchmurny dzień przez ośnieżone pustkowia, z każdą godziną widział mniej. Gdy drugi raz bez powodu wjechał do rowu, zajął się nim lekarz wyprawy Marek Rożniecki. Okazało się, że badany już praktycznie nic nie widzi. Dalej prowadził doktor.

Niewiele brakowało, a wspomniany wyżej przypadek pomocy dla Austriaka mógł przejść do annałów himalaizmu w całkiem innej kategorii niż akcja ratunkowa. Ledwie żywy wspinacz, do którego dotarł Pustelnik, dostał 10 tabletek deksametazonu (syntetycznego glikokortykosteroidu – potocznie sterydu). Ta końska dawka miała go postawić na nogi i pozwolić na błyskawiczne sprowadzenie niżej, gdzie łatwiej byłoby go przywracać do żywych.

Gdy szykowano się do zejścia, z dołu dobiegł lekarz i *skyrunner* (biegacz wysokogórski) Jorge Egocheaga. Trasę pokonał w takim tempie, że nikt się go na górze nie spodziewał. I nim ktokolwiek się zorientował, Bask dał Austriakowi dodatkowe kilka pastylek tego samego leku. Naszprycowali go do granic możliwości. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze. Świeże powietrze i niezawodne „dwa palce do gardła" sprawiły, że organizm jakoś wytrzymał ten narkotyczny strzał.

Tak natomiast akcję ratunkową z udziałem Piotra Pustelnika na K2 wspomina Krzysztof Wielicki: – W 1996 r. ratowaliśmy Marca Bianchiego. A Darek Załuski, który zna te opowieści z pierwszej ręki, dodaje: – Trzeba powiedzieć, że Marco Bianchi wszedł za Krzyśkiem na K2 troszeczkę na siłę. No, co tu dużo mówić, resztkami sił na to K2 się dostał, już prawie w nocy.

Na szczycie – który ma wysokość 8611 m n.p.m. – spędził kilka chwil i zaczął dramatyczne zejście. Skrajnie wyczerpanemu udało się dotrzeć do namiotu na 7900 m n.p.m.

– Po ciężkiej reszcie nocy odmówił dalszego schodzenia – opowiada Wielicki. – Siłą wypchnęliśmy go z namiotu i spychaliśmy w dół uwiązanego na linie. Męczyli się tak pół dnia z Christianem Kuntnerem i Piotrem Pustelnikiem. Lekarz, wybitny urolog Marek Rożniecki, cały czas siedział na nasłuchu w bazie i jednocześnie konsultował się z Rosjanami. W rozmowie z nimi wyszło, że mają namiot z apteczką. Rosjanin doniósł nam więc metalowe pudełko. Połączył się z ich lekarką i działał według instrukcji radiowej: wyjmij ampułkę z siódmej przegródki, zmieszaj z ampułką z czwartej, wypchnij powietrze, kłuj po nogach, gdzie chcesz – opowiada Wielicki.

Gdy Marco dostał deksametazon oraz kofeinę, nabrał animuszu i dzielnie ruszył w dół. Działało to tylko kilka godzin, ale wystarczyło do sprowadzenia go do „dwójki", gdzie Rosjanie wykopali wielką śnieżną jamę. Tam dostał tlen i dużo ciepłej herbaty.

– Uratowaliśmy go dzięki nim – przyznaje skromnie Wielicki, choć

eprasa.pl b7174acf7d

gdyby nie konsekwencja zespołu ratunkowego i wielki ich wysiłek, Włoch nie doszedłby do „dwójki", gdzie zajęli się nim Rosjanie.

Podczas tej akcji wydarzył się incydent, który mógł sprawić, że na koniec pełnej poświęcenia akcji ratownicy amatorzy wykończyliby ratowanego.

– Zszedłem do śnieżnej jamy, by znaleźć tlen dla Marca, którego zostawiłem wyżej – wspomina Pustelnik. – W środku siedział Rosjanin, który rwał się do walki. Mówił, że jest tu już trzeci dzień i jeśli zostanie dłużej, to oszaleje. Dałem mu więc maskę, butlę z tlenem, reduktor i powiedziałem, żeby zaniósł to Włochowi. Wychodząc, zaznaczył, że jest wspinaczem skałkowym i nie umie obsługiwać takiego sprzętu. Szybko go więc przeszkoliłem. Słuchał uważnie, na koniec stwierdził: *No problem*, i poszedł po Włocha. Pomyślałem, że godzinę zajmie mu dojście, drugą zejście, więc za najwyżej trzy godziny muszą być w obozie.

Pustelnik: – Minęło sześć, zrobiło się ciemno, a rosyjsko-włoskiej dwójki nie było. Wreszcie o godz. 21 wpadł do środka oblepiony śniegiem ratownik. Klął jak najęty, czasem tylko dodając, że jest wściekły na Włocha, który idzie bardzo wolno, gubi po drodze szpej. Pytany, czy założył ratowanemu maskę, odpowiedział, że oczywiście. Mniej więcej po kolejnych 30 minutach wtoczył się do środka Marco. Wtedy zauważyłem, że Rosjanin nie odkręcił tlenu – opowiada Pustelnik.

– Włoch szedł w masce z ważącą dodatkowe 3 kg butlą. Tylko że tlen z butli nie płynął, a w szczelnie przylegającej do twarzy masce oddychało się znacznie trudniej niż bez niej – kończy Pustelnik.

Ten wart opisania w podręcznikach ratownictwa przypadek pokazuje, jak wielkie rezerwy ma organizm człowieka i jak ważna jest w górach psychika. Choć Włochowi oddychało się jeszcze trudniej niż przed założeniem maski, był przekonany, że dotlenia się wzbogaconą mieszanką i psychicznie czuł się lepiej, a organizm sięgał do najgłębszych zapasów, bo wierzył, że ma wsparcie.

– Na K2 kluczowe były też instrukcje Marka Rożnieckiego – dodaje Darek Załuski. – Kiedy i co podawać, w jakich dawkach.

Potem polski lekarz zajął się Włochem w bazie. Co sam tak opisywał: – Dopadam Marca. Boże, jak on wygląda… Jedyne, co jest mi w stanie powiedzieć, to to, że chyba już wie, jak jest po tamtej stronie. Obiecuje złote góry, byleby go uratować. Doprowadzam go do namiotu i rozpoczynam intensywne leczenie. Marco bez słowa skargi nadstawia pośladki, brzuch i zapadnięte żyły. Do pomocy mam dwie znakomite pielęgniarki w osobach Darka i Karima Hayata, który był naszym pakistańskim pomocnikiem. Dla niemedyków działalność lekarska jest zawsze frapująca. Włoch rano ma się lepiej, a jego tętno i oddech przyjmują jakieś ludzkie wartości.

Jak twierdził polski lekarz, leczenie było tak skuteczne, że „Włochowi nie zszedł z czarnych łap ani nóg nawet paznokieć".

Krąży anegdota, że jak już się wszystko udało, Marco powiedział Polakowi: „Kurde, uratowałeś mi życie, ja ci dam piękne secesyjne mieszkanie w Mediolanie". Następnego dnia dołożył do tego samochód, a chyba trzeciego dnia się pokłócili.

Rożniecki ma jeszcze jedną wielką zasługę w górskim niebie. Był tym, który zaopiekował się w ostatnich miesiącach himalaistą, kierownikiem wypraw, autorem książek Januszem Kurczabem. Doglądał go jako ordynator oddziału urologii w szpitalu w Łasku, gdy ten umierał na raka pęcherza. 11 kwietnia 2015 r. „Jano" skończył swoją wspinaczkę. Rak, a nie góry pokonały też innego wielkiego kierownika wypraw złotej polskiej ery himalaizmu, Andrzeja Zawadę.

Marek Rożniecki był lekarzem kilku wypraw w Himalaje i w góry Ameryki Południowej. (…)

– Nie byłem nigdy zawodowcem, tylko miłośnikiem gór. Kiedyś przez sześć tygodni przebywałem na wysokości 6500 m n.p.m. Schudłem wtedy ponad 20 kg. Organizm zaczął się zjadać, traciłem mięśnie, pamiętam, że pod koniec byłem bardzo słaby. Żona mnie nie poznała, gdy wróciliśmy do kraju. Każdy ma swój Mount Everest. To był mój – opowiada Rożniecki i od razu dodaje, że w górach trzeba zachować rozsądek. Wtedy szansa, że się przeżyje, wzrasta. Brak rozsądku, zbyt wybujała ambicja to kiepscy doradcy. Mogą doprowadzić do tragedii.

– Góry są nieprzewidywalne – dodaje. – Człowiek czuje się doskonale, a nagle po godzinie umiera. Wielką rolę odgrywa tu wysokość, nagła zmiana pogody, wiatr, zimno. Dlaczego tyle z mojego życia poświęciłem wyprawom? Moja pierwsza odbyła się w latach 80. Pojechaliśmy do Indii, by zdobyć Shivling (6543 m n.p.m.). Dość znamienne, bo w języku hindi oznacza to podobno „Fallus Śiwy". Ja, urolog, mogłem to odczytać jako znak. Choć pogoda nie pozwoliła wejść na szczyt, to spodobało mi się. Zresztą nigdy potem nie wszedłem na żaden z wysokich wierzchołków, miałem inne zadania na wprawach, zarówno na Everest od północy, jak i na K2. Na obu byłem z Piotrem [Pustelnikiem – przyp. aut.].

Bycie etatowym lekarzem wypraw Piotra Pustelnika to było zawodowe wyzwanie. Bo co prawda nie znaleźliśmy potwierdzających statystyk, ale wydaje się nam, że podobną co Pustelnik liczbą poważnych akcji ratunkowych w górach najwyższych może się poszczycić niewielu więcej wspinaczy, a być może tylko Denis Urubko.

„Tata udowadniał, jak ważny tam, w górach, jest drugi człowiek", skomplementował ojca Paweł Pustelnik, który wspinaczkową pasję koncentrował na pokonywaniu skalnych ścian i nigdy nie próbował wejść na ośmiotysięcznik.

W 2006 r. Piotr Pustelnik został laureatem nagrody Fair Play za uratowanie z Piotrem Morawskim spod szczytu Annapurny Tybetańczyka chorego na śnieżną ślepotę.

Fragment książki Wojciecha Fuska i Jerzego Porębskiego *Lekarze w górach. Bohaterowie drugiego planu*, Wydawnictwo Agora, Warszawa 2020

FOT. ADOBE STOCK

eprasa.pl b7174acf7d

FABUŁA

PECHOWI SZCZĘŚCIARZE

reż. Sebastián Borensztein, prod. Argentyna, dostępny na VOD.pl, Player, Cineman, Chili, Ipla.tv

Lubimy takich bohaterów jak społecznik Fermín (gwiazda iberoamerykańskiego kina Ricardo Darin), który ma wizję spółdzielni windującej poziom życia mieszkańców argentyńskiego zadupia. Marzenie jest bliskie spełnienia, bo idealistyczną wizją zarażają się nawet najbardziej sceptyczni. Każdy daje, ile ma. Suma trafia na konto bankowe akurat w przeddzień kryzysu argentyńskiego z 2002 r., kiedy rząd zamroził obywatelom lokaty. Pechowi inwestorzy odkrywają, że krach wykorzystał nieuczciwy watażka, który w porozumieniu z równie perfidnym szefem banku połakomił się na oszczędności kolektywu. Złośliwość losu bohaterowie są w stanie przeboleć. Ale złośliwości drugiego człowieka już nie. Dochodzą sprawiedliwości na własną rękę w rytm haseł o jedności, co z przesłaniem, że dobro zawsze zwycięża, nadaje filmowi staroświecki, krzepiący sznyt. Argentyński kandydat do Oscara to film jak z innej epoki – skupia się nie na efekciarskiej fabule ani na psychologii postaci, tylko na wartościach reprezentowanych przez bohaterów. Ludzi tak zaciekle walczących o spółdzielnię widziałem ostatnio na przeglądzie filmów socrealistycznych.

Artur Zaborski

SERIAL

WIELKA

reż. Colin Bucksey, Ben Chessell, Geeta Patel, Matt Shakman, prod. USA, dostępny w HBO GO

Dużo tu stereotypów: Rosjanie piją, tłuką kieliszki i siebie nawzajem, Piotr III bawi się w wojenkę w perłach matki, a młodziutka Katarzyna nie traci czasu na naukę rosyjskiego (niestety, wszyscy tu mówią po angielsku) ani na walkę o uwagę nieczułego męża. Zresztą po co jej ona, skoro w łóżku gości urodziwego dworzanina. Tematy damsko-męskie elektryzują też kler, zajęty głównie dobrami ziemskimi. Katarzynie nie trzeba doktoratu na Sorbonie, żeby całe to towarzystwo rozstawiać po kątach. „Wielka" opowiada właśnie o drodze bohaterki do tronu. I robi to wyśmienicie. Satyryczna forma pozwala twórcom (jest wśród nich scenarzysta „Faworyty") na humorystyczne hiperbole, które podkreślają pokazane tu zupełnie na serio problemy: przemoc mężczyzn wobec kobiet, napięcia kulturowe, megalomanię władców, dysproporcje społeczne czy niemoralność duchownych. Duża w tym zasługa Elle Fanning i Nicholasa Houlta – grają z taką werwą, że wierzy się im nawet w najbardziej absurdalnych scenach.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Piotr Marecki

Polska przydrożna

Czarne, Wołowiec 2020

Jeżeli chodzi o literaturę drogi, wędrówki i włóczęgi, to wydawnictwo Czarne jest bezkonkurencyjne. Jednak wobec książki Mareckiego mam mieszane uczucia. Autor zabrał czytelników w ponaddwutygodniową eskapadę po polskich bezdrożach. Unikał tras szybkiego ruchu, miast, skupisk ludzi i wszelkich oznak cywilizacji. Jeździł bez celu, bez założonej tezy, dla samej przyjemności podróżowania. Z jednej strony, ta w pełni otwarta postawa zaskakuje i budzi podziw – Marecki nie szuka fajerwerków, nie udaje, nie zmyśla, przedstawia nagą rzeczywistość. Z drugiej, właśnie tej zadumy nad drogą, refleksji nad Polską wyraźnie brakuje. Rzeczy, zdarzenia, kolejne kilometry i tyle. Nic więcej. Czy to na pewno wada? Może to raczej – tak rzadkie w dzisiejszej literaturze – oddanie czytelnikom prawa do własnej interpretacji? Każdy odpowie sobie sam.

Rafał Pikuła

Ziemowit Szczerek

Cham z kulą w głowie

Znak Literanova, Kraków 2020

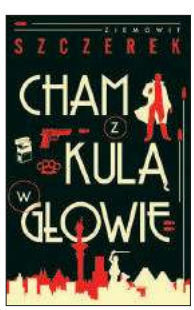

W tej historii alternatywnej wreszcie nabudowano w Warszawie łuków triumfalnych. W realu komisja konkursowa wykazała się złośliwością albo niezrozumieniem istoty przedsięwzięcia – jako pomnik Bitwy Warszawskiej gnomon?! U Szczerka jednak mamy architekturę dumną i przepatriotyczną, „piramidy to egipskawe, to azteckawe" Szukalskiego, którego styl sam w sobie był fascynujący, ale jako główny polski mógł dać efekty bijące na głowę Gotham. Bohater, detektyw Kary, porusza się w scenerii narodowej megalomanii, upiornej i groteskowej. Polska, która z wojny 1939 r. wyszła wygrana niejako psim swędem, ma wymarzoną kolonię, zachowała ukochane Kresy – i co? Dobrze jej z tym? Zajmuje ulubioną pozycję przedmurza, a Europa nadal jest niewdzięczna i grozi jej nalotami za wojnę z Ukrainą. Ziemiaństwo spokojnie się degeneruje, budząc żywą niechęć Karego, chodzącej wojny klas. Karykaturalne to, ale brzmi znajomo – i tym większe budzi zainteresowanie. Wielką frajdę sprawiają polityczno-kryminalne zawiłości akcji, konstrukcja postaci i soczysty język.

Aleksandra Pańko

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b7174acf7d

Taki teraz mamy klimat

Polska wydaje dziesiątki (jeśli nie setki) milionów złotych na promocję za granicą. Osławiona Polska Fundacja Narodowa płaci na lewo i prawo, żeby promować politykę Prawa i Sprawiedliwości, wynajmuje agencje PR, ba, wykupuje strony w zachodnich gazetach, np. w „Washington Post", by mógł tam się zaprezentować Andrzej Duda. Jest to oczywiście bez sensu, pożytek z tego mają tylko firmy, które za takie przysługi kasują prowizję. No i zarząd PFN, bo on z kolei ma dobre pensje.

A jeżeli jesteśmy przy „Washington Post", to cóż… Oczywiście gazeta skasowała polskiego podatnika za „tekst" Andrzeja Dudy. A potem zamieściła swój materiał, zatytułowany „Sprawa wyborów prezydenckich w Polsce jeszcze bardziej się skomplikowała". Bardzo dla PiS i rządzącego w Polsce establishmentu krytyczny. Opisano w nim, jak PiS forsowało termin wyborów 10 maja, jaki zamęt wprowadziło, jak łamało prawo i jak później doszło do porozumienia Gowin-Kaczyński o przesunięciu wyborów, podsumowując, że wprowadziło ono jeszcze większy zamęt prawny.

I teraz – niespodzianka! Otóż „Washington Post" wprost napisał, że w Polsce mamy, tak jak na Węgrzech, zapędy autorytarne. Ale dodał, że oprócz nich potrzebne są kompetencje polityczne, których Kaczyńskiemu i jego ludziom zabrakło (w odróżnieniu od premiera Węgier Viktora Orbána).

Tak oto amerykański dziennik ugodził PiS najboleśniej, jak można było. Amerykanie, owszem, dumni są ze swojej demokracji i o tym są gotowi opowiadać długo. Ale przyzwyczajeni są do robienia interesów z różnymi autokratami, więc rządy autorytarne to nie jest coś, co by ich deprymowało. Tyle że tutaj trafiło się coś znacznie gorszego – mamy do czynienia z rządami niekompetentnymi, nieudolnymi. Z ekipą, która nie potrafiła rozwiązać banalnej sprawy wyborów. Ech… to dla Amerykanów jak najgorsza opinia.

Nawiasem mówiąc, artykuł w „Washington Post" jest jednym z kilku w mediach zachodnich, w których autorzy piszą, że Kaczyński poniósł w sprawie wyborów porażkę i że wizerunek genialnego stratega, który budowała mu partyjna propaganda, coraz mniej ma wspólnego z rzeczywistością.

Tak oto na naszych oczach marka „Polska" staje się coraz tańsza i coraz mniej poważana.

Prawda też jest taka, że szanse na odwrócenie tej tendencji są obecnie zerowe. Owszem, Polska ma postacie szanowane w świecie, ale to akurat są osoby, których obecna władza nie znosi i z którymi walczy. Można także popatrzeć na MSZ, ono powinno systemowo działać na rzecz dobrego wizerunku Polski. Sęk w tym, że MSZ jest w tych działaniach sparaliżowane. Dyplomaci obrońcy PiS, trwale ośmieszeni, są izolowani, jak choćby ambasador RP w Niemczech. A pozostali… Trenują taktykę niewychylania się, milczenia. Zwłaszcza że w czasie epidemii weszło prawo, na podstawie którego można urzędników łatwo zwalniać. Czym więc żyje dziś MSZ? Ano tym, że pisowcy chodzą i grożą, że za chwilę będą wyrzucać.

Sorry, ale nie jest to klimat, by coś z siebie dać.

Attaché

Świąteczny posiłek dostarczony przez wolontariuszy dzieciom w Aleppo, naznaczony strachem przed wojną i wirusem. Syria, 7 maja 2020 r.

FOT. KHALIL ASHAWI/REUTERS/FORUM

eprasa.pl b7174acf7d

JOLKA

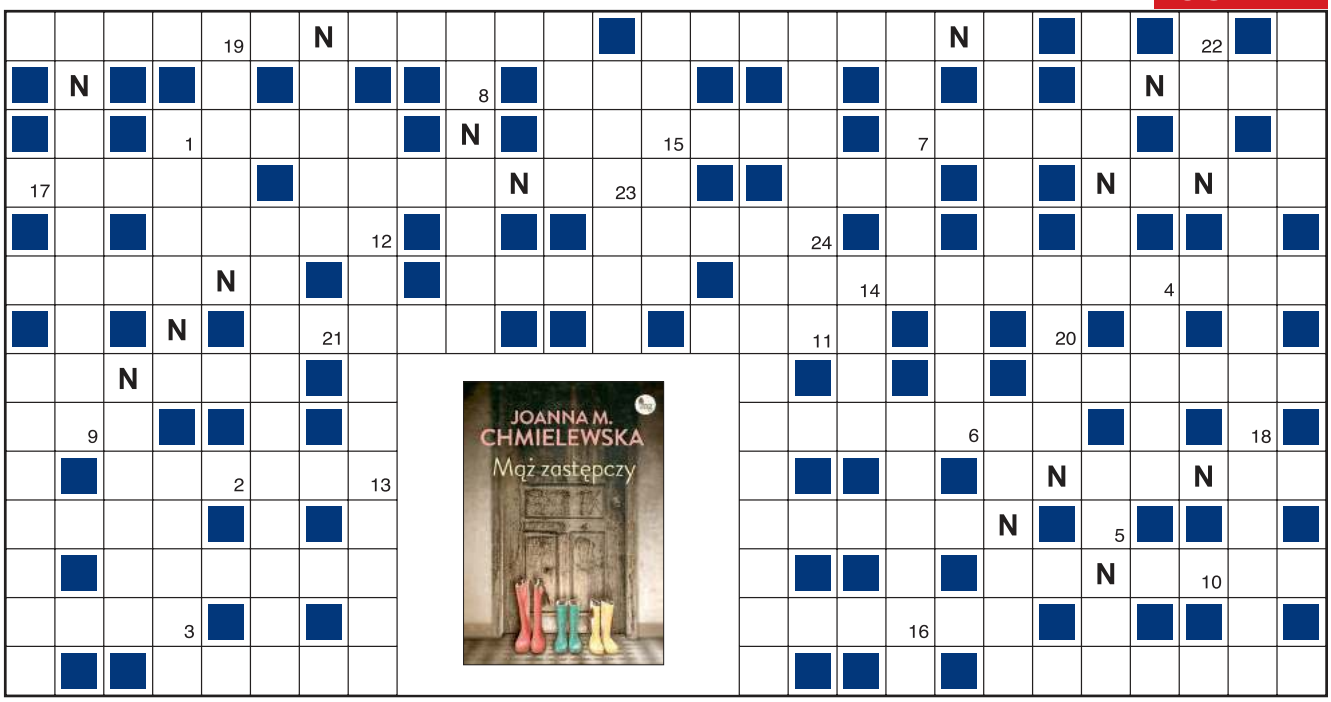

1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery N ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- jedna ze sztuk walki stosowanych przez Stevena Seagala
- 4047 m kw.
- tempo trochę szybsze od adagio
- Elżbieta Adamiak, Joan Baez lub Zanna Biczewska
- torf leczniczy
- Karamazow, Coen albo Grimm
- wyspa z miastem Kolombo
- np. solenoid, dławik
- typu hiszpanka – z odsłoniętymi ramionami
- specjalistka od urządzania wnętrz
- starorzymska moneta srebrna
- pozbawienie stołka
- runęła podczas pożaru Notre Dame
- tamtejszy przemysł filmowy zwany Bollywood
- urządzenie dla wcześniaka
- i stworzenie, i sedno
- Anna, śpiewała „Za każdy uśmiech”
- to ta krzyżówka
- sędzia w konkursie
- w niej maszynista lub piloci
- czasem trzeba go psu założyć
- tragedia, nieszczęście, kataklizm
- wypełniony seriami, bloczkami
- plama z atramentu, farby na papierze
- komu brak piątej, ten ma źle w głowie
- dryfująca tafla lodu
- wyborczy na razie nie był potrzebny
- drobno pokruszony węgiel
- dawna nazwa mikrometra
- nielot z pampasów
- liścia, nosa albo półwyspu
- dom Bilba Bagginsa
- może być wyznaczany z urzędu
- …press – portal dziennikarski
- ojczyzna Maria Vargasa Llosy
- „…świętojańska o Sobótce”
- stoluje się w karmniku
- nakładki z kolcami na buty himalaisty
- i rzadkość, i smakołyk
- rywal Barcelony w El Clásico
- film Lankosza z Agatą Buzek i Marcinem Dorocińskim
- państwa, piratów lub filmowy narodów
- można się zamknąć jak ślimak w niej
- „…noszenia kapelusza w maju” z Wiesławem Michnikowskim
- podkarpacka wieś z zaporą
- Księżycowa lub Kreutzerowska
- wyborców, treści lub inwentarza
- zwycięstwa – do przechylenia
- powinien je dostać uczeń na koniec roku
- notarialna do pobrania
- Michał Piróg lub Rafał Maserak
- kolory dominujące, nadające ogólny charakter
- droga do przebycia
- paskowany – jeden z większych gatunków jaszczurek
- w bikini na plaży
- święto w najkrótszą noc w roku
- sekretarz stanu
- zatykana na dachu, gdy budowa na ukończeniu
- postawi kominek
- żelastwo do przetopienia

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji, z dopiskiem na kopercie lub pocztówce: „JOLKA-961”. Do rozlosowania książki „Mąż zastępczy” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można wysłać też z telefonu, pisząc SMS o treści: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. W miejsce XXX wpisujemy numer krzyżówki (uwaga, stosować tylko litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia). Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 24 maja 2020 r.

Rozwiązanie „JOLKI-958” z 3 maja: *Nie wszystko trzeba rozumieć*. Nagrody otrzymują: Jacek Banak z Kielc, Anna Urbańska z Lublina, Bogumiła Wyleżałek z Lublińca.

eprasa.pl b7174acf7d

PENETRACJE

PROF. TOMASZ MARUSZEWSKI, PSYCHOLOG

Ci nieliczni w historii ludzkości, którzy naprawdę nie kłamali, słusznie urastają do rangi proroków, mędrców. Mówili i nadal mówią nam prawdę prosto w oczy. Ostrzegają: „Ludzie, błądzicie i cierpicie, bo nie wiecie, kim jesteście! Macie fałszywą tożsamość, więc wasze motywy, cele i relacje też są fałszywe". Czyż to nie zaczyna obecnie spełniać się na naszych oczach? Wolnym zatem jest ten, kto wie, kim jest. Takim człowiekiem był Sokrates, który przyznał: „Wiem, że nic nie wiem". Ten ekstremalny wyraz poznawczej pokory jest niewątpliwie świadectwem wolności ducha.

PRZEMYSŁAW WIELGOSZ, REDAKTOR NACZELNY

Kryzys prowokuje pytania polityczne, bo nawet szybkie opracowanie szczepionki i opanowanie pandemii nie zmieni faktu, że nie wrócimy już do starego reżimu. Może być tylko znacznie gorzej lub wreszcie lepiej. Stawka, jaką jest świat egalitarny, dostatni i ekologiczny, nie utraciła nic ze swej wagi. Zawieszanie praw i zamykanie granic działa na krótką metę, opóźnia, ale nie powstrzymuje tej pandemii i nie powstrzyma żadnej innej. Zrobić to może tylko więcej demokracji, sektora publicznego i egalitaryzmu. To ich brak okazał się ostatecznie największym zagrożeniem.

RAFAŁ WOŚ, PUBLICYSTA EKONOMICZNY

Simeon Djankov z London School of Economics i jego współpracownicy wysnuli następujący wniosek: kompletny brak możliwości produkowania i sprzedawania zabije każdą firmę. I nie ma tu znaczenia, czy jest ona stara, czy młoda, innowacyjna czy anachroniczna. Szok (taki jak ten związany z COVID-19) jest niczym potężna fala tsunami. Niszczy wszystko, co napotyka na swojej drodze. Nieważne, czy to działało dobrze, czy ledwie zipało.

MARTYNA WOJCIECHOWSKA, DZIENNIKARKA, PODRÓŻNICZKA

Od dzieciństwa wydawało mi się, że jeśli chcę robić to, o czym marzę, czyli zostać wyścigowym kierowcą motocyklowym, muszę być chłopakiem. A że nie mogłam nim być, to starałam się z całych sił być jak chłopak. Byłam zacięta, nieprzejednana, płakałam po nocach, ale zaciskałam zęby i parłam do przodu. Za wszelką cenę chciałam wejść do czynnego świata, co kosztowało mnie wiele upokorzeń. Kiedy zaczęłam pracę jako dziennikarka motoryzacyjna w wieku 21 lat, moi koledzy przez pierwsze lata dawali mi do zrozumienia, że kobieta w tej branży jest pożyteczna tylko wtedy, kiedy włoży bluzkę z dekoltem i jako hostessa będzie rozdawać ulotki na targach.

Lepiej jechać w dal skuterem, niźli biegać za rowerem. Ulica Pułkowa w Warszawie.

FOT. KARINA KRYSTOSIAK

Aby język giętki…

PROF. ADAM STRZEMBOSZ O ANDRZEJU DUDZIE

Jest śmiesznawy. Występuje w telewizji niemal jak zbawiciel narodu.

PROF. JAROSŁAW FLIS O PiS

Generalnie obowiązuje tam standard Jacka Kurskiego: albo z głębokiego przekonania, albo z cynizmu wszyscy umacniają prezesa w przekonaniu, że on zawsze ma rację.

PAWEŁ KUKIZ DO MICHAŁA DWORCZYKA

Tak po ludzku jest mi przykro, że ty i Mateusz traktujecie mnie jak idiotę, a posłów Kukiz'15 jak prostytutki.

GEN. MIROSŁAW RÓŻAŃSKI O STOSUNKACH W WOJSKU

Nie znam przymiotów teraz w wojsku tak bardzo pożądanych jak konformizm, służalczość i moje ulubione słowo ingracjacja (wchodzenie komuś w d…).

MARTA MANOWSKA O ŚLĄZACZKACH

Naprawdę nie wiem, co się musi wydarzyć, żeby śląska kobieta okazała słabość. Ślązaczki są silne, nieustępliwe, twarde, trochę nawet męskie.

ANDRZEJ STASIUK O KAI GODEK

Trzaskanie dziobem w telewizorze bardzo jest łatwe, kiedy ma się jeszcze za sobą wrzaskliwy elektorat.

ILONA ŁEPKOWSKA O PSEUDODZIENNIKARZACH

Jest ich coraz więcej. Niewiedza i brak przygotowania do rozmowy doprowadzają mnie do szału.

BARTOSZ BIELENIA O CASTINGACH

Jednego dnia przyszło na casting 11 dziewcząt, kandydatek do roli, i z każdą musiałem zagrać bardzo trudną, intymną scenę.

DANUTA STENKA O EGZAMINACH DO SZKOŁY TEATRALNEJ

Na korytarzu usłyszałam: „Najlepiej poszło takiej dziewczynie w bordowej marynarce z jakiegoś zadupia". To ja miałam bordową marynarkę.

JULIUSZ MACHULSKI O PIERWSZYM BONDZIE

Pierwszy film z Jamesem Bondem udało mi się zobaczyć w Paryżu. Bilet kosztował majątek, ale wolałem Bonda niż nowe jeansy.

eprasa.pl b7174acf7d

Po co ci Netflix, skoro masz okno?

Berlińczycy w twórczy sposób radzą sobie z przedłużającym się zamknięciem kin. W całym mieście za pomocą cyfrowych rzutników zmieniają ściany domów w duże ekrany i urządzają projekcje. – Chcemy pokazać ludziom, że nie muszą samotnie oglądać filmów na ekranie komputera. Wystarczy otworzyć okno i można oglądać je wspólnie z sąsiadami. Naszym celem jest zorganizowanie seansu na 100 budynkach jednocześnie. Do tego chcielibyśmy dołączyć koncerty muzyczne – mówi Olaf Karkhoff, pomysłodawca kin fasadowych.

Siemasz, węgorz!

Sumida Aquarium w Tokio ustawiło tablety przed akwariami, w których żyją tzw. węgorzyki ogrodowe. Dzięki nim oraz aplikacji do wideorozmów FaceTime można z tymi tropikalnymi rybkami porozmawiać, zaśpiewać im lub pomachać. Oceanarium zorganizowało całą akcję, gdyż w związku z wymuszonym epidemią zamknięciem obiektu węgorzyki zaczynają się odzwyczajać od ludzi, których obecność zdążyły polubić. Opiekunowie boją się, że powrót zwiedzających będzie dla rybek szokiem, dlatego zaapelowali o dotrzymywanie im towarzystwa.

Niezguły chodzą parami

Na warszawskim Mokotowie doszło do wyjątkowo nieudolnej próby przywłaszczenia biżuterii. Dwaj mężczyźni dokonali rozboju w salonie jubilerskim przy ul. Dworkowej i rzucili się do ucieczki. Pierwszą wpadką duetu

było zgubienie części łupu podczas biegu do auta, drugą – utknięcie w korku na ul. Puławskiej, trzecią – postój w al. Szucha, gdyż skończyło się paliwo. Rabusie, którzy ujęli nas swoją uroczą nieporadnością, sami zostali ujęci. Przez policję.

Bawią i uczą

Popularny serwis pornograficzny kontynuuje ofensywę wizerunkową, w związku z tym przygotował serię wideoporadników, w których cenione aktorki erotyczne podpowiadają, jak chronić się przed koronawirusem. „Postawiliśmy na prezentację podstaw higieny osobistej. Nie odkrywamy niczego nowego, ale wierzymy, że forma, w jakiej zostały zrealizowane filmy, pozwoli dotrzeć do ogromnej liczby osób na całym świecie”, tłumaczy jedna z artystek. Wcześniej właściciele portalu m.in. ufundowali nowojorskim lekarzom ponad 50 tys. maseczek ochronnych.

Mem potęgą jest i basta

Polsko-australijski zespół naukowców dowodzi, że memy mogą być ważnym wsparciem w ochronie przyrody. Do takich wniosków doprowadziła ich analiza gwałtownego wzrostu popularności nosaczy sundajskich. Gdyby nie wszechobecne w internecie obrazki, przypisujące tym borneańskim małpom cechy stereotypowych

MEMY BEZ ŚCIEMY

eprasa.pl b7174acf7d

Wiele krajów łagodzi już restrykcje dla sfery usług. Uliczna restauracja w Chinatown w Bangkoku i fryzjer w Bordeaux.

Polaków, wspomniany gatunek pozostawałby w naszym kraju nieznany. Tymczasem nierzadkie w mediach społecznościowych są aktywne dyskusje na temat ochrony zagrożonego „kuzyna", a nawet zbiórki pieniędzy na ten cel.

Graj w czerwone

Dla tych, którym naprawdę nudzi się podczas kwarantanny, producent słynnego keczupu Heinz zorganizował konkurs, w którym można było wygrać wyjątkowo trudne do ułożenia puzzle. O skali wyzwania decyduje w tym przypadku nie liczba elementów, stosunkowo skromna (570), ale to, że każdy przedstawia taki sam, jednolicie czerwony obrazek. Brzmi jak świetna zabawa – no, może nie dla zoologicznych antykomunistów. Ale fani Joanny Chmielewskiej docenią, wreszcie wszystko czerwone!

Ale odjazd!

Kolejna polska gra komputerowa zbiera świetne recenzje i cieszy się wynikami sprzedaży. „Train Station Renovation", jak sama nazwa wskazuje, jest symulatorem odnawiania zniszczonych stacji kolejowych. „Spróbuj własnymi rękami zrobić renowacje opuszczonych dworców i starych pociągów. Przywróć ich dawną chwałę i spraw, by znów zaczęły działać", kusi studio Live Motion Games. To się nazywa pociąg do gier.

FOT. SEKCJA GIMNASTYCZNA (2), A-MEM, RUNGROJ YONGRIT/EPA/PAP, GEORGES GOBET/AFP/EAST NEWS

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa,
ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl

www.tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański
e-mail: j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
e-mail: p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca redaktora naczelnego – sekretarz redakcji: Joanna Wielgat
e-mail: j.wielgat@tygodnikprzeglad.pl
Sekretarz redakcji: Agata Gogołkiewicz
e-mail: a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
e-mail: a.panko@tygodnikprzeglad.pl

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Julian Bartosz (Wrocław), Tomasz Borejza (Kraków), Marek Czarkowski, Regina Dachówna (Zielona Góra), Paweł Drąg, Jakub Dymek, Beata Dżon (Wiedeń), Leszek Konarski (Kraków), Marek Książek (Olsztyn), Helena Leman (Malbork), Maja Marklowska-Dzierżak, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Wojciech Osiński (Berlin), Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz (Bydgoszcz), Konrad Szelest, Bronisław Tumiłowicz, Robert Walenciak, Krzysztof Wasilewski, Andrzej Werblan, Roman Wojciechowski, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa (Bielsko-Biała)

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Roman Kurkiewicz, Bronisław Łagowski, Edward Mikołajczyk, Ludwik Stomma, Jan Widacki, Agnieszka Wolny-Hamkało
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May, Małgorzata Tabaka
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Karina Krystosiak, Rafał Pyznar
Fotoreporterzy: Leopold Dzikowski, Krzysztof Żuczkowski

Dyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Anna Banaszek e-mail: a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Wicedyrektor ds. wydawniczych i reklamy:
Agata Mierzejewska e-mail: a.mierzejewska@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator ds. innowacji i mediów społecznościowych
Sandra Zawadzka e-mail: s.zawadzka@tygodnikprzeglad.pl
Sekretariat fundacji i redakcji:
Katarzyna Chilecka
Dział Kolportażu:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe:
tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl

Sprzedaż elektroniczna: www.sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w PRZEGLĄDZIE bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.

Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120
WYDAWCA:
Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, IBAN: PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

IZBA WYDAWCÓW PRASY
NAKŁAD CONTROLOWANY
ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

eprasa.pl b7174acf7d

Tomasz Tobolewski

Alain Le Quernec

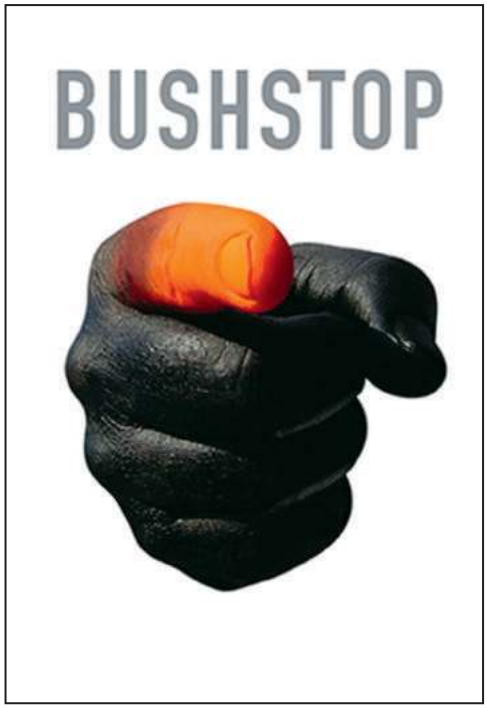

Michel Bouvet

11. PLASTER Międzynarodowy Festiwal Grafiki Projektowej

11. odsłona Międzynarodowego Festiwalu Grafiki Projektowej Plaster koncentruje się na twórczości plakatowej. CSW Toruń zaprasza na swój profil na Facebooku, gdzie pokaże film wprowadzający w tematykę festiwalu. W tym roku polski dizajn graficzny konfrontuje się z aktualnymi trendami we Francji. Będzie można zobaczyć cztery ekspozycje: monograficzne prezentacje dwóch ikon francuskiego plakatu – Alaina Le Querneca i Michela Bouveta, plakaty autorstwa studentów francuskich szkół artystycznych (wystawa „F1") oraz projekt plenerowy – 40 wielkoformatowych plakatów poświęconych kinu francuskiemu, autorstwa Łukasza Klisia, Sebastiana Kubicy i Tomasza Tobolewskiego (wystawa „Trzej muszkieterowie").

Centrum Sztuki Współczesnej Znaki Czasu
Toruń, Wały gen. Sikorskiego 13
do 31 sierpnia

Michel Bouvet

Wystawa „F1"

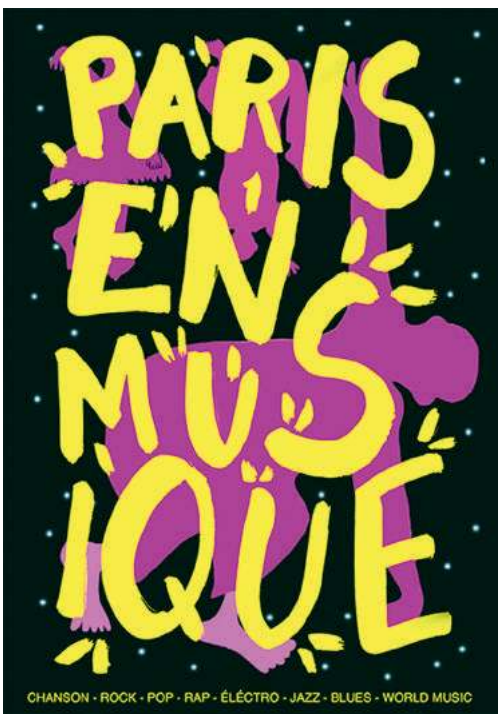

Wystawa „F1"

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl b7174acf7d

ZA TYMI DRZWIAMI MIESZKA MAJA

Zamiast w szkole czy na podwórku, spędza teraz czas w domu. Ale życie Mai jest inne niż jej rówieśników.

BO MAJA MIESZKA Z KIMŚ, KTO JĄ KRZYWDZI.

JEŻELI MAJA MIESZKA OBOK CIEBIE, ZADZWOŃ POD 112.

Każde zgłoszenie może pomóc.

współpraca:

DAJEMY DZIECIOM SIŁĘ

ZAGREB CHILD AND YOUTH PROTECTION CENTER

eprasa.pl b7174acf7d

eprasa.pl/e7174acl7